

OSCAR WILDE



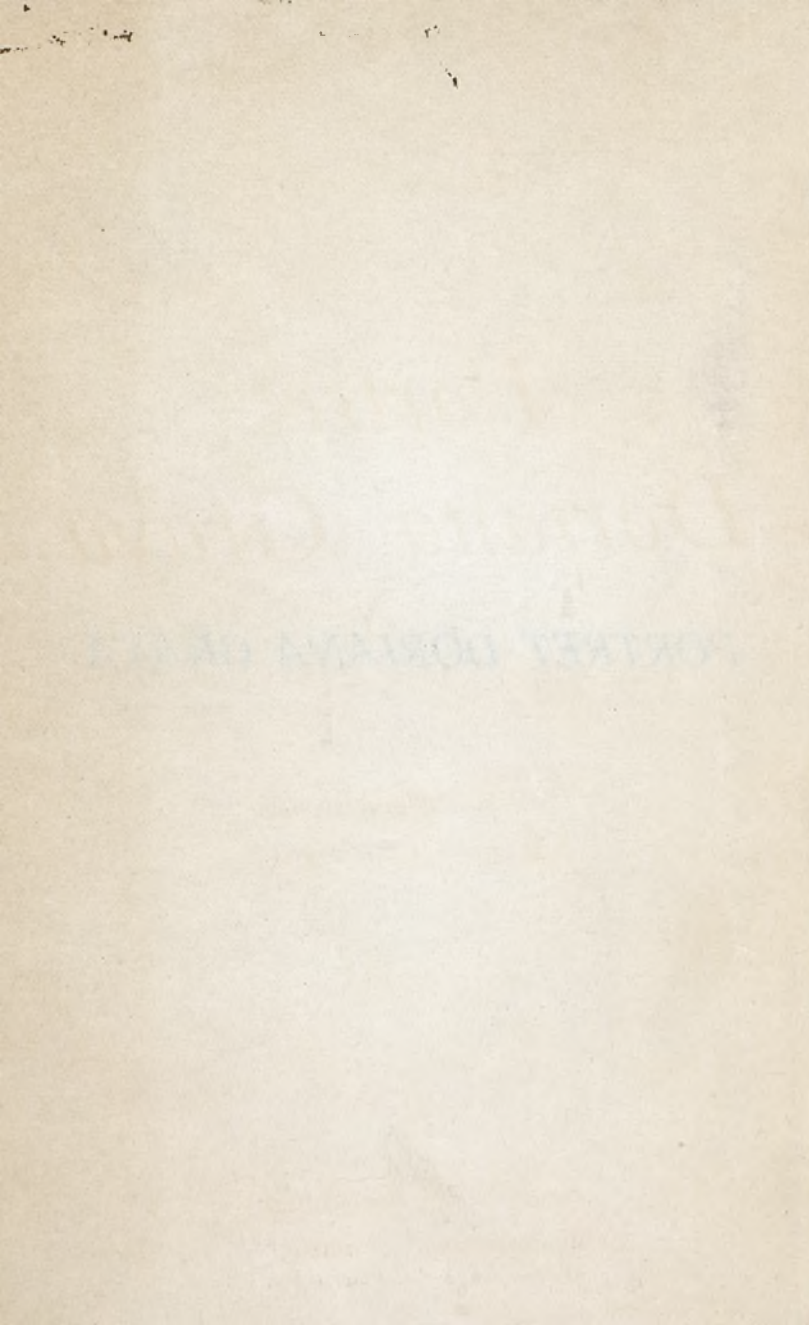
**PORTRET
DORIANA GRAYA**
POWIEŚĆ

KRAKÓW—WARSZAWA. — WYDAWNICTWO „PANTEON”



212

PORTRET DORIANA GRAYA



Wydanie 5 Myślenie

OSCAR WILDE

Portret Doriana Graya

Powieść

*Przełożył z angielskiego
Kazimierz Czachowski*

*Kraków — Warszawa
Wydawnictwo „Panteon”
Kraków, Księgarnia Powszechna*

Drukarnia Przemysłowa
Kraków, ulica Zielona 7

k 349249

1072230 "

6.07/354/P

7.05.



42.64

PRZEDMOWA.

Artysta jest twórcą rzeczywistego piękna.

Celem jego jest utaić siebie, objawiając sztukę.

Kto własne wrażenia z dzieła sztuki umie wyrazić w odrębny sposób, albo przekształcić na nowy środek artystycznego wzruszenia, ten jest krytykiem.

Najwyższą i zarazem najniższą formą krytyki jest autobiografia.

Trzeba być zepsutym i bez wdzięku, aby w pięknie dopatrywać się myśli brzydkich. Jestto grzech.

Człowiek kulturalny w rzeczach pięknych widzi myśli piękne. Przyszłość jest jego.

Tylko ci są wybrani, dla kogo w rzeczach pięknych nic niema poza Pięknem.

Książka nie może być moralną lub niemoralną. Jest tylko dobrze albo źle napisaną. Nic więcej.

Niechęć wieku dziewiętnastego do Realizmu jest wściekłością Kalibana, oglądającego w zwierciadle własną twarz.

Niechęć wieku dziewiętnastego do Romantyzmu jest wściekłością Kalibana, gdy w zwierciadle nie widzi własnej twarzy.

Życie moralne człowieka stanowi dla artysty część podmiotowego materiału twórczego, lecz moralność sztuki polega na doskonałym użyciu niedoskonałego środka.

Artysta nie stara się niczego udowadniać. Każda rzecz prawdziwa może być dowiedziona.

Żaden artysta nie kieruje się upodobaniami etycznymi. Upodobania etyczne u artysty są niewybaczalnym zniekształceniem stylu.

Żaden artysta nigdy nie jest chorobliwym. Artysta ma prawo wyrażać wszystko.

Myśl i język są dla artysty narzędziami sztuki.

Występek i cnota są dla artysty tworzywem sztuki.

Ze stanowiska formy wzorem wszystkich sztuk jest muzyka. Ze stanowiska wrażenia wzorem jest sztuka aktorska.

Wszelka sztuka jest zarazem kształtem i symbolem.

Na własną odpowiedzialność wnika się poza kształt.

Na własną odpowiedzialność odczytuje się symbol.

Sztuka odzwierciedla widza, a nie życie.

Różnorodność zdań o dziele sztuki świadczy, że jest nowem, złożonem i żywotnem.

Jeżeli krytycy spierają się o artystę, to znaczy, że jest on ze sobą w zgodzie.

Możemy przebaczyć człowiekowi dzieło użyteczne, dopóki nie zachwyca się niem. Jedyne usprawiedliwieniem dzieł nieużytecznych jest wywołana niemi potęga zachwytu.

Sztuka jest bezużyteczna.

Oscar Wilde

ROZDZIAŁ I.

Pracownia była przesycona zapachem róż, skoro zaś wietrzyk letni poruszył drzewami w ogrodzie, przez otwarte drzwi wnikała ocieślała woń bzu, lub wątłej pachniał głóg.

W rogu perskiej sofy wyciągnął się wygodnie Lord Henryk Wotton, paląc swym zwyczajem papierosa po papierosie. Mógł stamtąd patrzeć na słodkie jak miód, miodowej barwy kiści wielokwiatu, którego drzące gałązki z trudem zdawały się dźwigać ciężar tak płomiennego piękna. Od czasu do czasu po zawieszonych nad wielkiem oknem jedwabnych firankach przesuwały się fantastyczne cienie przelatujących ptaków, wywołując na chwilę wrażenie japońskiego obrazu. Przypominało mu to owych malarzy tokijskich, o twarzach bladych i znużonych, którzy w sztuce z konieczności nieruchomej starali się oddać wrażenie szybkości i ruchu. Jednostajne brzęczenie pszczół, poszukujących drogi wśród źdźbeł wysokiej, nieprzyciętej trawy, lub wytrwale kręcących się dokoła złocistych pyłków powoju, dotkliwie potęgowało panującą ciszę. Słumiony pogwar Londynu wydawał się, niby grzmiący ton dalekich organów.

Na pionowo ustawionych w środku pokoju stalugach był umieszczony naturalnej wielkości portret młodego mężczyzny wyjątkowej urody. W niewielkiej od-

ległości przed portretem siedział jego malarz, Bazyli Hallward, którego nagłe zniknięcie przed paru laty wywołało dużą wrzawę i dało sposobność do najrozmaitszych plotek.

W chwili, gdy artysta przyglądał się wdzięcznej i czarującej twarzy, tak subtelnie odtworzonej w jego dziele sztuki, na obliczu jego ukazał się uśmiech zadowolenia i wydawało się, że będzie trwał dłużej. Nagle malarz zadrżał, przymknął oczy, powieki przycisnął palcami, jakby w mózgu swym chciał zatrzymać dziwne marzenie, obawiając się, iż mogłby je postradać.

— Jest to najlepsze twoje dzieło, Bazyli, najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś, — odezwał się lord Henryk głosem znużonym. — Na przyszły rok musisz posłać je na wystawę grosvenorską. Akademja jest za wielka i za pospolita. Ile razy tam pójde, zastaję tylu ludzi, że nie mogę oglądać obrazów, co jest okropne, lub tyle obrazów, że nie widzę ludzi, co jeszcze bardziej odstrasza. Grosvenor jest istotnie wystawą jedyną.

— Wątpię, abym miał je wystawiać gdziekolwiek, — odrzekł malarz, odrzucając w tył głowę tym zwykłym swym ruchem, który był przedmiotem drwin kolegów w Oxfordzie. — Nie, nie dam go nigdzie.

Lord Henryk podniósł oczy, ze zdziwieniem nań spoglądając poprzez błękitne kłęby dymu, unoszące się w fantastycznych zwojach z ciężkiego, opjumowanego papierosa. — Nie pošlesz nigdzie? Dlaczego, mój drogi? Z jakiego powodu? Co za okazy z was, malarze! Robicie wszystko, aby zdobyć sławę, a skoro ją macie, zawadza wam. To niemądrze, bo gorszem od tego, że o was mówią, jest to, że o was nie mówią. Portretem tym możesz wybić się ponad wszystkich młodych

malarzy, a starych przyprawić o zazdrość, jeżeli wogóle zdolni są odczuwać cokolwiek.

— Wiem, że będziesz drwił ze mnie, — odrzekł — ale ja go rzeczywiście nie mogę wystawić. Za wiele włożyłem weń samego siebie.

Lord Henryk, wyciągając się na sofie, roześmiał się.

— Zadużo siebie! Słowo daję, Bazyli, że nie podejrzewałem cię o tyle próżności; w istocie nie widzę żadnego podobieństwa między tobą, o rysach twarzy ostrych i surowych, o czuprynie czarnej jak węgiel, a tym młodzieńczym Adonisem, wyglądającym jakby był zrobiony z kości słoniowej i z płatków róży. Ależ, drogi Bazyli, to jest Narcyz, a ty — z twojej twarzy bije inteligencja i tak dalej, lecz piękno, prawdziwe piękno kończy się tam, gdzie zaczyna się wyraz myśli. Rozum jest sam w sobie pewnego rodzaju przesadą, psującą harmonję każdego oblicza. Gdy człowiek zabiera się do myślenia, zamienia się cały w nos, czoło, lub w coś równie okropnego. Popatrz na ludzi, cieszących się powodzeniem w jakimkolwiek zawodzie uczytnym. Jak są doskonale brzydcy! Oczywiście, z wyjątkiem kościoła. Ale ci z kościoła nie myślą wcale. Każdy biskup w osiemdziesiątym roku życia powtarza to, czego nauczono go w osiemnastym, i tylko dlatego wygląda zawsze czarująco. Twój tajemniczy młody przyjaciel, którego nazwiska nie wymieniłeś mi wprawdzie, ale którego portretem zachwycam się, nigdy nie myślał. Jestem tego pewny. Jakaś czarująco bezmyślna istota, mogąca w zimie zastąpić brak kwiatów, a w lecie orzeźwiać nasz umysł. Nie pochlebiaj sobie, Bazyli; wcale nie jesteś do niego podobny .

— Nie zrozumiałeś mnie, Henryku, — odparł ar-

tyła. — Sam to wiem najlepiej, że nie jestem do niego podobny. Nie chciałbym zresztą być nim. Wzruszasz ramionami? Mówię prawdę. Na wszelkiem wyróżnieniu fizycznym lub umysłowym ciąży jakiś fatalizm, który w dziejach idzie śladem chwiejnego kroku królów. Dobrze jest nie różnić się wcale od współczesnych. Dlatego brzydcy i głupi są na świecie uprzywilejowani. Mogą żyć wedle woli, albo przyglądać się zabawie. Jeśli nic nie wiedzą o zwycięstwach, zaoszczędzono im też wrażenia klęski. Żyją tak, jak pragnęlibyśmy żyć wszyscy, cicho, obojętnie i spokojnie. Nie przeszkadzają nikomu i nikt im nie przeszkadza. Ale ty, Henryku, z twoim tytułem i majątkiem, ja ze swoim umysłem, jakiby on nie był, i ze swoją sztuką, choćby najbardziej niedoskonałą, Dorian Gray ze swoją urodą, musimy cierpieć za udzielone nam dary bogów.

— Dorian Gray? Więc tak się nazywa? — zapytał lord Henryk, zbliżając się do Bazylego Hallwarda.

— Tak, to jego nazwisko. Nie chciałem ci powiedzieć go.

— Dlaczego?

— Ach, nie umiałbym tego wytłumaczyć. Kiedy kogo kocham bardzo, nikomu nie wymieniam jego imienia. Wydaje mi się to zdradą względem niego. Nauczyłem się kochać tajemnicę. Jest to jedyne, co nasze życie nowoczesne czyni niezwykłym i cudownym. Najpospolitsza sprawa ludzka staje się wytworną, skoro ktoś ją przed nami ukryje. Gdy wyjeżdżam z miasta, nikomu nie mówię, dokąd jadę. Jeżeli powiem, tracę całą przyjemność. Może to niemądre, przyznaję, ale w ten sposób przywracam memu życiu romantyczność. Obawiam się, że weźmiesz mnie za kiepskiego warjata.

— Bynajmniej, — odparł lord Henryk — bynaj-

mniej, mój drogi Bazyli. Wydajesz się zapominać, że jestem żonaty i że jedynym urokiem małżeństwa jest wzajemne łudzenie się, niezbędnie konieczne dla obu stron. Ja nigdy nie wiem, gdzie przebywa moja żona, i ona nie wie, gdzie ja się udaję. Gdy się spotkamy, a zdarza się to niekiedy, że jesteśmy razem na jakimś obiedzie lub wspólnie wybieramy się do księcia, z najpoważniejszą miną opowiadamy sobie najniedorzeczniejsze historie. Pod tym względem żona przewyższa mnie znakomicie. Nigdy nie zabrnę w daty, gdy ja zawsze mam z niemi kłopot. Zdając sobie z tego sprawę, nie robi mi żadnych wyrzutów. Chciałbym nieraz usłyszeć je od niej, ale jej wystarcza, że wyśmiewa się ze mnie.

— Nie znoszę, gdy w ten sposób wyrażasz się o swem małżeństwie, — rzekł Bazyli Hallward, kierując się ku drzwiom wychodzącym na ogród. — Wydaje mi się, że w istocie jesteś bardzo dobrym mężem, i tylko wstydzisz się swej cnoty. Dziwny z ciebie człowiek. Nigdy nie powiesz nic moralnego i nigdy nie zrobisz nic złego. Twój cynizm jest zwykłym udaniem.

— Naturalność jest również udaniem i to najbardziej drażniącym z tych, jakie znam, — zawołał lord Henryk, śmiejąc się. Wyszli obaj do ogrodu i usiedli na długiej ławce bambusowej, w cieniu krzewu warzyny. Po lśniących liściach ślizgały się promienie słoneczne. Białe stokrocie drżały wśród traw.

Po chwili lord Henryk spojrzał na zegarek. — Muszę już iść, Bazyli, — wyszeptał — zanim pójdę, chciałbym jednak usłyszeć odpowiedź na niedawne moje zapytanie.

— Co za pytanie? — rzekł malarz, nie podnosząc oczu, utkwionych w ziemi.

— Wiesz dobrze.

— Nie wiem, Henryku.

— Więc powtórzę je. Musisz mi wytłumaczyć, dlaczego nie chcesz wystawić portretu Doriana Graya. Chcę znać prawdziwą przyczynę.

— Powiedziałem ci całą prawdę.

— Wcale nie. Wskazałeś, że w portret zbyt wiele włożyłeś samego siebie. Nie, to byłoby dziecinne.

— Henryku, — rzekł Bazyli Hallward, patrząc mu prosto w oczy, — każdy portret malowany z przejęciem jest portretem artysty, nie modela. Model to tylko przypadek, okoliczność. Nie jego, ale samego siebie ujawnia malarz na płótnie. Przyczyną, dla której nie chcę wystawić obrazu, jest obawa odsłonięcia tajemnicy własnej mej duszy.

Lord Henryk roześmiał się. — Jakież to? — zapytał.

— Powiem ci, powiedział Hallward, ale po twarzy jego przeszedł wyraz zmieszania.

— Z ciekawością słucham cię, Bazyli, — podjął towarzysz, patrząc na niego.

— Ach! doprawdy niewiele tu do mówienia, — odparł malarz — obawiam się, że trudno ci będzie zrozumieć mię. Może nie uwierzysz nawet.

Lord Henryk uśmiechnął się. Schyliwszy się, zerwał z trawnika różową stokrótkę i zaczął ją oglądać. — Jestem pewny, że zrozumiem, — odparł, uporczywie wpatrując się w drobną, złotawą, pierzastą tarczę kwiatu, — i wierzę we wszystko, co jest niewiarygodne.

Wiatr strząsnął z krzewu nieco kwiatów, a ciężkie pęki rozkwitłego bzu bujały się w parnym powietrzu. Gdzieś pod murem ćwierkał konik polny, a długa, cienka ważka o skrzydełkach z brązowej gazy, mi-

gnęła w powietrzu niebieską nitką. Lord Henryk miał wrażenie, że słyszy bicie serca Bazylego Hallwarda, i zdumiony, czekał na ciąg dalszy.

— Historia jest zupełnie prosta, — rzekł malarz po pewnym czasie. — Przed dwoma miesiącami byłem na przyjęciu u lady Brandon. Wiesz, że i my, biedni artyści, musimy niekiedy pokazać się w świecie, ażeby nie miano nas za dzikusów. Powiedziałeś raz, że we fraku i w białym krawacie nawet makler giełdowy może zdobyć opinię człowieka cywilizowanego. Zaledwie dziesięć minut przebywałem w tym salonie, rozmawiając z przesadnie wystrojonemi damami i nudnymi akademikami, gdy nagle uczułem, że ktoś na mnie patrzy. Odwróciłem się nieco i po raz pierwszy zobaczyłem Doriana Graya. Gdy spotkaliśmy się wzrokiem, poczułem, że błędę. Ogarnęło mnie dziwne przerażenie. Zrozumiałem, że stanąłem wobec człowieka, którego sama osobowość jest tak ujmującą, iż skoro poddałbym się jej, wchłonełaby całą moją istotę, całą moją duszę, całą moją sztukę. W życiu mojem staram się unikać wpływów zewnętrznych. Wiesz, Henryku, jak zawsze byłem niezależny. Byłem panem samego siebie, pannałem nad sobą, dopóki nie spotkałem Doriana Graya. Wtedy — —, ale nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Poczułem, że stanąłem wobec strasznego przełomu w mem życiu. Miałem dziwne przeświadczenie, że los przynosi mi wyjątkowe radości i wyjątkowe cierpienia. Przerażony, odwróciłem się, aby opuścić salon. Wyganiało mnie nie sumienie, lecz osobliwego rodzaju tchórzostwo. Nie będę upiększał, że poprostu chciałem uciec.

— Mój Bazyli, sumienie i tchórzliwość są w istocie tem samem. Sumienie jest nazwą firmy. Oto wszystko.

— Nie wierzę w to, Henryku, i nie wierzę, żebyś

ty tak wierzył. Jakikolwiek był jednak powód, — może była nim duma, bo istotnie jestem bardzo dumny — dość, że kierowałem się ku drzwiom. Na drodze natknąłem się na lady Brandon. „Chyba pan nie odejdzie tak wcześniej, panie Hallward?“ wykrzyknęła. Znasz jej szczególnie ostry dźwięk głosu?

— Tak, we wszystkim, prócz piękności, jest ona pawiem, — powiedział lord Henryk, oskubując stórkotkę swemi długimi, nerwowemi palcami.

— Nie mogłem się jej wykręcić. Zaprowadziła mnie do królewskich wysokości i ludzi w orderach i gwiazdach, do starszych dam w olbrzymich tjarach i o papuzich nosach. Mówiła o mnie, jako o najlepszym z przyjaciół. Raz w życiu widziałem ją przedtem, zawzięła się jednak, aby zrobić mnie lwem towarzystwa. Zdaje się, że właśnie któryś z moich obrazów cieszył się dużem powodzeniem, przynajmniej pisano o nim w prasie dwugroszowej, co w wieku dziewiętnastym jest sztandarem nieśmiertelności. Nagle znalazłem się oko w oko z młodym mężczyzną, którego postać tak dziwnie zajęła mię. Staliśmy koło siebie i niemal dotykaliśmy się. Znowu spotkaliśmy się wzrokiem. Wbrew woli poprosiłem lady Brandon, ażeby mię jemu przedstawiła. Nie było to może nawet nierozważne, bo nieuniknione. Bylibyśmy mówili ze sobą, nawet nieprzedstawieni. Jestem tego pewny. Dorian Gray powiedział mi później to samo; czuł również konieczność poznania się ze mną.

— Jakżeż lady Brandon określiła owego cudownego młodzieńca? — spytał towarzysz. — Wiem, że o wszystkich swych gościach zwykła jest urabiać zwięzłe powiedzenia. Przypominam sobie, jak przedstawiając mnie pewnemu jegomościowi, dosłownie pokryte-

mu orderami i wstęgami, tragicznym szeptem, który wszyscy w pokoju doskonale słyszeli, trąbiła mi w ucho najdziwniejsze o nim szczegóły. Prosto uciekłem. Lubię mieć własny sąd o ludziach. Ale lady Brandon postępuje ze swymi gośćmi, jak akcjonariusz ze swym towarem. Albo zupełnie ich pomija, albo opowiada o nich wszystko, prócz tego, co byłoby naprawdę ciekawe.

— Biedna lady Brandon! Ostro ją sądzisz, Henryku! — rzekł Hallward niedbale.

— Mój drogi, chciała mieć salon, a udało się jej otworzyć tylko restaurację. Za cóż miałbym zachwycać się nią? Powiedz mi jednak, co powiedziała o panu Dorianie Gray?

— Ach! coś w tym rodzaju „Śliczny chłopiec — jego biedna matka była moją nierozłączną przyjaciółką. Zupełnie zapomniałam, czym on zajmuje się, chyba niczem, — ach, tak, grą na fortepianie, jeżeli nie na skrzypcach, kochany panie Gray?”. Nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu i odrazu zostaliśmy przyjaciółmi.

— Śmiech to wcale niezły początek przyjaźni i najczęściej bywa też najlepszym jej zakończeniem, — rzekł młody lord, zrywając znowu stokrotkę.

Hallward wstrząsnął głową. — Ty nie rozumiesz, Henryku, — wyszeptał — co to jest przyjaźń, albo nieprzyjaźń. Ty lubisz wszystkich; lub jeśli wolisz, dla każdego jesteś obojętnym.

— Jakże okropnie niesprawiedliwy jesteś! — zawołał lord Henryk, zsuwając kapelusz na tył głowy i patrząc w górę na obłoki, płynące po głęboko turkusowym błękitie letniego nieba, niby lśniące płatki białego jedwabiu. — Tak, okropnie niesprawiedliwy. Ro-

bię między ludźmi wielkie różnice. Przyjaciół wybieram sobie dla ich dobrego wyglądu, znajomych dla ich dobrego charakteru, a nieprzyjaciół dla ich bystrego umysłu. Człowiek nigdy nie może być dość oględnym przy wyborze swych wrogów. Nie mam ani jednego, któryby był głupcem. Owszem, są to wszystko ludzie o wybitnie mocnej inteligencji, więc też umieją ocenić mnie. Czy świadczy to o mej próżności? Zdaje się, że jestem próżny.

— Myślę, że tak jest naprawdę. Ale stosując się do twojej metody doboru, winienem uważać się tylko za zwykłego znajomego.

— Mój drogi, stary Bazyli, jesteś dla mnie więcej, niż znajomym.

— A mniej, niż przyjacielem, czemś, jak mnie mam, w rodzaju brata?

— Ach, bracia! Za nic mam braci. Mój starszy brat nie myśli umierać, a młodszy, zdaje się, nie robią nic innego.

— Henryku! — wykrzyknął Hallward, marszcząc brwi.

— Mój drogi towarzyszu, nie mówię tego zupełnie poważnie. Ale nie mogę się powstrzymać od nienawiści do mych krewnych. Pochodzi to zapewne stąd, że nikt z nas nie znosi widoku osób, mających te same wady. Razem z demokracją angielską podzielam nienawiść do tego wszystkiego, co nazywają występkami wyższych sfer. Tłum rozumie doskonale, że pijaństwo, głupota i rozpusta są jego własnością, więc jeśli kto z nas, robiąc z siebie osła, przywłaszcza sobie jedną z tych przywar, wygląda jak kłusownik, polujący na cudzem polu. Gdy ów biedny Southwark stanął przed sądem rozwo-dowym, wspaniałem było oburzenie tłumu. Jestem zaś

przeświadczony, że dziesięć procent proletariatu nie prowadzi się należyście.

— Nie zgadzam się z tobą nawet na jedno słowo, Henryku, czuję przytem napewno, że ty się nie zgadzasz z tem, co mówisz.

Lord Henryk gładził swą ciemną, długą, śpiczasto przyszczyżoną brodę i hebanową laską uderzał w swój but z wyborowej skóry. — Jaki z ciebie anglik, Bazyli! Poraz wtóry już robisz mi tę uwagę. Jeżeli ktoś prawdziwemu anglikowi powie myśl swoją, co zawsze jest rzeczą bardzo śmiałą, on nigdy nie patrzy na to, czy sama przez się jest dobrą albo złą. Obchodzi go więcej to, w co ktoś wierzy, albo nie wierzy. Tymczasem wartość myśli jest zupełnie niezależna od wygłaszającego ją człowieka. Jest owszem prawdopodobnem, że wartość myśli jest tem większa, im człowiek jest mniej szczerym, tem więcej bowiem będzie zabarwiona jego potrzebami, pragnieniami lub przesadami. Nie chcę jednak rozprawiać z tobą o polityce, socjologii lub metafizyce. Więcej niż zasady, podobają mi się ludzie, a ludzie bez zasad więcej od wszystkich innych. Opowiedz mi lepiej coś o panu Dorianie Grayu? Czy często go widzisz?

— Codziennie. Inaczej nie czułbym się szczęśliwym. Jest mi niezbędnie potrzebnym.

— To nadzwyczajne! Myślałem, że poza sztuką nic cię już obchodzić nie będzie.

— On jest teraz całą moją sztuką, — odparł malarz poważnie. — Przychodzi mi niekiedy na myśl, że w dziejach świata są tylko dwie epoki o pewnej doniosłości. Pierwszą jest zdobycie dla sztuki nowego środka, drugą zjawienie się nowej osobistości twórczej. Tem, czem dla wenecjan był wynalazek malarstwa olejnego,

czem oblicze Antinousa dla dawnej sztuki greckiej, tem stanie się kiedyś dla mnie Dorian Gray. Nietylko dlatego, że maluję podług niego, podług niego rysuję i szkicuję, bo robiłem to już przedtem, ale poza^{tem} jest on dla mnie czemś więcej, niż modelem lub wzorem. Nie mówię, żebym nie był zadowolony z tego, com z niego utworzył, albo że jego piękna nie można oddać w sztuce. Na świecie niema nic, czegoby nie można wyrazić w sztuce, i wiem dobrze, że dzieło, które namalowałem po spotkaniu z Dorianem Grayem, jest pięknem, najlepszem dziełem mego życia. Ale jakimś dziwnym, niepojętym sposobem — będę zdumiony, jeśli zdołasz mnie zrozumieć — osobowość jego natchnęła mnie zupełnie nowym rodzajem sztuki, zupełnie nowym stylem. Odmienne widzę rzeczy, odmiennie o nich myślę. Mogę teraz tworzyć na drodze poprzednio przedemną zamkniętej. „Kształt wymarzony w godzinach myśli“, kto to powiedział, nie pamiętam, lecz tem właśnie stał się dla mnie Dorian Gray. Jedyne widoma obecność tego młodzianka, gdyż jest on dla mnie młodziankiem, choć ma lat przeszło dwadzieścia, jedynie widoma jego obecność! Ach! zdumiewałoby mię, jeśli byś uświadamiał sobie, co to wszystko znaczy? Bez-
wiednie odsłonił on przedemną linje świeżej szkoły, szkoły łączącej namiętność ducha romantyzmu z doskonałością ducha greckiego. Harmonja duszy i ciała — jakże wiele! W naszym zaślepieniu oddzieliliśmy oboje, aby wynaleźć prostacki realizm i pusty idealizm. Henryku! gdybyś tylko wiedział, czem jest dla mnie Dorian Gray! Pamiętasz mój krajobraz, za który Agnew dawał mi tak wysoką cenę, ale z którym nie chciałem się rozstać? To jeden z najlepszych mych obrazów, a dlaczego, bo gdy malowałem go, Dorian Gray sie-

dział przy mnie. W jego obecności działał na mnie jakiś subtelny wpływ i poraz pierwszy w życiu w zwykłym krajobrazie leśnym uchwyciłem ten czar, którego poszukiwałem oddawna i zawsze napróżno.

— To nadzwyczajne, Bazyli! Muszę zobaczyć Doriana Graya.

Hallward powstał z ławki i począł chodzić po ogrodzie. Po chwili wrócił. — Henryku, — powiedział — Dorian Gray jest tylko dla mnie wątkiem artystycznym. Ty nie dojrzysz w nim nic, ja widzę w nim wszystko. W dziele mojem nigdy nie jest bardziej obecnym niż wtedy, kiedy jego obrazu tam niema. Jak powiedziałem, jest on natchnieniem nowego stylu. Odnajduję go w załamaniach niektórych linii, we wdzięku i subtelności niektórych barw. Oto wszystko.

— Dlaczegoż więc nie chcesz wystawić jego portretu? — zapytał lord Henryk.

— Gdyż mimowoli włożyłem weń wyraz tego całego ubóstwienia artystycznego, o jakim zresztą Dorianowi nigdy nie wspomniałem. On o tem nic nie wie. Nigdy nie będzie wiedział. Ale ludzie mogliby odgadnąć, a przed poziomemi spojrzeniami ciekawych nie chcę odsłaniać swej duszy. Serca mego nigdy nie oddam pod ich mikroskop. W obrazie tym, Henryku, jest za wiele mnie samego, za wiele!

— Poeci nie mają tylu zastrzeżeń, gdyż wiedzą, ile namiętność artysty sprzyja rozpowszechnieniu jego dzieł. W dzisiejszych czasach złamane serce osiąga wiele wydań.

— Nienawidzę ich za to, — zawołał Hallward. — Artysta winien tworzyć dzieła piękne, ale w nie nie wkładać nic z własnego życia. Żyjemy w wieku, w którym uważa się sztukę tylko za rodzaj autobiografji.

Zatraciliśmy zmysł piękna abstrakcyjnego. Pewnego dnia ukażę światu, czem ono jest, i dlatego świat nigdy nie zobaczy mego portretu Doriana Graya.

— Zdaje mi się, Bazyli, że nie masz racji, ale nie będę się z tobą sprzeczał. Tylko umysłowi bankruci prowadzą spory. Powiedz mi, czy Dorian Gray kocha cię bardzo?

Malarz namyślał się przez chwilę. — On lubi mnie, — odparł po przerwie — wiem, że mnie lubi. Zresztą schlebiam mu bardzo. Uczuвам dziwną przyjemność, mówiąc mu rzeczy, których mówić mu nie powinienem. Zazwyczaj jest dla mnie bardzo miły, całe dnie spędzamy w pracowni na rozmowach o tysiącnych rzeczach. Niekiedy bywa mocno roztargniony, i zdaje się, że sprawia mu wówczas przyjemność, jeśli dokuczy mi czem. Wówczas czuję, Henryku, że całą swą duszę oddałem człowiekowi, obchodzącym się z nią, jak z kwiatem do butonierki, ze schlebającym jego próżności skrawkiem odznaki, lub jak z ozdobą na jeden dzień letni.

— Letnie dnie, Bazyli, są długie, — szepnął lord Henryk. — Może prędzej sprzykrzy się on tobie, niż ty jemu. Jestto smutne, ale genjusz bezwątpienia trwa dłużej, niż piękno. Tłumaczy to, czemu zadajemy sobie tyle trudu, aby zdobyć sobie wyższą kulturę. W dzikiej walce o byt potrzeba nam czegoś, co trwa, i dlatego w karlej nadziei zachowania światowego stanowiska, zawałamy nasz umysł rumowiskiem faktów. Ideałem nowoczesnym jest człowiek wykształcony wszechstronnie. Umysł takiego człowieka jest czemś przerażającym, wygląda niczem tandetny stragan, pełen dziwactw i kurzu, gdzie wszystko ocenia się powyżej wartości. Sądzę, że właśnie ciebie znudzi on pierwej. Pewnego dnia

spojrzysz na swego przyjaciela, aby dostrzec, że jest przerysowany, albo przejaskrawiony w kolorze, lub coś podobnego. W duszy będziesz wymawiał mu to z goryczą, z tem przeświadczeniem, że wyrządził ci krzywdę. Gdy opanujesz się znowu, będziesz dlań zimny i obojętny. Będzie to smutne, gdyż zmieni ciebie. Opowiadałeś mi cały romans, nazwałbym go romansem sztuki, a najgorszą stroną każdego romansu jest to, że robi ludzi tak bardzo nieromantycznymi.

— Nie mów tak, Henryku. Póki będę żył, będę pod wpływem osoby Doriana Graya. Nie możesz czuć tego, co ja. Jesteś zbyt zmienny.

— Ach, mój drogi Bazyli, właśnie dlatego odczuć to mogę tak dobrze. Wierni znają tylko powszednią stronę miłości, niewierni znają jej tragedję. — Lord Henryk, potarłszy zapalną o misterne pudełko srebrne, zapalił papierosa z wyrazem tak pewnym i zadowolonym, jakgdyby jednym zdaniem udało mu się określić cały świat. Na ciemną zieleń bluszczu opadła wrzaskliwa ciżba wróbli, a błękitne cienie obłoków przemykały się po trawniku jakby jaskółki. Pięknie było w tym ogrodzie! Wrażenia innych ludzi wydawały się lordowi czarujące, więcej czarujące od ich myśli. Godnemi uwagi w życiu były dlań własna dusza i uczucia jego przyjaciół. Z cichem zadowoleniem wyobrażał sobie nudne śniadanie, które opuścił z powodu tak długiej bytności u Bazylego Hallwarda. Gdyby był poszedł do ciotki, napewno spotkałby u niej lorda Goodberry, rozmowa toczyłaby się około wspomagania ubogich i konieczności zakładania wzorowych przytułków. Słyszałby, jak ludzie głoszą ważność cnót, do których uprawiania nie mieli w swem życiu sposobności. Bogaci mówiliby o znaczeniu oszczędności, wymowni

próżniacy o dostojęństwie pracy. Cudownie, że ominął to wszystko! Wspomnienie ciotki nasunęło mu pewną myśl. Zwrócił się do Hallwarda, mówiąc: — Mój drogi towarzyszu, teraz sobie przypominam.

— Co przypominasz sobie, Henryku?

— Przypominam sobie, gdzie usłyszałem nazwisko Doriana Graya.

— Gdzież to? — spytał Hallward, lekko marszcząc brwi.

— Nie patrz tak srogo, Bazyli. Było to u mej ciotki, lady Agaty. Opowiadała mi, że poznała uroczego młodego mężczyznę, który będzie jej pomagał w East End i nazywa się Dorian Gray. Mogę cię upewnić, że nic nie wspomniała o jego urodzie. Kobiety, przynajmniej kobiety dobre, nie znają się na urodzie. Mówiła, że jest bardzo poważny i ma piękny charakter. Wyobraziłem go sobie, jako chuderlawego osobnika w okularach, o rzadkich włosach, bardzo piegowanego i z dużymi nogami. Szkoda, iż nie wiedziałem, że to jest twój przyjaciel.

— Rad jestem, Henryku, żeś o tem nie wiedział.

— Dlaczego?

— Nie chcę, abyś spotykał się z nim.

— Nie chcesz, żebym spotykał się z nim?

— Nie.

— Proszę pana, pan Dorian Gray jest w pracowni, — oznajmił służący, wchodząc do ogrodu.

— Będziesz musiał przedstawić mi go teraz, — zawołał lord Henryk, śmiejąc się.

Malarz zwrócił się do służącego, który stojąc w słońcu, mrużył oczy: — Poproś, Parkerze, pana Graya, aby zaczekał na mnie. Przyjdę tam za chwilę. — Służący, skłoniwszy się, odszedł.

Hallward spojrział na lorda Henryka. — Dorian Gray jest mym najdroższym przyjacielem, — powiedział. — To natura prosta i piękna. Ciotka twoja określiła go zupełnie trafnie. Nie psuj go. Nie staraj się wpływać na niego. Twój wpływ byłby dlań zgubnym. Świat jest wielki i nie brak ludzi ciekawych. Nie zabieraj mi jedyne go człowieka, nadającego mej sztuce cały jej czar; me życie, jako artysty, zależy od niego. Pamiętaj, Henryku, że polegam na tobie. — Mówił bardzo powoli, i zdawało się, że słowa wymykały mu się z ust wbrew jego woli.

— Co za głupstwa pleciesz! — z uśmiechem rzekł lord Henryk, i biorąc Hallwarda pod rękę, niejako siłą wprowadził go do domu.

ROZDZIAŁ II.

Wchodząc, spostrzegli Doriana Graya, tyłem do nich siedzącego za pianinem i przewracającego karty „Scen leśnych“ Schumanna. — Musisz pożyczyć mi to, Bazyli, — zawołał. — Muszę nauczyć się tego. Jest to wprost czarujące.

— To zależy od tego, jak mi będziesz dziś pozo-
wał, Dorianie.

— Ach, dość już mam pozowania i nie zależy mi na portrecie wielkości naturalnej, — odparł młodzieniec z przekorą, kręcąc się na taburecie. Na widok lorda Henryka przelotnie zarumienił się i zerwał. — Przepraszam cię, Bazyli, ale nie wiedziałem, że nie jesteś sam.

— Oto, Dorianie, lord Henryk Wotton, stary mój przyjaciel z Oxfordu. Opowiadałem mu właśnie, jaki doskonały z ciebie model, a ty wszystko popsuleś.

— Nie popsuł mi pan przyjemności poznania pana, panie Gray, — powiedział lord Henryk, przystępując doń i podając mu rękę. — Ciotka moja często opowiadała mi o panu. Jest pan jednym z jej ulubieńców i, obawiam się, że również jedną z jej ofiar.

— Obecnie lady Agata patrzy na mnie krzywo, — odparł Dorian z zabawnym wyrazem skruchy. — Przyrzekłem w zeszły wtorek towarzyszyć jej do jakiegoś klubu w Whitechapel i zapomniałem o tem zupełnie.

Mieliśmy tam grać razem duet, czy raczej trzy duety. Nie mam wprost odwagi pójść teraz do niej.

— Ach! pogodzę pana z moją ciotką. Jest dla pana bardzo życzliwa i nie sądzę, aby to zapomnienie zaszkodziło panu. Słuchacze i tak zapewne myśleli, że był to duet, gdyż ciotka Agata sama jedna wali w fortepian za dwoje.

— Jestto złośliwe w stosunku do niej, a i dla mnie niezbyt pochlebne, — odparł Dorian, śmiejąc się.

Lord Henryk patrzył na niego. Tak, w istocie był cudownie piękny ze swemi cienko zarysowanemi purpurowemi ustami, z pogodnemi, błękitnemi oczami, z falistemi, złotemi włosami. Twarz jego odrazu wzbudzała zaufanie. Malowała się na niej szczerość młodości i niepokalana czystość. Czuć było, że świat go jeszcze nie zepsuł. Nic dziwnego, że Bazyli Hallward uwielbiał go.

— Masz pan doprawdy zbyt wiele wdzięku, aby robić filantropję, panie Gray, zbyt wiele wdzięku. I lord Henryk spoczął na kanapie, otwierając papierośnicę.

Malarz zajęty był tymczasem mieszaniem farb i porządkowaniem pędzli. Wyglądał, jakby był niezadowolony, a po ostatniej uwadze lorda Henryka, spojrzawszy na niego i po chwili wahania, rzekł, — Henryku, chciałbym dziś skończyć obraz. Czy bardzo będziesz się gniewał, jeżeli poproszę cię, abyś sobie poszedł?

Lord Henryk uśmiechnął się i spojrzał na Doriana Graya. — Czy mam odejść? — zapytał.

— Oh nie, proszę pana, lordzie Henryku. Widzę, że Bazyli jest znowu w złym humorze. Nie znoszę go, kiedy marudzi. Przedewszystkiem, chciałbym zapytać pana, dlaczego nie powinienem zajmować się filantropją.

— Nie sędzę, panie Gray, abym miał tak panu powiedzieć. Jestto nudny przedmiot, o którym należałoby mówić poważnie. Ale chyba nie odejdę, skoro pan mnie zaprasza, abym pozostał. Jest to ci chyba wszystko jedno, Bazyli? Nieraz wspominałeś mi, że lubisz, gdy twój model ma z kim rozmawiać.

Hallward zagryzł wargi. — Skoro Dorian sobie tego życzy, oczywiście musisz zostać. Kaprysy Dorianasą prawem dla każdego, oprócz dla niego.

Lord Henryk wziął kapelusz i rękawiczki. — Bardzo jesteś uprzejmy, Bazyli, ale muszę odejść. Przyszedłem spotkać się z kimś u Orleanów. Do widzenia, panie Gray. Niech pan odwiedzi mię kiedy na ulicy Curzona. Prawie zawsze jestem w domu o piątej godzinie. Niech pan napisze mi, kiedy pan przyjdzie. Byłbym niezadowolony, gdyby pan nie zastał mnie.

— Bazyli, — zawołał Dorian Gray, — jeśli lord Henryk Wotton pójdzie, to i ja odejdę. Kiedy malujesz, nigdy ust nie otworzysz, a to strasznie nudno stać na podjum i robić do tego przyjemny wyraz twarzy. Poproś pana, aby pozostał. Nalegam na to.

— Zostań Henryku, aby zobowiązać Dorianas, a zobowiążesz mnie, — powiedział Hallward, wpatrzony całkowicie w swój obraz. — Jest to prawda, że nigdy nic nie mówię, kiedy pracuję, i nigdy nie słucham, gdy mówią do mnie, co musi być strasznie nudne dla mych nieszczęsnych modeli. Zostań, proszę cię.

— Ale co będzie z tym znajomym u Orleanów?

Malarz roześmiał się. — Nie sędzę, aby miało to być przeszkodą. Siadaj, Henryku. A teraz, Dorianie, wejdź na podjum, nie ruszaj się zanadto i nie zwracaj zbyt wielkiej uwagi na to, co mówi lord Henryk. Ma

on bardzo zły wpływ na wszystkich swych przyjaciół, z wyjątkiem mnie jednego.

Dorian Gray wstąpił na podjum z wyrazem młodego męczennika greckiego, porozumiewawczy gest lekkiego niezadowolenia rzucając w kierunku lorda Henryka, którego już zdążył polubić. Taki był niepodobny do Bazylego. Oni obaj stanowili krańcowe przeciwieństwo. I miał tak piękny głos. Po paru chwilach zwrócił się do niego, — czy pan naprawdę wywiera tak zły wpływ, lordzie Henryku? Tak zły, jak o tem mówił Bazyl?

— Niema panie Gray czegoś, co możnaby nazwać dobrym wpływem. Każdy wpływ jest niemoralny, niemoralny ze stanowiska naukowego.

— Dlaczego?

— Wpływać na kogoś, jest to oddawać mu swą duszę. On już nie może myśleć swym własnym umysłem, ani kierować się swym własnym uczuciem. Jego cnoty nie należą już do niego. Nawet jego grzechy, jeśli grzechy wogóle istnieją, są pożyczane. Staje się echem czyjejs obcej muzyki, aktorem w roli nie dla niego pisanej. Celem życia jest rozwój siebie samego. Naszem zadaniem jest doskonałość wyrażenia własnej istoty. Obecnie ludzie obawiają się samych siebie. Zapominają o najwyższym ze wszystkich obowiązków, o obowiązku względem siebie samego. Są oni istotnie miłośnierni. Karmią głodnych i odziewają nagich. Ale ich własna dusza cierpi głód i marznie. Rasa nasza pozbyła się odwagi. Może naprawdę nie posiadaliśmy jej nigdy. Przemoc społeczeństwa, będącego podstawą moralności, przemoc Boga, będącego tajemnicą religji, — oto rządzące nami czynniki. A jednak — —

— Odwróć głowę nieco na prawo, Dorianie, jak

dobry chłopiec, — wtrącił malarz, pogrążony w swej pracy, zdoławszy zauważyć tylko, że twarz Doriana przybrała nieznany mu przedtem wyraz.

— A jednak, — mówił dalej lord Henryk cichym, dźwięcznym głosem, podkreślając słowa tym wytwornym ruchem ręki, zdawna mu właściwym jeszcze od czasów szkoły etońskiej, — sądzę, że gdyby człowiek zdobył się, aby wyżyć się w pełni do dna, zechciał dać kształt każdemu uczuciu, wyraz każdej myśli, rzeczywistość każdemu marzeniu — sądzę, że świat doznałby takiego napływu świeżej radości, iż zapomnielibyśmy o wszystkich chorobach średniowiecza i powrócilibyśmy do ideału helleńskiego, może być nawet, do czegoś piękniejszego i bogatszego od ideału helleńskiego. Ale najodważniejszy wśród nas lęka się samego siebie. Samookaleczanie się człowieka dzikiego jest tragicznym przeżytkiem w samozaprzeczeniu, zabagniającem nasze życie. Jesteśmy karani za naszą wstrzemięźliwość. Każde dążenie, które staramy się unicestwić, trawi naszego ducha i zatruwa nas. Najpierw grzeszy ciało i zadowala się swym grzechem, bowiem czyn jest pewnego rodzaju oczyszczeniem. Pozostaje tylko wspomnienie rozkoszy lub rozpustny żal. Jedynym sposobem zwalczenia pokusy jest poddanie się jej. Gdy się opieramy, dusza nasza chorobliwie pożąda tego, czego jej odmówiono, potęgując swą żądzę pragnieniem tego, co potworne prawa uczyniły potwornem i bezprawnem. Powiedziano, że największe zdarzenia świata dokonywują się w mózgu. W mózgu też, i jedynie w mózgu spełniają się największe grzechy świata. Pan, panie Gray, z pańską różano-czerwoną młodością i z różanobiałą chłopięcością, miewałeś uczucia, które cię napaływały lękiem, myśli, które cię napełniały przerażeniem,

marzenia na jawie i marzenia senne, na których samo wspomnienie twarz twoja oblewała się rumieńcem — —

— Dość! — jęknął Dorian Gray, — dość! przeraża mnie pan. Nie wiem, co powiedzieć. Miałbym czem zaprzeczyć panu, ale nie umiem znaleźć. Nie mów pan. Pozwól mi zastanowić się. Albo raczej, pozwól pan, abym przestał myśleć.

Blisko dziesięć minut stał bez ruchu, z otwartemi ustami, z dziwnie rozszerzonymi źrenicami. Niewyraźnie uświadamiał sobie, że jest pod wpływem działania zupełnie nowych sił, ale wydawało mu się zarazem, iż wypływają z niego samego. Kilka zdań, wypowiedzianych przez przyjaciela Bazylego, zapewne przypadkowych, bezwątpienia, a celowo paradoksalnych, poruszyło w nim jakąś tajemniczą, nigdy jeszcze niepotraconą strunę, która jednak rozedrgała teraz i rozkołysała się ciekawemi falami.

Podobnie oddziaływała nań muzyka. Niepokoiła go niekiedy, ale nie przemawiała doń słowami. Nie był to nowy świat, lecz raczej przez nią stwarzany w nas chaos. Słowa! Tylko słowa! Jakież przerażające! Jakież jasne, oczywiste i okrutne! Nikt im nie ujdzie. A jednak, jaki w nich magiczny czar! Zdają się tworzyć plastyczny kształt dla rzeczy bezkształtnych, posiadać swój własny rytm, równy dźwiękiem skrzypcom lub lutni. Tylko słowa! Jestże cokolwiek równie rzeczywistego, jak słowa?

Tak, w dzieciństwie jego bywały zdarzenia, których nie rozumiał. Rozumie je teraz. Życie nabrało dlań nagle płomiennych barw. Wydawało mu się, że kroczył był w ogniu. Dlaczego nie wiedział o tem?

Lord Henryk czuwał nad nim ze swym spokojnym uśmiechem. Rozumiał psychologiczny moment

milczenia. Poczuł się głęboko zaciekawionym. Zdumiewał się nagłością wrażenia, wywołanego jego słowami, a przypominając sobie książkę, czytaną w szesnastym roku życia, która odkryła mu nieprzeczuwane przedtem rzeczy, zachwycił się, że Dorian Gray doznaje podobnego doznania. Strzałę swoją wypuścił wprost w powietrze. Czyżby trafiła? Jaki czarujący jest ten młodzieniec!

Hallward wciąż malował w swój cudownie śmiały sposób, pełen prawdziwej wytworności i doskonałej szlachetności, co w sztuce jest, bądź co bądź, oznaką wypływającą z siły. Nie zauważył milczenia.

— Bazyli, jestem znużony pozowaniem, — zawołał Dorian Gray. — Muszę odejść i spocząć w ogrodzie. Tu jest duszno.

— Bardzo mi cię żal, mój drogi chłopcze. Kiedy maluję, o niczem nie myślę. Nigdy nie pozowałeś lepiej. Byłeś zupełnie spokojny. Ująłem nareszcie ów poszukiwany wyraz — wpółotwarte usta i szeroko rozwarte oczy. Nie wiem, co mówił ci Henryk, ale to na pewno on wywołał w tobie ten cudowny wyraz. Podejrzewam, że musiał prawić ci pochlebstwa. Nie wierz mu ani słowa.

— Właśnie, że nie prawił mi pochlebstw. Może też dlatego nie powinienem wierzyć w to, co powiedział.

— Wiesz pan najlepiej, że wierzysz we wszystko, — powiedział lord Henryk, patrząc na niego swemi marzycielskimi, znużonemi oczami. — Pójdę z panem do ogrodu. W pracowni jest strasznie gorąco. Bazyli, każ nam podać jaki napój chłodzący, coś z poziomkami.

— Dobrze, Henryku. Bądź łaskaw zadzwonić na

Parkera, abym powiedział mu, czego chcecie. Muszę jeszcze podmalować to tło, poczem przyjdę do was. Nie zatrzymuj mi Doriana za długo. Nigdy jeszcze lepiej, jak dziś, nie byłem usposobiony do pracy. Będzie to moje arcydzieło. To już jest moje arcydzieło.

Wyszedłszy do ogrodu, lord Henryk ujrzał Doriana Graya z głową wtuloną w olbrzymie pęki kwiecica bzu, namiętnie wchłaniającego mocną woń, jakby to było wino. Zbliżył się do niego i rękę swoją położył na jego ramieniu. — Dobrze pan robisz, — wyszeptał. — Nic tak nie zdoła uleczyć duszy, jak zmysły, tak samo, jak nie co innego, tylko dusza może uleczyć zmysły.

Młody człowiek zadrżał i cofnął się. Był bez kapelusza, a liście bzu odsunęły na tył głowy przekorne puki włosów, płacząc ich nici złociste. W jego spojrzeniu zdawała ukazywać się trwoga, jak u człowieka nagle obudzonego. Wytwornie wyrzeźbione nozdrza drżały, a jakiś ukryty nerw kurczowo dygotał purpurowymi ustami.

— Tak, — mówił lord Henryk, — to jedna z największych tajemnic życia — leczyć duszę zapomocą zmysłów i zmysły zapomocą duszy. Jest pan zachwycającą istotą. Wiesz pan więcej, niż zdajesz się wiedzieć, a jednak wiesz mniej, niż powinieneś.

Dorian Gray, marszcząc brwi, odwrócił głowę. Nie mógł nie polubić tego pięknego i pełnego wdzięku młodego mężczyzny, który stał przy nim. Jego romantyczna, oliwkowo zabarwiona, znużeniem nacechowana twarz zajmowała go. Jakiś nieprzeparty urok udzielał się z jego cichego, omdlewającego głosu. Nawet jego ręce, zimne, białe, podobne do kwiatów, miały w sobie niezwykły czar. Gdy mówił, poruszały się w takt rytmu,

jakby posiadały swą własną wymowę. Dorian lękał się go i równocześnie wstydził się swej obawy. Dlaczego musiał przyjść ów obcy człowiek, aby zobaczyć się sam w sobie? Bazylego Hallwarda znał od kilku miesięcy, ale przyjaźń z nim nie zmieniła go wcale. Nagle wkroczył w jego życie ktoś, mający — zda się — otworzyć mu tajemnicę życia. A jednak, dlaczego obawia się go? Nie jest przecie uczniakiem, ani dziewczyną. Niedorzecznym jest ten jego lęk.

— Usiadźmy w cieniu, — rzekł lord Henryk. — Parker przyniósł właśnie napoje, a jeśli dłużej będziesz pan stał na tym skwarze, zepsujesz sobie cerę, i Bazyli nie będzie chciał malować pana. Istotnie, nie powinien się pan opalać. Byłoby z tem panu nie do twarzy.

— Cóż mi na tem zależy? — śmiejąc się, zawołał Dorian Gray, siadając na ławce w głębi ogrodu.

— Panu powinno bardzo na tem zależeć, panie Gray.

— Dlaczego?

— Bo jesteś pan cudownie młodym, a młodość jest jedyną rzeczą, godną posiadania.

— Nie uważam tego, lordzie Henryku.

— Nie uważasz pan tego teraz. Przyjdzie dzień, gdy staniesz się starym i brzydkim, gdy myśl pomarszczy panu czoło, a ohydny żar namiętności spali usta, wówczas zrozumiesz to pan. Teraz, gdziekolwiek się zwrócisz, czarujesz wszystkich. Czy zawsze tak będzie?... Panie Gray, jesteś cudownie piękny. Nie marszcz pan czoła. Piękność jest jednym z kształtów genjusza, piękność jest czemś więcej, niż genjusz, bo nie wymaga objaśnień. Należy do wielkich zdarzeń świata, jak słońce, wiosna lub odbicie srebrnego sierpa

księżycowego na ciemnych wodach. Ona nie podlega zaprzeczeniu. Posiada swe boskie prawo panowania. Książętami czyni tych, co ją posiadają. Pan się uśmiecha? Kiedyś, gdy ją postradasz, nie będziesz się pan uśmiechał... Mówią wprawdzie, że piękność jest tylko zewnętrzną. Być może. W istocie jednak jest mniej powierzchowną, niż myśl. Dla mnie, piękność jest cudem cudów. Tylko ludzie płytki nie sądzą według pozorów. Prawdziwa tajemnica świata tkwi w widzialnem, a nie w niewidzialnem... Tak, panie Gray, cieszy się pan łaską bogów. Co dają jednak, rychło też odbierają. Mało lat ma pan na życie prawdziwe, doskonałe i pełne. Z młodością przeminie pańska piękność i nagle odkryjesz pan, iż nie czekają już pana triumfy, lub musisz zaspokajać się temi błahemi zwycięstwami, które wspomnienie twej młodości uczyni gorszymi od klęsk. Każda odmiana księżyca zbliża pana do czegoś straszniejszego. Czas zazdrości panu i wiedzie bój o pańskie lilje i róże. Staniesz się pan bladym, twarz ci zapadnie, spojrzenie przygaśnie. Okropnie pan będziesz cierpiał... Ach! póki ją pan masz, urzeczywistniaj swą młodość. Nie roztrwaniaj złota twych dni, nie słuchaj głupców, starających się powstrzymać nieuniknioną klęskę, a strzeż się ludzi ciemnych, pospolitych i ordynarnych. To chorobliwy cel, fałsz naszej epoki. Żyj! Żyj cudownem życiem twojem! Nie trać ani jednej chwili. Szukaj nowych wzruszeń. Nie lękaj się niczego... Nowy hedonizm — oto, co stoi przed naszym stuleciem. Pan możesz być jego widomym symbolem. Nic nie istnieje, czego swoją osobowością nie mógłbyś dokazać. Na jeden sezon cały świat jest twoim... Kiedy ujrzałem pana, odrazu zauważyłem, iż nie wiesz sam, czem jesteś właściwie i czem stać się możesz. Czar, który w panu uj-

rzałem, podbił mnie, więc uczułem się zmuszonym, aby opowiedzieć ci cośkolwiek o tobie samym. Pomyślałem, iż byłoby tragicznem, gdybyś się miał zmarnować. Bo młodość pańska będzie trwała tak krótko — tak bardzo krótko. Zwykle kwiaty polne więdną, ale rozkwitają nanowu. Na przyszły czerwiec wielokwiat będzie złocił się tak, jak teraz. Za parę tygodni purpurowe gwiazdy będą się unosiły nad tym oto powojnikiem, a co roku zielona noc jego listowia tak samo będzie nosiła purpurę tych gwiazd. Ale nasza młodość nie wraca nigdy. Drgające w nas w roku dwudziestym tętno radości zaczyna słabnąć, nasze członki stają się ociężałe, zmysły tępieją. Wyradzamy się w obrzydliwe szkielety, w których pokutuje jedynie upiorne wspomnienie namiętności, którym nie ulegliśmy z lęku, i pokus, które odsunęliśmy przez brak odwagi. Młodość! Młodość! Na świecie niema nic ponad młodość!

Dorian Gray wsłuchiwał się, ze zdumienia rozszerzając źrenice. Gałązka bzu wypadła mu z ręki na ogrodową ścieżkę. Nadfrunęła włochata pszczoła i przez chwilę słychać było jej brzęk. Następnie zaczęła się wspinać po gwiaździstych koronach wytwornego kwiatu. Patrzył na nią z owem dziwnem zaciekawieniem dla rzeczy drobnych, jakie usiłujemy ukazywać, skoro zajmują nas i trwożą rzeczy wielkie, lub wstrząsa nami nowe uczucie o nieznanym wyrazie, lub straszna jakaś myśl napada nasz mózg i chce go opanować. Po chwili pszczoła odleciała. Widział, jak wchodziła w głąb kielicha powoju. Kwiat poruszył się i przez chwilę kołysał się wdzięcznie w dwie strony.

Nagle w drzwiach pracowni ukazał się malarz, niecierpliwemi znakami przyzywając ich z powrotem. Spojrzeli na siebie, uśmiechając się.

— Czekam, — wołał on. — Chodźcież. Światło jest teraz doskonałe, a szklanki możecie wziąć z sobą.

Powstali i wolno podążyli ścieżką. Dwa zielonobiałe motyle przefrunęły obok nich, a ze stojącej w kącie ogrodu gruszy odezwał się drozd.

— Cieszysz się, panie Gray, że poznałeś mnie — rzekł lord Henryk, patrząc na niego.

— Tak, cieszę się teraz. Czy zawsze będę się cieszył?

— Zawsze! Słowo to straszne. Skoro je usłyszę, dreszcz mną przebiega. Słowo to lubią kobiety. Psują każdy romans, usiłując zrobić go wiecznym. Słowo to jest bez znaczenia. Jedyną różnicą między kaprysem a długotrwałem uczuciem jest to, że kaprys trwa nieco dłużej.

Gdy weszli do pracowni, Dorian Gray położył swą rękę na ramieniu lorda Henryka. — W takim razie niech przyjaźń nasza będzie tylko kaprysem, — wyszeptał, rumieniąc się ze wstydu nad własną odwagą, poczem wstąpił na podjum i przyjął właściwą pozę.

Lord Henryk umieścił się wygodnie w szerokim fotelu koszykowym i z uwagą śledził go. Ciszę mąciło jedynie tarcie pędzlem o płótno, tudzież kroki Hallwarda, zbliżającego się i oddalającego od obrazu dla sprawdzenia wyglądu swego dzieła. W ukośnych promieniach słońca, wpływających przez otwarte drzwi, wirował pył, złocąc się. Nad wszystkim zdawał się ciążyć upajający zapach róż.

W jaki kwadrans czasu Hallward przestał malować, długo przyglądał się Dorianowi Grayowi, następnie obrazowi, ogryzając trzonek jednego z grubych pędzli i marszcząc brwi. — Skończone, — zawołał

wkońcu i schyliwszy się, wielkimi szkarłatnymi literami wypisał swe nazwisko w lewym rogu płótna.

Lord Henryk podszedł do obrazu i przyglądał mu się. Było to naprawdę cudowne dzieło sztuki i cudownie uchwycone podobieństwo.

— Mój drogi towarzyszu, — powiedział — pozwól, że powinszuję ci najgoręcej. Jest to najpiękniejszy portret naszych czasów. Panie Gray, chodź pan zobaczycie siebie.

Młodzieniec zadrżał, jakby nagle przebudzony z marzenia. — Naprawdę jest skończony? — wyszeptał, schodząc z podjum.

— Najzupełniej, — rzekł malarz. — Doskonale dziś pozowałeś. Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

— Jestto całkowicie moją zasługą, — wtrącił lord Henryk. — Prawda, panie Gray?

Dorian nie odpowiedział, zbliżył się niedbale do portretu i popatrzył nań. Spojrzawszy, cofnął się, a policzki jego okryły się na chwilę rumieńcem zadowolenia. Błysk radości ukazał się w jego oczach, jakby rozpoznawał siebie samego poraz pierwszy. Stał chwilę bez ruchu i w zachwycie, napół uświadamiając sobie, że Hallward mówi do niego, lecz zupełnie nierozumiejąc znaczenia jego słów. Wrażenie własnej piękności zawładnęło nim, jak objawienie. Nigdy dotąd nie odczuwał tego. Pochlebstwa Bazylego Hallwarda uważał raczej za czarującą przesadę przyjaźni. Słuchał ich, śmiejąc się, i wnet zapominał. Nie miało to na niego żadnego wpływu. Wtedy przyszedł lord Henryk Wotton ze swym dziwnym panegirym młodości i przerażającym ostrzeżeniem o krótkości jej trwania. W danej chwili uderzyło go to, a teraz wobec obrazu własnej piękności, uczuł w sobie pełnię urzeczywistnienia

tego wszystkiego. Tak, przyjdzie dzień, kiedy twarz jego zemnie się i pomarszczy, oczy zapadną się i utracą blask, wdzięk całej postaci złamie się i zniekształci. Zniknie purpura warg i zmatowieje złoto włosów. Życie, kształtując jego duszę, oszpeci ciało. Stanie się niemal straszny, okropny i niezdarny.

Na myśl o tem przeszył go ból dotkliwy, niby ukłucie noża, wprawiając w drganie całe jego ciało aż do najdrobniejszego włókna. Pociemniał ametyst jego oczu, zaćmiła je łzawa mgła. Zdawało mu się, że jakaś lodowata dłoń dotyka jego serca.

— Czy ci się nie podoba? — zawołał wkońcu Hallward, nieco urażony milczeniem, nieodgadując jego znaczenia.

— Oczywiście, podoba mu się, — rzekł lord Henryk. — Komuż mógłby nie podobać się? Jestto jedno z największych dzieł nowej sztuki. Dam ci za nie, co zechcesz. Muszę je mieć.

— Nie jest już moją własnością, Henryku.

— Do kogóż należy?

— Do Doriana, oczywiście, — odparł malarz.

— Ten ma naprawdę szczęście.

— Jakie to smutne! — szeptał Dorian Gray, mając oczy wciąż wpatrzone we własny portret. — Jakie to smutne! Będę stary, obrzydliwy i ohydny. Obraz ten jednak pozostanie zawsze młodym. Nigdy nie będzie starszym, niż w dzisiejszy dzień czerwcowy... Gdybyż była tylko inna droga! Gdyby mogło stać się, abym ja był zawsze młodym, a obraz starzał się. Za to — za to — dałbym wszystko! Tak, nic nie istnieje na świecie, czegobym nie oddał za to! Oddałbym za to własną duszę!

— Dla ciebie, Bazyli, zamiana taka nie byłaby

pożądana, — zawołał lord Henryk, śmiejąc się. — Zbyt ostre linje zarysowałyby się na twym obrazie.

— Broniłbym się przed tem bardzo ostro, Henryku, — rzekł Hallward.

Dorian Gray odwrócił się i spojrzał na niego. — I ja tak sędzę, Bazyli. Ty więcej kochasz sztukę, niż przyjaciół. Nie jestem dla ciebie niczem więcej od tej zielonej figurki brązowej. Najwyżej tyleż, naprawdę.

Malarz patrzył nań zdziwiony. Nigdy nie słyszał Dorianą mówiącego w sposób podobny. Co się zdarzyło? Wyglądał na rozgniewanego. Jego twarz zapłonęła, policzki oblał rumieniec.

— Tak, — mówił dalej, — nie znaczę dla ciebie tyle, co Hermes z kości słoniowej albo Faun ze srebra. Te będą ci się zawsze podobały. Jak długo mogę ci się jeszcze podobać? Przypuszczam, że dopóki nie dostanę pierwszej zmarszczki. Wiem już teraz, że tracąc urodę, jakąkolwiekby była, traci się wszystko. Twój obraz nauczył mnie tego. Lord Henryk Wotton ma zupełną rację. Młodość jest jedyną rzeczą, mającą wartość. Skoro zauważę na sobie pierwsze oznaki starości, odbiorę sobie życie.

Hallward zbladł i schwycił go za rękę. — Dorianie! Dorianie! — zawołał, — nie mów tak. Nigdy nie miałem równego tobie przyjaciela i mieć nie będę. Nie możesz być zazdrosny o rzeczy martwe, nieprawdaż? — jesteś piękniejszy nadewszystko!

— Jestem zazdrosny o wszystko, co nie traci swej urody. Jestem zazdrosny o namalowany przez ciebie mój portret. Dlaczego on zachowa to, co ja muszę utracić? Każda przemijająca chwila zabiera coś ze mnie, a jemu dodaje. Ach, gdybyż mogła być inna droga! Gdyby obraz mógł podlegać zmianom, a ja że-

bym pozostał takim, jak teraz! POCO wymalowałeś go? Pewnego dnia będzie się naigrawał ze mnie — będzie naigrawał się strasznie! — Pałace łązy napełniły jego oczy; załamał ręce i, osunąwszy się na kanapę, wtulił swą twarz w poduszki, jakgdyby modląc się.

— Oto twoje dzieło, Henryku, — rzekł gorzko malarz.

Lord Henryk wzruszył ramionami. — To jest prawdziwy Dorian Gray — oto wszystko.

— Nieprawda.

— Jeśli nie, to cóż to może mnie obchodzić?

— Powinieneś był odejść, kiedy prosiłem cię o to, wyszeptał.

— Zostałem na twoją prośbę, — odparł lord Henryk.

— Henryku, nie będę się sprzeczał naraz z mymi dwoma najlepszymi przyjaciółmi, ale obaj obrzydziłście mi moje najpiękniejsze dzieło, jakie kiedykolwiek zrobiłem. Dlatego zniszczę je. Czemże jest ono, jeśli nie płótnem i barwą? Nie chcę, aby stało na przekór nam trzem i gubiło nas.

Dorian Gray podniósł złocistą głowę z poduszek i załzawionemi oczami bladej twarzy spojrział na niego, gdy podchodził do stolika z farbami, ustawionego pod wysokiem, zasłoniętym oknem. Co on chce zrobić? Palce jego szukały czegoś w stosie starych tubek i suchych pędzli. Tak, szukał szpachli o cienkiem ostrzu z giętkiej stali. Znalazł ją wreszcie. Podeszedł do płótna, aby je pokrajać.

Ze zdławionem łkaniem zerwał się Dorian z kanapy, doskoczył do Hallwarda, wyrwał z jego ręki nóż i odrzucił go na drugi koniec pracowni. — Nie rób

tego, Bazyli, nie rób tego! — zawołał. — To byłoby morderstwem!

— Cieszę się, Dorianie, iż wreszcie cenisz me dzieło, — rzekł malarz, chłodno, otrząsnawszy się z niespodziewanego zwrotu. — Nie myślałem, że dojdzie do tego.

— Cenić je? Ależ ja ubóstwiam je, Bazyli. Ono jest częścią mnie samego. Ja to czuję.

— Dobrze zatem, skoro będziesz suchy, powerniksuje się ciebie, oprawi w ramy i odeśle do domu. Będziesz wówczas mógł zrobić z sobą wszystko, co ci się podoba. — Wpoprzek przeszedł przez pokój i zadzwonił, aby podano herbatę. — Wszak napijesz się herbaty, Dorianie? I ty także, Henryku? Lub może gardzicie tak zwyczajną przyjemnością?

— Przepadam za zwykłemi przyjemnościami, — powiedział lord Henryk. — Są one ostatniem schronieniem ludzi niezwykłych. Nie cierpię jednak scen, z wyjątkiem w teatrze. Z was obu, jacyż warjaci! Dziwię się temu, kto określił człowieka, jako rozumne zwierzę. Jestto najbardziej przedwczesne określenie, jakie kiedykolwiek wygłoszono. Człowiek jest wszystkim, ale nie rozumnym. Zresztą jestem zadowolony, że nim nie jest. Przedewszystkiem chciałbym, abyście nie kłócili się o ten portret. Zrobiłbyś, Bazyli, najlepiej, jeślibyś oddał go mnie. Ten niemądry chłopiec nie potrzebuje go wcale, a mnie zależy na nim.

— Bazyli, nie przebaczyłbym ci nigdy, gdybyś oddał go komukolwiek innemu, niż mnie! — zawołał Dorian Gray, — a pozatem nie pozwalam nikomu, aby nazywano mnie niemądrym chłopcem.

— Wiesz o tem, Dorianie, że obraz jest twój. Oddałem ci go, zanim jeszcze powstał.

— Wiesz pan także, że byłeś nieco niemądrym, panie Gray, i wiesz pan również, że nie powinienś gniewać się, gdy ci przypomni kto, iż jesteś jeszcze bardzo młody.

— Jeszcze dziś rano, lordzie Henryku, bardzobym się o to gniewał.

— Ach! dziś rano! Od tego czasu przeżyłeś pan coś.

Zapukano do drzwi, wszedł służący z pełną tacą i postawił ją na małym japońskim stoliku. Wszczął się brzęk filiżanek i spodków i syk parującego samowara. Chłopiec przyniósł dwa kuliste naczynia chińskie. Dorian Gray, podszedłszy, nalewał herbatę. Obaj mężczyźni powoli zbliżyli się do stołu i popatrzyli, co jest pod pokrywkami.

— Chodźmy wieczorem do teatru, — odezwał się lord Henryk. — Gdzieś znajdziemy przecież cokolwiek. Przysięgłem White'owi, że będę u niego na obiedzie, ale to jest tylko stary przyjaciel, więc zawiadomię go, że jestem słaby, albo że zostałem zaskoczony późniejszym zaproszeniem. Będzie to doskonała wymówka, mająca pozory szczerości.

— Nieznośne jest ubieranie się we frak, — zaznaczył Hallward. — Wygląda się w nim tak okropnie.

— Tak, — odparł marząco lord Henryk, — ubiory w wieku dziewiętnastym są obrzydliwe. Są tak ciemne, tak przygnębiające. Jedyne grzech jest rzeczywiście barwnym czynnikiem nowoczesnego życia.

— Nie powinienś mówić w ten sposób przy Dorianie, Henryku.

— Wobec którego Doriana? Czy tego, który nalewa herbatę, czy tego tam z obrazu?

— Wobec obu.

— Chciałbym pójść z panem do teatru, lordzie Henryku, — odezwał się młodzieniec.

— Więc chodźmy; ty też pójdiesz, Bazyli, prawda?

— Doprawdy, że nie mogę. Wolę pozostać. Mam dużo roboty.

— Zatem, pójdziemy my dwaj, panie Gray.

— Mam wielką ochotę.

Malarz przygryzł wargi i z filiżanką w ręku podszedł do portretu. — Zostanę z prawdziwym Dorianem, — odezwał się smutno.

— Czyż to jest prawdziwy Dorian? — zawołał model portretu, podchodząc do obrazu. — Czyż jestem naprawdę takim?

— Tak; istotnie jesteś takim.

— To cudowne, Bazyli!

— Przynajmniej wydajesz się być takim z wyglądu. Ale on nie zmieni się nigdy, — zaznaczył Hallward. — To ma wartość.

— Co za hałas robią ludzie z powodu wieczności! — zawołał lord Henryk. — Nawet w miłości jest to zagadnienie czysto fizjologiczne. Nie ma to nic wspólnego z naszą wolą. Młodzi ludzie chcieliby być wierni, ale nie są; starzy ludzie pragnęliby być niewierni, ale nie mogą, oto wszystko, co można o tem powiedzieć.

— Nie chodź dziś do teatru, Dorianie, — powiedział Hallward. — Zostań u mnie na obiedzie.

— Nie mogę, Bazyli.

— Dlaczego?

— Ponieważ obiecałem lordowi Henrykowi Wottonowi, że pójde z nim.

— Nie weźmie ci za złe, że nie dotrzymujesz obietnicy, bo sam często zawodzi. Proszę cię, nie chodź.

Dorian Gray roześmiał się, wstrząsając głową.

— Błagam cię o to.

Młodzieniec zawahał się i spojrzał na lorda Henryka, który z poza stołu z herbatą przyglądał mu się z rozbawionym uśmiechem.

— Muszę pójść, Bazyli, — odparł.

— Więc dobrze, — rzekł Hallward, zbliżając się do stolika i stawiając filiżankę na tacy. — Jest już późno, a jeśli macie się przebrać, nie powinniście tracić czasu. Do widzenia, Henryku. Do widzenia, Dorianie. Odwiedźcie mnie niebawem. Przyjdźcie jutro.

— Napewno.

— Nie zapomnisz?

— Ależ napewno, — zawołał Dorian.

— A ty... Henryku?

— Ja również, Bazyli.

— Pamiętaj, o co prosiłem cię dziś rano w ogrodzie.

— Zapomniałem już.

— Polegam na tobie.

— Chciałbym sam móc polegać na sobie, — powiedział lord Henryk, śmiejąc się. — Chodź pan, panie Gray, powóz mój czeka, odwiozę pana do domu. Do widzenia, Bazyli. Popołudnie dzisiejsze było bardzo ciekawe.

Skoro zamknęły się za nimi drzwi, malarz osunął się na kanapę, a na twarz jego wystąpił wyraz bólu.

ROZDZIAŁ III.

Nazajutrz o wpół do pierwszej lord Henryk Wotton udał się z ulicy Curzona do Albany do swego wuja lorda Fermora, dowcipnego acz nieco rubasznego staro- kavalera, nazywanego egoistą przez ludzi, którzy nic zeń wyciągnąć nie mogli, ale w towarzystwie uchodzącego za hojnego, bo suto podejmował tych, którzy umieli go zabawić. Jego ojciec był ambasadorem w Madrycie, gdy Izabela była młodą, a Prim nieznanym, wycofał się jednak ze służby dyplomatycznej w chwili kapryśnego rozdrażnienia o to, że nie zaofiarowano mu ambasady w Paryżu, uważał bowiem to stanowisko jakby za przeznaczone dla siebie ze względu na urodzenie, bezwrażliwość usposobienia, poprawną angielszczyznę depesz i niezwyčajne upodobanie w wesołem życiu. Syn był sekretarzem ojca i razem ze swym szefem również podał się był do dymisji, co poczytywano mu wówczas za pewną lekkomyślność. Zostawszy w parę miesięcy później spadkobiercą tytułu, zabrał się do poważnych studjów nad wielką arystokratyczną sztuką doskonałego próżnowania. Posiadał w mieście dwa duże domy, wolał jednak mieszkać w hotelu, bo to wygodniej, a jadał przeważnie w klubie. Trochę zajmował się swemi kopalniami węgla w hrabstwach środkowej Anglii, czynione mu z tego powodu zarzuty odpierając tem, że posiadanie kopalni

węglowych jest dla człowieka z towarzystwa przewagą, pozwalającą mu na zbytek palenia we własnym kominku drzewem. W polityce był Torysem, o ile Torysi nie byli u steru władzy, bo wówczas wciąż ich oskarżał, że są bandą radykałów. Był bohaterem dla swego służącego, który powodował nim, a postrachem dla przyjaciół, których on znowu tyranizował z kolei. Jedynie Anglja mogła wydać podobnego człowieka, on zaś utrzymywał stale, że w kraju wszystko schodzi na psy. Jego zasady były przestarzałe, ale o jego przesądach dałoby się powiedzieć wiele dobrego.

Gdy lord Henryk wszedł do pokoju, zastał wuja w grubej kurtce myśliwskiej, palącego cygaro i pomrukującego nad przeglądany „Times'em”. — I cóż, Henryku, — zapytał stary lord — cóż cię sprowadza tak wcześnie? Sądziłem, że złota młodzież nie wstaje nigdy przed drugą i przed piątą nie jest widzialna.

— Czysty sentyment rodzinny, zapewniam cię, wuju Jerzy. Chciałem cię o coś prosić.

— Przypuszczam, że o pieniądze, — rzekł lord Fermor z wyrazem niezadowolenia. — Zresztą, siadaj i mów, o co chodzi. Dzisiejsza młodzież wyobraża sobie, że pieniądz to wszystko.

— Tak, — odparł lord Henryk, poprawiając kwiat w butonierce, — a gdy zestarzeją się, wiedzą o tem napewno. Ale ja nie potrzebuję pieniędzy. Potrzebują ich, wuju Jerzy, tylko ci, którzy płacą długi, ja nie płacę swoich. Kredyt jest kapitałem młodszych synów i żyje się z niego doskonale. Zresztą, mam stałe stosunki z dostawcami Dartmoora, a ci nigdy mnie nie niepokoją. Chciałem prosić wuja o pewne objaśnienie, i to nie o objaśnienie pożyteczne, ale właśnie o zgoła nieużyteczne.

— Świetnie, mogę powiedzieć ci wszystko, co zawiera angielska Księga Błękitna, choć obecnie pisze się w niej same głupstwa. Było znacznie lepiej, gdym jeszcze był dyplomatą. Lecz słyszałem, że teraz przyjmują do niej dopiero po egzaminie. Czegóż można spodziewać się po tem? Egzamin, panie, są zwykłym nabieraniem od początku do końca. Jeżeli jest się człowiekiem z towarzystwa, już przez to samo wie się dosyć, jeżeli nie, wszystko czegokolwiek nauczyć się można, jest tylko szkodliwe.

— Pana Doriana Graya, wuju Jerzy, — rzekł lord Henryk znudzonym głosem — niema w księdze błękitnej.

— Pan Dorian Gray? Cóż to za jeden? — spytał lord Fermor, ściągając białe, krzaczaste brwi.

— Tego właśnie chciałbym dowiedzieć się, wuju Jerzy, choć właściwie wiem, kim on jest. To ostatni wnuk lorda Kelso. Matka jego była z domu Devereux, lady Małgorzata Devereux. Chciałbym, abyś mi opowiedział wuju o jego matce. Jak żyła? Z kim się pobrała? Za swoich czasów znałeś, wuju, cały świat, musiałeś więc znać ją również. Bardzo mnie teraz obchodzi pan Gray. Poznałem go właśnie.

— Wnuk lorda Kelso! — powtórzył stary lord. — Wnuk lorda Kelso!... Oczywiście... matkę jego znałem wybornie. Zdaje się nawet, że byłem na jej chrzcinach. Małgorzata Devereux była niezwykle piękną panną i pogrążyła nas wszystkich w rozpacz, uciekając z jakimś ubogim młodzieńcem, z człowiekiem bez znaczenia i bez grosza, niższym oficerem piechoty, czy coś podobnego. Oczywiście. Pamiętam te sprawy, jakby działy się wczoraj. W parę miesięcy po ślubie zginął biedak w Spa w pojedynku. Była to nieładna historia.

Opowiadano, że Kelso najał jakiegoś łajdackiego awanturnika, jakiegoś belgijskiego chama, ażeby publicznie znieważył jego zięcia. Zapłacił go, tak, panie, zapłacił go, a ów łotr zakłuł ofiarę, jak gołębia. Sprawę zatuszowano, ale mimo to, Kelso przez długi czas jadał swe zrazy w klubie w zupełnem osamotnieniu. Sprowadził córkę z powrotem, ale jak opowiadano, nigdy nie odezwała się do ojca ani słowa. Och, tak, była to nieładna sprawa. W rok później panna umarła. Więc zostawiła syna? Zapomniałem o tem. I cóż to za chłopiec? Jeżeli podobny do matki, musi być urodziwy.

— Jest bardzo urodziwy — potwierdził lord Henryk.

— Spodziewam się, że pójdzie w dobre ręce, — mówił dalej stary lord. — Jeżeli Kelso zajął się nim, dostanie kupę pieniędzy. Jego matka również miała majątek. Po dziadku dostały jej się całe dobra Shelby. Dziadek jej nienawidził Kelso, nazywał go podłym psem. Był nim naprawdę. Za mojego pobytu przybył kiedyś do Madrytu. Zaiste, wstyd mi było za niego. Królowa dopytywała się mnie, co zacz jest ów szlachcic angielski, ustawicznie sprzeczący się z woźnicami o cenę przejazdów. Była z tego cała gadanina. Przez miesiąc nie mogłem pokazywać się u dworu. Spodziewam się jednak, że z wnukiem obszedł się lepiej, niż z tamtymi drabami.

— Nie wiem tego, — odparł lord Henryk. — Zdaje mi się jednak, że chłopiec ma się dobrze. Jeszcze nie jest pełnoletni. Wiem, że Shelby jest jego. Mówił mi to. A... czy jego matka była naprawdę bardzo piękna?

— Małgorzata Devereux była jedną z najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek znałem. Nigdy nie mo-

głem zrozumieć jej postępkę. Mogła być dowolnie wybierać męża. Carlington przepadał za nią. Bez wątpienia, była romantyczką. W tej rodzinie każda kobieta jest romantyczną. Mężczyźni do niczego, ale kobiety zachwycające. Carlington czołgał się u jej stóp. Sam mi to opowiadał. Śmiała się z niego, a przecież nie było w Londynie panny, któraby nie marzyła o nim. Ale, Henryku, skoro mówimy o małżeństwach niedorzecznych, powiedz mi, co znaczy ten kawał twego ojca, jakoby Dartmoor żenił się z amerykanką? Czyż niema już dla niego odpowiedniej angielfki?

— Teraz, wuju Jerzy, jest w dobrym tonie żenić się z amerykankami.

— Przeciwnie całemu światu trzymam za angielfkami, Henryku, — odrzekł lord Fermor, uderzając pięścią w stół.

— O amerykanki idą dzisiaj zakłady.

— Mówiono mi, że nie dotrzymują placu, — odburknął wuj.

— Długi bieg wyczerpuje je, ale są świetne w wyścigu z przeszkodami. W lot osiągają metę. Nie sądzę, aby Dartmoor miał widoki powodzenia.

— Cóż to za rodzina? — burczał stary lord. — Czy jest wogóle rodziną?

Lord Henryk potrząsnął głową. — Amerykanki ukrywają swych krewnych równie zręcznie, jak angielfki swą przeszłość, — odpowiedział, zabierając się do odejścia.

— Przypuszczam, że są to świniobójcy?

— Spodziewam się tego, wuju Jerzy, na pomyślność Dartmoora. Słyszałem, że bicie świń jest w Ameryce zawodem po polityce najzyskowniejszym.

— Czy jest ładna?

— Zachowuje się tak, jakby była piękna. Wiele amerykańek postępuje podobnie. Jest to tajemnicą ich wdzięku.

— Dlaczego te amerykanki nie zostają u siebie w kraju? Wciąż nam przecież opowiadają, że jest to raj dla kobiet.

— Jest nim, ale zarazem jest to przyczyną, że na wzór Ewy starają się wydostać z niego jaknajprędzej,— odpowiedział lord Henryk. — Do widzenia, wuju Jerzy. Spóźniłbym się na śniadanie, pozostając dłużej. Dziękuję za udzielone mi wiadomości. Lubię wiedzieć wszystko, co dotyczy mych nowych przyjaciół, natomiast o starych niczego nie jestem ciekawy.

— Gdzie jesz śniadanie, Henryku?

— U ciotki Agaty. Zaprosiłem się do niej z panem Grayem. To jej ostatni protegowany.

— Ba! powiedz-no, Henryku, ciotce Agacie, aby dała mi już spokój ze swemi sprawami filantropijnymi. Mam tego dosyć. Poczciwa kobieta sądzi zapewne, że nie mam nic lepszego do roboty, niż wystawiać czeki na jej niemądre zachcianki.

— Dobrze, wuju Jerzy, powiem jej to, ale wątpię, czy przyda się na co. Filantropi są pozbawieni humanitaryzmu. Jest to wyróżniającą cechą ich charakterystyki.

Stary lord mruknął potwierdzająco i zadzwonił na służącego. Lord Henryk, wyszedłszy przez niskie podcienia ulicy Burlingtona, skręcił w kierunku placu Berkeleya.

Taką więc była historia rodziny Doriana Graya. Choć opowiedziana bez ogródek, zrobiła na nim wrażenie dziwnego, nawskróś nowoczesnego romansu. Piękna kobieta dla szalonej miłości stawiająca wszyst-

ko na jedną kartę. Kilka tygodni dzikiego szczęścia, przerwane nagle ohydą, zdradziecką zbrodnią. Długie miesiące niemej męczarni, wreszcie dziecko zrodzone w niedoli. Matka zabrana przez śmierć, chłopiec opuszczony i oddany na pastwę tyranji starego egoisty. Tak, tło jest zajmujące. Postawiony na niem chłopiec występuje lepiej, niż było naprawdę. Poza wytwornością odnajduje się zwykle jakąś tragedję. Ziemia musi pracować, aby mógł rozwinąć się najdrobniejszy kwiat... Jakiż był on czarujący przy obiedzie wczorajszym, gdy z promieniejącemi oczami i napół rozwartemi ustami, pełen niespokojnej radości, siedział w klubie naprzeciw niego, a czerwone blaski świec silniej różowiły budzący się cud jego twarzy. Rozmowa z nim była grą na wyśmienitych skrzypcach. Odpowiadał na każde dotknięcie, każde pociągnięcie skrzypka... Było w tem doświadczeniu wpływu coś przerażająco ujmującego. Podobnego działania nie da się porównać z niczem. Własną duszę wlać w jakiś wykwintny kształt i pozostawić ją w nim przez chwilę; słyszeć, niby w odbiciu echa, własny swój rozum, wzbogacony rytmem uczucia i młodości; temperament swój wcielić w kogoś drugiego, niczem subtelny fluid lub niezwykley aromat — w tem była radość prawdziwa, może najwyższa radość, jaka zadowolić może w naszych ograniczonych, nędznych czasach, czasach gruboskórnego użycia i wielce pospolitych dążeń... Przypadkiem w pracowni Bazylego spotkany chłopiec był cudownym wzorem człowieka, albo raczej doskonałem nań tworzywem. Ucieleśniał on w sobie urok i białą czystość chłopięcości i takie piękno, jakie dochowały nam stare greckie marmury. Niema nic, czegoby nie dało się utworzyć z niego. Może być zarówno tytanem, jak zabawką. Ja-

kież to smutne, że takie piękno musi podlec zwiędnięciu!... A Bazyli? Jakiż był zajmujący ze stanowiska psychologicznego! Nowy styl w sztuce, nowy sposób poglądu na życie, natchniony jedynie przez obecność nieświadomego swej roli człowieka; duch milczenia, przebywający w leśnym mroku, kroczący niepostrzeżenie przez otwarte pola, ukazujący się nagle i nie wywołując lęku, jak drjada, budzący w duszy tego, co go szukał, cudowną moc widzenia, jedyną, która objawia rzeczywiste cuda. Zewnętrzne pozory podniesiono tu do wzniosłości symbolu, jakby one same nie były tylko cieniem innych, doskonalszych kształtów. Jakie to wszystko dziwne! Szukał czegoś podobnego w historii. Czyż Plato — ów mistrz myśli, nie pierwszy zastanawiał się nad tem? Czy Buonarrotti nie wyrzeźbił tego w barwnym marmurze cyklu sonetów? W naszym jednak wieku było to niezwykłem... Tak, spróbuje stać się tem dla Doriana Graya, czem chłopiec ów był nieświadomie dla malującego jego portret artysty. Spróbuje opanować go, już nim niemal owładnął. Podbije na własność tę cudowną istotę. Jest coś uroczego w tym synu Miłości i Śmierci.

Nagle przystanął i rozejrzał się po domach. Spostrzegł, że minął już dom ciotki i, uśmiechając się do siebie, zawrócił. Gdy wchodził do dość ciemnego przedpokoju, służący oznajmił mu, że właśnie podano do stołu. Jednemu z lokajów oddał kapelusz i laskę i wszedł do jadalni.

— Henryk spóźniony, jak zwykle, — zawołała ciotka, kłaniając mu się głową.

Łatwo znalazł wymówkę i, siadając na niezajętym przy niej krześle, rozglądał się po zebranych. Z końca stołu skłonił mu się nieśmiało Dorian, z zadowolenia

rumieniać się. Naprzeciw siedziała księżna Harley, dama o niezwyklej dobroci charakteru i usposobienia, lubiana przez wszystkich, kto ją tylko znał. Odnaczała się obfitością architektonicznych proporcji, które historyk współczesny, gdyby nie chodziło o księżnę, nazwałby otyłością. Obok niej, po prawej stronie siedział pan Tomasz Burdon, radykalny członek parlamentu, tylko w polityce idący za swym przywódcą, natomiast w życiu prywatnem kierował się dobrą kuchnią, jadając z torysami, a myśląc z liberałami, zgodnie z mądrą i dobrze znaną zasadą. Miejsce z lewej strony zajmował pan Erskine z Treadley, starszy pan z dużym wdziękiem i kulturą, który jednak popadł w zły nałóg milczenia, ponieważ — jak to kiedyś wyłuszczył ciotce Agacie — wszystko co miał do powiedzenia, powiedział już był przed trzydziestym rokiem swego życia. Sąsiadką lorda Henryka była pani Vandeleur, jedna z najstarszych przyjaciółek ciotki, prawdziwa święta między niewiastami, ubrana jednak tak okropnie, że przypominała niedbale oprawioną książkę do nabożeństwa. Na szczęście z drugiej strony siedział obok niej lord Faudel, bardzo sprytna miernota w średnim wieku, świecący łysiną, jak orędzie ministerjalne w Izbie gmin; ona jednak rozmawiała z nim z ową głęboką powagą, będącą niewybaczalną wadą, w jaką, jak sam to raz zauważył, popadają wszyscy ludzie naprawdę dobrzy, aby już nie wyleczyć się z niej.

— Mówimy o tym biednym Dartmoorze, lordzie Henryku, — odezwała się księżna, ponad stołem wdzięcznie pochylając ku niemu głowę. — Czy sądzisz pan, że istotnie ożeni się z tą zachwycającą dziewczyną?

— Przypuszczam, księżno, że to ona ma zamiar oświadczyć mu się.

— Coś strasznego! — krzyknęła lady Agata. — Należałoby przeszkodzić temu.

— Wiem z najlepszego źródła, że ojciec jej ma olbrzymią fabrykę towarów łokciowych — rzekł pogardliwie pan Tomasz Burdon.

— Mój wuj, panie Tomaszu, miał go już za świ-niobójcę.

— Towary łokciowe! Jakież towary łokciowe wyrabia Ameryka? — zapytała księżna, podnosząc w górę swą szeroką rękę, jakby podkreślając swe słowa.

— Amerykańskie romanse, — odparł lord Henryk, biorąc z półmiska kawałek przepiórki.

Księżna zmieszała się.

— Nie zważaj na niego, moja droga, — szepnęła lady Agata. — On sam nigdy nie wie, co mówi.

— Kiedy odkryto Amerykę, — odezwał się poseł radykalny i począł przytaczać banalne zdarzenia. Jak każdy, kto pragnie wyczerpać przedmiot, i on wyczerpał cierpliwość swych słuchaczy. Księżna westchnęła i skorzystała z przysługującego jej przywileju, przerywając mu: — Bodajby nie odkryto jej nigdy! — zawołała. — Doprawdy, nasze panny nie mają teraz powodzenia. To niesprawiedliwe.

— A może Ameryka wcale nie została odkryta, — rzekł pan Erskine; — twierdziłbym niemal, że to tylko urojenie.

— O, kiedy ja widziałam próbki jej mieszkańek, — odparła, wahając się, księżna. — Muszę przyznać, że po większej części nadzwyczaj przystojne. Ubierają się też bardzo dobrze. Wszystko dają sobie robić w Paryżu.

Byłabym zadowolona, gdybym pozwolić sobie na to mogła.

— Opowiadają, że gdy dobry amerykańcin umrze, udaje się do Paryża, — chichocząc, wtrącił pan Tomasz, posiadając w zapasie obszerną garderobę znoszonych ubrań księcia Dowcipu.

— Naprawdę! A dokąd idzie po śmierci zły amerykańcin? — zapytała księżna.

— Do Ameryki — odpowiedział lord Henryk.

Pan Tomasz zmarszczył brwi. — Obawiam się, że siostrzeniec pani ma uprzedzenie do tego wielkiego kraju, — rzekł do lady Agaty. — Byłem tam, przejechałem cały kraj w pociągu dostarczonym przez dyrekcję, która w podobnych wypadkach jest niesłychanie uprzejma. Zapewniam państwa, że taka podróż bardzo kształci.

— Ale, czyż istotnie musimy zwiedzać Chicago po to, aby się wykształcić? — zapytał żałośnie pan Erskine. — Nie czuję się na siłach do takiej podróży.

Pan Tomasz machnął ręką. — Pan Erskine z Treasley ma cały świat w swej bibliotece. My ludzie praktyczni lubimy rzeczy oglądać, a nie czytać o nich. Amerykanie są narodem nadzwyczaj zajmującym. Są przede wszystkim bezwzględnie rozsądni. Sądzę, że jest to ich główną cechą charakterystyczną. Tak, panie Erskine, bezwzględnie rozsądny naród. Upewniam pana, że w Ameryce niema ludzi niedorzecznych.

— Jakie to straszne! — zawołał lord Henryk. — Mogę znieść surową przemoc, ale surowy rozsądek jest wprost nieznośny. W jego postępkach jest coś z niesprawiedliwości. On schodzi poniżej rozumu.

— Nie rozumiem pana, — rzekł pan Tomasz, czerwieniejąc.

— Ja rozumiem, lordzie Henryku, — wyszeptał pan Erskine, uśmiechając się.

— Na tem polu paradoksy są na miejscu... — zauważył baronet.

— Czy to był paradoks? — zapytał pan Erskine. — Nie sądzę. Zresztą możliwe. Droga paradoksów jest drogą prawdy. Aby udowodnić rzeczywistość, musimy zobaczyć ją na wyciągniętej linii. Prawdy możemy sądzić dopiero wówczas, gdy staną się akrobatkami.

— Mój Boże! — rzekła lady Agata, — czego ci mężczyźni nie wygadują! Z pewnością nigdy nie zrozumiem tego, o czem rozprawiacie. Oh! Henryku, jestem na ciebie naprawdę rozgniewana. Dlaczego starasz się wpłynąć na naszego miłego pana Doriana Graya, aby opuścił East End? Zapewniam cię, iż byłby dla nas wprost nieocenionym. Jego muzyka podobałaby się napewno.

— Chciałbym, aby zagrał dla mnie, — zawołał lord Henryk, uśmiechając się, i patrzył na koniec stołu, skąd biegło doń błyszczące spojrzenie odpowiedzi.

— Ale ci w Whitechapel są tacy nieszczęśliwi, — nalegała lady Agata.

— Ze wszystkim mogę współczuć, oprócz cierpienia, — rzekł lord Henryk, wzruszając ramionami. — Nie mogę współczuć z niem. Zbyt jest brzydkie, zbyt straszne, zbyt przygnębiające. Jest coś straszliwie chorobliwego w nowoczesnem współczuciu dla niedoli. Można się wzruszać barwą, pięknem, radością życia. Im mniej się mówi o mrokach życia, tem lepiej.

— A jednak East End jest zagadnieniem bardzo doniosłem, — zauważył pan Tomasz, poważnie poruszając głową.

— Całkiem słusznie, — odparł młody lord. — Jest

to zagadnienie niewolnictwa, a my staramy się rozwiązać je, zabawiając niewolników.

Polityk spojrział nań przenikliwie. — Jakież więc zmiany wprowadziłby pan? — zapytał.

Lord Henryk roześmiał się. — Nic w Anglii zmieniać nie chcę, oprócz pogody, — odparł. — Rozmyślanie filozoficzne wystarcza mi w zupełności. Ponieważ wszakże wiek dziewiętnasty zbankrutował przez nadmiar współczucia, więc radziłbym, aby Naukę przywołać na pomoc. Zaletą uczuć jest to, że wiodą nas na bezdroża, zaletą Nauki, że wcale nie jest uczuciowa.

— Mamy jednak na sobie tak poważną odpowiedzialność, — zauważyła bojaźliwie pani Vandeleur.

— Niezmiernie poważną, — potwierdziła lady Agata.

Lord Henryk spojrział na pana Erskine'a. — Ludzkość sama siebie bierze zbyt poważnie. Jest to pierwotny grzech świata. Gdyby człowiek jaskiniowy umiał się być śmiać, historia odmiennym poszłaby torem.

— Pokrzepiasz mnie pan, naprawdę, — zaszczębiotała księżna. — Zawsze poczuwałam się do winy wobec pańskiej drogiej ciotki, gdyż East End nie zajmuje mnie wcale. Odtąd będę mogła spoglądać w jej oczy, nie rumieniąc się.

— Rumieniec, księżno, jest zawsze do twarzy, — zauważył lord Henryk.

— Tylko wtedy, gdy jest się młodą, — odparła. — Kiedy rumieni się kobieta tak stara, jak ja, jest to złym znakiem. Ach! lordzie Henryku, chciałabym, aby nauczył mnie pan, jak odzyskać młodość.

Namyślał się chwilę. — Czy księżna przypomina sobie jakiś wielki grzech, popełniony w młodości? — zapytał, patrząc na nią ponad stołem.

— Obawiam się, że nazbyt wiele, — zawołała.

— Niech pani je znowu popełnia, — odrzekł poważnie. — Aby wrócić młodość, należy tylko powtórzać dawne szaleństwa.

— Zachwycająca teoria! — wykrzyknęła. — Muszę zastosować ją praktycznie.

— Niebezpieczna teoria! — wycedził pan Tomasz z zaciśniętych ust. Lady Agata poruszyła głową, ale nie mogła powstrzymać się od rozbawienia. Pan Erskine słuchał.

— Tak, mówił dalej, — jest to jedna z największych tajemnic życia. Przeważna część ludzi umiera dziś z nadmiaru zdrowego rozsądku, zapóźno spostrzegając, że jedyną rzeczą, której im żal, to własne błędy.

Całe towarzystwo wybuchło śmiechem.

A on igrał z myślą i rozzuchwalał się coraz więcej; ciskał ją w przestrzeń i przetwarzał ją; pozwalał jej umknąć i znowu ją chwycił; ubierał ją w tęczone barwy fantazji i uskrzydlał paradoksami. Pochwałę głupstwa wznosił na wyżyny filozofji, a Filozofję odmłodził, poddawał ją pod rytm muzyki Rozkoszy, złościł wyobraźnią, ubierał w suknie splamione winem i wieńczył bluszczem, wiódł ją tanecznym krokiem bachantki przez wzgórza życia, naigrawając się z trzeźwości leniwego Piękna. Rzeczywistość uciekała przed nią, niczem zwierzyna leśna. Jej białe stopy uderzały o wzburzone fale, nad którymi zasiadł mądry Omar; kipiący sok winnego grona bluznał na jej ciało purpurową strugą, lub czerwoną pianą przelewał się po czarnych, obryzganych ścianach kadzi. Była to nadzwyczajna improwizacja. Czuł, że oczy Doriana Graya spooczywały na jego ustach, a ta świadomość, iż między słuchaczami znajduje się ten, kogo pragnie oczarować i usidlić,

podniecała bystrość jego dowcipu i barwność wyobraźni. Był świetny, fantastyczny, nieokiełzany. Wywiódł słuchaczy poza nich samych, aby wśród śmiechu zdążali za grą jego fletu. Dorian Gray nie spuszczał go z oczu, trwał jak zakłęty, po jego wargach przesuwwały się cienie uśmiechu, a głębokie zdumienie mroczyło mu oczy.

Wreszcie rzeczywistość wkroczyła do sali w nowoczesnym stroju służącego, oznajmającego księżnie, że powóz czeka. Załamała ręce z komiczną rozpaczą. — Jakie to nieznośne! — zawołała. — Muszę pójść. Mam wstąpić do klubu po męża, aby zabrać go na jakieś głupie zebranie w Salonach Willisów, gdzie ma przewodniczyć. Jeśli się spóźnię, będzie zły, a w tym kapeluszu nie mogę się narażać na sceny. Zbyt jest wiotki. Ostre słowo mogłoby go zniszczyć. Nie, muszę pójść, droga Agato. Do widzenia, lordzie Henryku, był pan przemiły i straszliwie znieprawiający. Nie mam pojęcia, co sądzić o pańskich poglądach. Musi pan przyjść którego wieczoru do nas na obiad. We wtorek? Jest pan wolny we wtorek?

— Dla księżny gotów jestem każdemu innemu zrobić zawód, — rzekł lord Henryk, kłaniając się.

— O, to bardzo pięknie, i bardzo niesprawiedliwie z pańskiej strony, — zawołała; — więc przyjdzie pan; — poczem wyszła z pokoju, odprowadzana przez lady Agatę i inne panie.

Gdy lord Henryk znów usiadł, pan Erskine okrążył stół, i zajmując krzesło obok niego, położył rękę na jego ramieniu.

— Mówi pan, jak z książki, — powiedział; — dlaczego pan nie pisze?

— Zbyt lubię czytać książki, abym je pisał, panie

Erskine. Zresztą, napisałbym może powieść, tak piękną, jak perski kobierzec i równie nieprawdziwą. Ale publiczność angielska czytuje tylko dzienniki, podręczniki i encyklopedje. Z całego świata Anglicy mają najmniej poczucia dla literackiego piękna.

— Obawiam się, że ma pan rację, — odparł pan Erskine. — Ja sam miałem ambicje literackie, ale od dawna pożegnałem się z niemi. A teraz, mój drogi przyjacielu, jeśli pozwolisz, że cię tak nazwę, powiedz, czy naprawdę wierzysz sam w to, coś nam opowiadał przy śniadaniu.

— Już nie pamiętam, co mówiłem, — odparł lord Henryk z uśmiechem. — Czy coś złego?

— I to bardzo złego. Wydaje mi się pan człowiekiem niezwykle niebezpiecznym, jeśli więc przydarzy się cokolwiek naszej kochanej księżnie, odpowiedzialność złożymy przedewszystkiem na pana. Chciałbym jednak pomówić z panem o życiu. Moje pokolenie było nudne. Którego dnia, kiedy poczuje się pan znużony Londynem, niech pan przyjedzie do Treadley, aby wyłożyć mi swą filozofję rozkoszy, popijając wybornego burgunda, którego posiadam, na szczęście, dość wiele.

— Jestem zachwycony. Wizyta w Treadley będzie dla mnie dużym zaszczytem. Jest tam doskonały gospodarz i świetna biblioteka.

— Całości dopełni pan, — odpowiedział stary pan z dworskim ukłonem. — A teraz muszę pożegnać cudowną ciotkę pańską. Czekają na mnie w Ateneum. Jest to godzina naszego tam spania.

— Czy dla wszystkich, panie Erskine?

— Dla nas czterdziestu, w czterdziestu fotelach. Przygotowujemy Angielską Akademię Umiejętności.

Lord Henryk roześmiał się, wstając. — Idę do parku, — zawołał.

W drzwiach Dorian Gray dotknął jego ramienia. — Pozwól mi pan towarzyszyć sobie, — wyszeptał.

— Zdawało mi się, że pan obiecał wizytę Bazylemu Hallwardowi, — odparł lord Henryk.

— Wolałbym pójść z panem; tak, czuję, że muszę być z panem. Niech mi pan pozwoli. I przyrzeknie mi pan mówić do mnie przez cały czas? Nikt nie mówi tak cudownie, jak pan.

— Ach! Na dziś mówiłem już dosyć, — odrzekł lord Henryk, uśmiechając się. — Chciałbym teraz nieco popatrzeć na życie. Jeżeli ma pan ochotę, może pan pójść i patrzeć razem ze mną.

ROZDZIAŁ IV.

Pewnego popołudnia w miesiąc później, Dorian Gray, zagłębiany w wygodnym fotelu, siedział w małej bibliotece lorda Henryka na Mayfair. W swoim rodzaju, był to prześliczny pokój, z wysokimi boazerjami z drzewa dębowego, zabajcowanego na oliwkę, z fryzem żółtego koloru, ze sztukaterjami na suficie i z perskim kobiercem ceglastym o jedwabnym, długim włosie. Na misternym stoliku z politurowanego drzewa, stała statuetka Clodiona, obok niej egzemplarz „Cent Nouvelles“, oprawiony przez Clovisa Eve dla Małgorzaty de Valois i obficie ozdobiony w ulubiony emblemat tej królowej, złociste stokrotki. Na kominku stały rzędem niebieskie dzbany chińskie i papuzie tulipany, a przez wąskie szybki witrażowego okna przedostało się brzoskwiniowe światło londyńskiego dnia letniego.

Lorda Henryka jeszcze nie było. Spóźniał się z zasady, twierdząc, że punktualność jest złodziejem czasu. Młodzieniec wydawał się nieco nadąsanym i z roztargnieniem przewracał kartki wspaniale ilustrowanego wydania „Manon Lescaut“, które znalazł na jednej z półek. Monotonne cykanie zegara w stylu Ludwika XIV. drażniło go. Parokrotnie zbierał się do odejścia.

Nagle usłyszał nazewnątrz kroki i drzwi otworzyły się. — Tak bardzo spóźniłeś się, Henryku! — burknął.

— Niestety, to nie Henryk, panie Gray, — odpowiedział ostry głos.

Odwrócił się szybko i powstał. — Przepraszam panią. Myślałem...

— Myślał pan, że to mój mąż. To tylko jego żona. Musi pan przedstawić mi się sam. Znam pana dobrze z fotografii. Zdaje mi się, że mąż mój ma ich coś ze siedemnaście.

— Nie siedemnaście, lady Henrykowo?

— Więc osiemnaście. A zeszłego wieczora widziałam pana z nim w Operze. — Mówiła, śmiejąc się nerwowo i patrząc nań mglistymi oczami o barwie niezapominajki. Była to szczególna kobieta, ubrana zawsze w suknie, pomyślane w przystępie szału, a włożone wśród burzy. Była wciąż kimś zajęta, a ponieważ nie znajdowała wzajemności, mogła zachować swe złudzenia. Starła się być malowniczą, a wyglądała niezgrabnie. Na imię jej było Wiktorja i miała wyraźną manję chodzenia do kościoła.

— Zdaje się, lady Henrykowo, że było to na „Lohengrinie“?

— Tak, na moim ulubionym „Lohengrinie“. Wagnera przekładałam nad wszystkich muzyków. Taki jest głośny, że można ciągle mówić i nie być słyszaną. To duża zaleta, panie Gray, nieprawdaż?

Ten sam nerwowo urywany śmiech zerwał się z jej cienkich warg, a palce jej zaczęły bawić się sztyldkretowym nożem do papieru.

Dorian uśmiechnął się, potrząsając głową. — Przykro mi, lady Henrykowo, że nie podzielałam pani zdania. Nigdy nie rozmawiam podczas muzyki, przynajmniej podczas dobrej muzyki. Gdy trafi się na złą, to bezwątpienia należy zagłuszyć ją rozmową.

— Ach! to pogląd Henryka, nieprawdaż, panie Gray? Zazwyczaj poznaję poglądy Henryka z ust jego przyjaciół. To jedyna droga, na której mogę je poznać. Proszę jednak nie myśleć, że nie lubię dobrej muzyki. Zachwycam się nią, ale również obawiam się jej. Czyni mnie zbyt romantyczną. Wymawiał mi nawet Henryk, że wprost przepadam za pianistami, nieraz za dwoma naraz. Nie wiem, czemu to przypisać. Być może ich cudzoziemczyźnie. Bo wszak oni wszyscy są cudzoziemcami, nieprawdaż? Nawet jeśli są urodzeni w Anglii, po pewnym czasie stają się cudzoziemcami, czyż nie? Jest to zresztą z ich strony i zaszczytnie dla sztuki, bo czyni ją zupełnie kosmopolityczną, nieprawdaż? Pan nigdy, panie Gray, nie był u mnie na przyjęciu, dlaczego? Musi pan przyjść. Nie mogę sobie pozwolić na orchideje, ale nie szczędzę starań o cudzoziemców. Nadają oni salonowi tak malowniczy wygląd. Ale oto i Henryk! Henryku, weszłam tu, aby zapytać cię o coś, zapomniałam o co, i zastałam pana Graya. Bardzo przyjemnie gawędziliśmy o muzyce. Mamy zupełnie te same poglądy. Nie, raczej wręcz przeciwnie. Ale pan był bardzo uprzejmy. Cieszę się, że go poznałam.

— Jestem zachwycony, moja kochana, wprost zachwycony, — powiedział lord Henryk, wznosząc do góry czarne łuki brwi i z drwiącym uśmiechem spoglądając na ich dwoje. — Wybacz, Dorianie, że spóźniłem się. Byłem na ulicy Wardourskiej po kawałek dawnego brokatu i godzinami musiałem targować się. Dziś każdy rozumie się na cenie wszystkiego, nie znając wartości niczego.

— Martwi mnie, że muszę już odejść, — zawołała lady Henrykowa, krępujące milczenie przerywając nagle pustym śmiechem. — Obiecałam księżnie, że prze-

jadę się z nią. Do widzenia, panie Gray. Do widzenia, Henryku. Czy jesteś gdzie zaproszony? Ja również. Może spotkamy się u lady Thornbury.

— Prawdopodobnie, moja droga, — rzekł lord Henryk, zamykając za nią drzwi. Wyglądała, jak rajski ptak, co całą noc spędził na deszczu. Wymknęła się z pokoju, pozostawiając po sobie wątki, migdałowy zapach. Lord Henryk zapalił papierosa i rzucił się na kanapę.

— Nie żęń się nigdy, Dorianie, z kobietą o włosach koloru słomy, — powiedział, zaciągawszy się parę razy.

— Dlaczego, Henryku?

— Bo są zbyt uczuciowe.

— Ależ ja lubię ludzi uczuciowych.

— Nigdy się nie żęń, Dorianie. Mężczyzna żeni się ze znużenia, kobieta przez ciekawość: oboje doznają rozczarowania.

— Nie zdaje mi się, Henryku, abym miał się ożenić. Jestem zanadto zakochany. To twój aforyzm. Stosuję go w praktyce, jak wszystko, co mówisz.

— W kim jesteś zakochany? — po chwili zapytał lord Henryk.

— W jednej aktorce, — odrzekł Dorian Gray, rumieniąc się.

Lord Henryk wzruszył ramionami. — To twój debiut jest nieco pospolity.

— Nie mówiłbyś tak, Henryku, gdybyś ją zobaczył.

— Cóż to za jedna?

— Nazywa się Sybilla Vane.

— Nic o niej nie słyszałem.

— Nikt jeszcze nie słyszał o niej. Niebawem będą mówili wszyscy. Ona jest genialna.

— Mój drogi chłopcze, żadna kobieta nie jest genialna. Kobiety są dla ozdoby. Nie mają nigdy nic do powiedzenia, ale to nic mówią czarująco. Kobieta oznacza triumf ciała nad umysłem, jak mężczyzna triumf umysłu nad obyczajami.

— Henryku, jak możesz?

— Mój drogi Dorianie, to jest szczerą prawdą. Zajmuję się właśnie analizą kobiety, więc rozumiem się na tem. Przedmiot jest mniej zawiły, niż to sądziłem. Dochodzę do wniosku, że ostatecznie istnieją tylko dwa rodzaje kobiet, naturalne i malowane. Kobiety naturalne są bardzo pożyteczne. Jeśli chcesz zdobyć miano człowieka porządnego, weź jedną z nich pod ramię i poprowadź do stołu. Te drugie są bardzo czarowne. Pełnią jednak jeden błąd. Malują się, by wyglądać młodo. Nasze babki malowały się, by wyglądać i mówić wspanialej. Ruż i dowcip szły wówczas w parze. To minęło. Kobieta jest zupełnie zadowolona, dopóki może wyglądać o dziesięć lat młodziej od swej córki. Co się tyczy rozmowy, to Londyn ma pięć kobiet, z którymi warto mówić, dwie z nich nie należą do dobrego towarzystwa. Ale do rzeczy, opowiedz mi o swym geniuszu. Jak dawno znasz ją?

— Ach! Henryku, twoje poglądy przerażają mnie.

— Nie zważaj na nie. Jak dawno znasz ją?

— Około trzech tygodni.

— A gdzie ją poznałeś?

— Opowiem ci, Henryku, ale nie drwij. Ostatecznie, nie przyszłoby do tego, gdybym cię nie był poznał. Ty rozbudziłeś we mnie dziką żądzę poznania życia. Od czasu mego spotkania z tobą, inna krew krąży w mych żyłach. Włóczęc się po Parku lub po Piccadilly, przyglądałem się każdemu przechodniowi,

chcąc przeniknąć, jakie on życie prowadzi. Niektórzy czarowali mnie, inni budzili przerażenie. Było to, jakby w powietrzu unosiła się trucizna. Namiętnie szukałem wrażeń... Wreszcie pewnego wieczoru koło siódmej, postanowiłem wyjść na spotkanie przygody. Czułem, że ten szary, olbrzymi Londyn, z mirjadami ludności, równie brudnych grzeszników, jak wspaniałe są ich grzechy, jak to raz sam określiłeś, musi i dla mnie mieć coś w zapasie. Wyobrażałem sobie tysiące rzeczy. Najniebezpieczniejsze napawały mnie uczuciem zachwytu. Przypominałem sobie, coś mówił mi w ów cudny wieczór naszego pierwszego obiadu, że prawdziwa tajemnica życia polega na poszukiwaniu piękna. Sam nie wiem, na co oczekiwałem, dość, że wyszedłszy z domu, skierowałem się do zachodniej dzielnicy, wikłając niebawem mą drogę w labiryncie brudnych i ciemnych ulic i pustych placów. Koło pół do ósmej znalazłem się przed jakimś śmiesznie małym teatrzykiem, z jaskrawem oświetleniem gazowym i krzykliwymi afiszami. Obskurny żyd w najdziwaczniejszej, jaką kiedykolwiek widziałem kamizelce, stał u wejścia, paląc cygaro. Miał masę pierścionków, a w samym środku wyplamionego gorsu koszuli błyszczał olbrzymi brylant. — Nie życzy pan sobie łoży, milordzie? — zapytał, ujrzawszy mnie i unosząc kapelusza z wyniosłą służbi stością. Było w nim coś, Henryku, co bawiło mnie. Był taki potworny. Wiem, że będziesz śmiał się ze mnie, ale wszedłem i zapłaciłem za łożę całą gwineję. Do dziś nie umiem sobie wytłumaczyć, jak to się stało; gdybym był nie wszedł jednak, mój drogi Henryku, gdybym był nie wszedł, ominałby mnie największy romans mego życia. Widzę, że śmiejesz się. Jesteś szkaradny!

— Nie śmieję się, Dorianie; przynajmniej nie

z ciebie. Ale nie powinienes nazywać go największym romansem swego życia. Nazwij go pierwszym twoim romansem. Będiesz zawsze kochany i zawsze zakochany. Wielkie namiętności są przywilejem ludzi, nie mających nic do roboty. Jedyny to pożytek dla kraju z klas próżnujących. Nie przerażaj się. Czekają cię wyjątkowe rozkosze. To dopiero początek.

— Uważałbyś, że moja natura jest taka płytka? — zawołał Dorian Gray z goryczą.

— Nie; masz naturę głęboką.

— Jak to rozumiesz?

— Mój drogi chłopcze, ludzie, którzy tylko raz w życiu kochają, są naprawdę płytki. To, co nazywają uczciwością i wiernością, jest tylko drzemką z nawyku, lub brakiem wyobraźni. Wierność jest dla życia uczuciowego tem, czem dla umysłu stałość — zwykłym wyznaniem niemocy. Wierność! Zastanowię się kiedyś nad tem. Zawiera ona przedewszystkiem namiętność posiadania. Zawiera w sobie wiele rzeczy, które odrzucilibyśmy chętnie, o ile mielibyśmy pewność, że nikt ich nie podniesie. Ale przerwałem ci. Opowiadaj dalej.

— Otóż siedziałem sam w obrzydliwie ciasnej łóży, mając wprost przed sobą ordynarną kurtynę. Uchyliwszy nieco portjery, rozejrzałem się po sali. Było to coś niesłychanie jaskrawego, przepełnionego mnóstwem kupidynów i rogów obfitości, niczem trzeciorzędny kołacz weselny. Galerja i parter wypełnione były szczelnie, ale dwa rzędy brudnych łóż świeciły pustkami zrzadka widniała jakaś osoba na tak zwanych miejscach pierwszorzędnych. Kobiety roznosiły pomarańcze i piwo z imbiernem, a wszędzie jedzono orzechy.

— Musiało tam być, jak za świetnych dni dramatu angielskiego.

— Zupełnie, tak wyobrażałem sobie, i bardzo przynębiająco. Zacząłem się nawet zastanawiać, co robić dalej, gdy właśnie wpadł mi w oczy afisz. Zgadnij, Henryku, co grano?

— Zapewne „Głupiego chłopca“ albo „Niewinnego niemowę“. Nasi ojcowie musieli lubić podobne sztuczki. Im dłużej żyję, Dorianie, tem wyraźniej czuję, że co wystarczało naszym ojcom, nam już nie wystarcza. W sztuce, tak jak w polityce, dziadkowie nigdy nie mają racji.

— Nie, Henryku, tym razem sztuka i dla nas była dobra. Grano „Romea i Julję“. Przyznaję, że byłem nieco przerażony widokiem zobaczenia Szekspira w tej nędznej budzie. Po części wszakże byłem też zaciękwiony. W każdym razie na pierwszy akt postanowiłem pozostać. Ohydną orkiestrą dyrygował jakiś młody hebrajczyk przy rozstrojonym fortepianie. Nie wypędziło mnie to omal, ale ostatecznie podniesiono kurtynę i przedstawienie rozpoczęło się. Romea grał jakiś starszy jegomość z uczernionemi brwiami, z ochrypłym głosem tragika i z postawą kształtu beczki piwa. Mercutio był nie lepszy, szarżujący błazen, który wplatał własne dowcipy i był na poufałej stopie z galerją. Obaj byli równie śmieszni, jak scena, która wyglądała, jakby przeniesiono ją z jakiejś zapadłej szopy.. Ale Julja! Wyobraź sobie, Henryku, dziewczynę lat zaledwie siedemnastu, o twarzyczce podobnej do kwiatu, o małej greckiej głowie, ujętej w koronę ciemno-bronзовych warkoczy, o oczach fioletowych od uczucia, o ustach, jak płatki różane. Jest to najczarowniejsza istota, jaką widziałem kiedykolwiek. Mówiłeś raz, że nie podziela na ciebie patos, ale piękność, sama piękność może wycisnąć ci z oczu łzy. Mówię ci, Henryku, zaledwie ujrza-

łem tę dziewczynę, łązy przesłoniły mi oczy. A jej głos — podobnego nie słyszałem w życiu. Z początku był bardzo cichy, o miękkich, głębokich tonach, oddzielnie wpadających w ucho. Później stał się silniejszym i brzmiał, jak flet lub dalekie tony oboja. W scenie ogrodowej drżało coś ze wzruszenia, jakie odczuwamy, słuchając śpiewu słowików przed świtem. Później były chwile, że oddawał dziką namiętność skrzypiec. Wiesz przecież, jak działa na mnie głos. Głosu twego i głosu Sybilli Vane nie zapomnę nigdy. Gdy zamknę oczy, słyszę obydwa i każdy jest odmienny. Nie wiem, za którym mam pójść. Czemuż nie miałbym jej kochać? Henryku, kocham ją. Jest dla mnie wszystkiem. Co wieczór idę patrzeć na jej grę. Jednego wieczoru jest Rozalindą, następnego Imogeną. Widziałem ją umierającą w ponurym mroku włoskiej kaplicy, gdy wypiliła truciznę z ust kochanka. Śledziłem ją, gdy przebiegała las ardeński, przebrana za ślicznego chłopca, w hajdawerki, kurtkę i czapeczkę. Jako obłąkana, przyszła do występnego króla, niosąc mu rutę i gorzkie zioła. Była niewinna, a czarne ręce zawiści złamały ją, niczem żdźbło trawy. Widziałem ją w każdej sztuce i w każdym kostjumie. Kobiety pospolite nie działają na naszą wyobraźnię. Są ograniczone swoim stuleciem. Żadne mamidło nie przeobrazi ich. Dusze ich poznajemy równie łatwo, jak ich kapelusze. Można je widywać zawsze. Nie otacza ich żadna tajemnica. Rano wyjeżdżają do Parku, a popołudniu paplają przy herbacie. Zawsze mają swój stały uśmiech i modną postawę. Widzimy je nawskóś. Inaczej aktorka! Jakże inną jest od nich! Henryku! czemu nie powiedziałeś, że jedyną istotą, godną miłości, jest aktorka?

— Ponieważ wiele ich kochałem, Dorianie.

— Och, tak, okropne istoty z farbowanemi włosami i umalowaną twarzą.

— Nie gardź farbowanemi włosami i malowaną twarzą. Mają niekiedy dziwny urok, — rzekł lord Henryk.

— Żałuję teraz, że opowiedziałem ci o Sybilli Vane.

— Musiałeś mi opowiedzieć, Dorianie. Przez całe życie będziesz mi opowiadał wszystko, co zrobisz.

— Tak, Henryku, i mnie się wydaje, że tak będzie. Niczego ukryć przed tobą nie zdołam. Masz nademną dziwną władzę. Gdybym nawet popełnił zbrodnię, tobie ją wyznam. Ty zrozumiesz mnie.

— Ludzie, jak ty — słoneczne promienie życia — zbrodni nie popełniają, Dorianie. Jestem ci jednak wdzięczny za zaufanie. A teraz powiedz mi — bądź tak dobry i podaj mi zapałki — dziękuję ci — powiedz mi, jak daleko zaszedłeś z Sybillą Vane?

Dorian Gray zerwał się na równe nogi z twarzą w płomieniach i ogniem w oczach. — Henryku! Sybilla jest świętą!

— Tylko rzeczy świętych warto dotykać, Dorianie, — rzekł lord Henryk, z dziwnym odcieniem patosu w głosie. — Dlaczego jednak gniewasz się? Spodziewam się, że pewnego dnia będzie twoją. Gdy kochamy, zaczynamy najpierw łudzić siebie, aby skończyć łudzeniem drugich. Właśnie to nazywa świat romansem. W każdym razie, przypuszczam, że znasz ją?

— Znam ją, oczywiście. Już za pierwszą mą bytnością w teatrze, po przedstawieniu przyszedł do mej łoży ów obrzydliwy żyd z propozycją, że zaprowadzi mnie za kulisy i przedstawi jej. Byłem na niego wściekły i powiedziałem mu, że Julja zmarła przed wiekami

i że jej prochy spoczywają w marmurowym grobowcu w Weronie. Sądząc z jego rozbawionego spojrzenia, podejrzewał mnie, że piłem za dużo szampana, lub coś podobnego.

— To mnie nie dziwi.

— Spytał mnie potem, czy pisuję do jakiej gazety. Odpowiedziałem mu, że nie czytam żadnej. Wydał się bardzo tem rozczarowany i zwierzył mi się, że wszyscy krytycy teatralni uwzięli się na niego i że każdego z nich można przekupić.

— Nie byłbym zdziwiony, gdyby miał słuszość. Skądinąd jednak, sądząc z ich wyglądu, wielu z nich nie musi się drożyć.

— Tak, ale on wyobrażał sobie, że to przerasta jego środki, — roześmiał się Dorian. — Tymczasem pogaszono lampy w teatrze i musiałem pójść. Nalegał jeszcze, abym spróbował cygara, które mi bardzo zachwalał, ale odmówiłem. Następnego wieczora znowu oczywiście poszedłem. Gdy zobaczył mnie, skłonił się nisko, nazywając wspaniałomyślnym mecenasem sztuki. Było to nahalne bydlę, ale miał nadzwyczajne upodobanie do Szekspira. Opowiadał mi raz z dumną miną, że swoje potrójne bankructwo zawdzięczał „bardowi“, jak upierał się go nazywać. Zdaje się, że uważał to sobie za zasługę.

— To była zasługa, mój drogi Dorianie — duża zasługa. Większość ludzi bankrutuje z powodu nadmiernego zapłatania się w prozie życiowej. Być zrujnowanym wyłącznie przez poezję, to zaszczyt. Kiedyż jednak rozmawiałeś po raz pierwszy z panną Sybillą Vane?

— Trzeciego wieczora. Grała Rozalinę. Nie potrafiłem powstrzymać się od pójścia za kulisy. Rzuci-

łem jej parę kwiatów, za co spojrzała na mnie; tak mi się przynajmniej zdawało. Stary żyd nalegał, że pokaże mi cały budynek, więc zgodziłem się pójść z nim. Nie jest-że to dziwne, iż nie chciałem jej poznać?

— Wcale nie.

— Dlaczego, mój drogi Henryku?

— Odpowiem ci kiedyindziej. Teraz mów mi dalej o dziewczynie.

— O Sybilli? Ach, była taka nieśmiała i taka wdzięczna. Ma w sobie coś z dziecka. Kiedy mówiłem do niej, co sędzę o jej grze, oczy jej rozszerzyły się czarującym zdumieniem i wydawała się nieświadomą swej mocy. Zdaje się, że oboje byliśmy nieco podnieceni. Stary żyd wykrzywił się obrzydliwie w korytarzu zakurzonej garderoby, rozprawiając coś o nas dwojgu, gdy my patrzyliśmy na siebie, jak dwoje dzieci. Uparł się nazywać mnie „milordem“, musiałem tłumaczyć Sybilli, że nim nie jestem. Odpowiedziała mi całkiem poprostu: — Wygląda pan raczej na księcia. Będę nazywała pana księciem z bajki.

— Dalibóg, Dorianie, panna Sybilla umie prawie pochlebstwa.

— Ty jej nie rozumiesz, Henryku. Uważała mnie poprostu za jakąś postać z dramatu. Ona życia nie zna wcale. Mieszka u matki, zwiędłej, znużonej kobiety, która pierwszego wieczora grała lady Capulet w czemś żółtem w rodzaju peniuaru, a która wygląda, jakby pamiętała lepsze czasy.

— Znam taki wygląd. To przygnębia mnie, — mruknął lord Henryk, przyglądając się swym pierścieniom.

— Żyd chciał mi opowiedzieć jej historję, ale powiedziałem, że to mnie nie obchodzi.

— Miałeś słuszość. Cudze tragedje mają w sobie zawsze jakąś niezmierną pospolitość.

— Mnie zajmuje wyłącznie Sybilla. Co mi po tem, skąd ona jest? Od małej głowy aż do małej stopy jest bezwzględnie i całkowicie boską. Co wieczora chodzę patrzeć na jej grę i co wieczora jest coraz bardziej czarująca.

— Więc dlatego nigdy teraz nie jadasz obiadu ze mną. Posądzałem ciebie, że jesteś w toku jakiegoś ciekawego romansu. Nie myliłem się, ale to jest co innego, niż przypuszczałem.

— Mój drogi Henryku, przecież niemal codziennie jemy razem śniadanie lub kolację, i kilka razy byłem z tobą w Operze, — rzekł Dorian Gray, ze zdumienia rozszerzając swe błękitne źrenice.

— Przychodzisz zawsze strasznie późno.

— Bo istotnie, — wykrzyknął — nie mogę odmówić sobie, aby nie pójść popatrzeć na grę Sybilli, chociażby przez jeden akt. Łaknę jej obecności; a gdy myślę o tej cudownej duszy, ukrytej w tem drobnem ciele z kości słoniowej, przejmuję mnie zbożny lęk.

— Dorianie, wszak dziś będziesz mógł towarzyszyć mi przy obiedzie?

Zaprzeczył głową. — Dziś wieczór jest Imogena, — odparł, — a jutro wieczór będzie Julja.

— Kiedyż jest Sybilla Vane?

— Nigdy.

— Winszuję ci.

— Jakiś ty wstrętny! Ona jest naraz wszystkimi wielkimi bohaterkami świata. Ona jest więcej, niż osobą. Ty się śmiej, a ja cię zapewniam, że ona jest genjuszem. Kocham ją i ona musi mnie pokochać. Ty, który znasz wszystkie tajemnice życia, powiedz mi, jak ocza-

rować Sybillę Vane, aby pokochała mnie? Chcę, aby Romeo był o mnie zazdrosny. Chcę, aby zmarli kochankowie całego świata posmutnieli, słysząc nasz śmiech. Chcę, aby tchnienie naszego uczucia prochy ich ożywiło świadomością, popioły ich przejęło troską. Mój Boże, jak ja ubóstwiam ją, Henryku! — Mówiąc, chodził po pokoju tam i z powrotem. Policzki jego pokryły się gorączkowym rumieńcem. Był strasznie podniecony.

Lord Henryk patrzył na niego z łagodnem uczuciem zadowolenia. Jakżeż innym był teraz od trwożliwego, nieśmiałego chłopca z pracowni Bazylego Hallwarda! Istota jego rozwinęła się w kwiat, rozkwitła szkarłatnym płomieniem. Z utajonej kryjówki wyrzała jego dusza, spotykając na swej drodze pragnienie.

— A co ty zamierzasz? — rzekł wreszcie lord Henryk.

— Chciałbym, abyście, ty i Bazyli, poszli ze mną którego wieczora zobaczyć jej grę. Nie mam żadnej obawy o wynik waszej oceny. Napewno uznacie jej genjusz. Musimy wyzwolić ją z rąk tego żyda. Jest z nim związana na trzy lata — właściwie, od teraz, na dwa lata i osiem miesięcy. Muszę mu, oczywiście, zapłacić odszkodowanie. Gdy to wszystko załatwię, wynajmę jeden z teatrów w dzielnicy zachodniej i dam jej możliwość godnego jej wystąpienia. Oczaruje cały świat, jak oczarowała mnie.

— To niemożliwe, mój drogi chłopcze.

— A jednak, tak będzie. Ona nie tylko jest artystką, nie tylko posiada zmysł artystyczny, ale jest również indywidualną, a ty mi przecież mówiłeś, że indywidualności, nie zasady, rządzą światem.

— Kiedyz zatem pójdziemy?

— Zaczekaj. Dziś jest wtorek. Powiedzmy, jutro. Jutro gra Julję.

— Dobrze. Czekam w Bristolu o ósmej i przyprowadzę Bazylego.

— Nie o ósmej, proszę cię, Henryku. O wpół do siódmej. Musimy być przed podniesieniem kurtyny. Musicie zobaczyć ją w pierwszym akcie, kiedy spotyka Romea.

— O w pół do siódmej! Co za godzina! To jakby herbata proszona w dzień, albo czytanie angielskiej powieści. Już najwcześniej o siódmej. Nikt z towarzystwa nie jada przed siódmą. Czy zobaczysz się przedtem z Bazylim? Czy ja mam napisać do niego?

— Kochany Bazyli! Nie widziałem go od tygodnia. Brzydko to właściwie z mej strony, zwłaszcza, że przysłał mi mój portret w cudnej ramie, którą umyślnie zamawiał według własnego rysunku, a choć zazdroszczę nieco obrazowi, gdyż jest o cały miesiąc odemnie młodszys, ale muszę przyznać, że cieszę się nim bardzo. Może lepiej, napisz do niego. Nie chciałbym być z nim sam na sam. Mówi mi rzeczy, które mnie gniewają. Udziela mi dobrych rad.

Lord Henryk uśmiechnął się. — Ludzie lubią oddawać to, czego najwięcej potrzebują sami. Nazywam to przepaścią dobrodziejstwa.

— O, Bazyli jest najlepszym człowiekiem pod słońcem, ale wydaje mi się nieco filistrem. Zauważyłem to wówczas dopiero, gdy poznałem ciebie, Henryku.

— Bazyli, mój drogi chłopcze, cały czas, jaki posiada, wciela w sztukę. Dlatego na potrzeby własnego życia pozostały mu tylko przesady, zasady i zdrowy rozsądek. Ze znanych mi artystów, ci, którzy czarują

sobą, są marnymi artystami. Dobrzy artyści istnieją tylko w tem, co tworzą, jako ludzie są zgoła nieciekawi. Wielki poeta, naprawdę wielki poeta, jest najbardziej niepoetycznem stworzeniem. Ale poeci podrzedni są czarujący. Im gorsze ich rymy, tem bardziej malowniczo wyglądają sami. Już samo to, że ktoś ogłosił tom lichych sonetów, czyni go niezwykłym. On żyje poezją, której nie umiałby napisać. Inni piszą poezje, której nie umieliby urzeczywistnić.

— Czyż tak jest naprawdę, Henryku? — rzekł Dorian Gray, skrapiając swą chusteczkę perfumami z postawionego na stole dużego złotego flakonu. — Tak być musi, jak mówisz. A teraz odchodzę. Imogena czeka na mnie. Nie zapomnij o jutrze. Do widzenia.

Gdy wyszedł z pokoju, lord Henryk, przymknąwszy swe ciężkie powieki, począł rozmyślać. Mało ludzi zajmowało go do tego stopnia, co Dorian Gray, a teraz szalona miłość młodzieńca dla kogoś innego sprawiała mu niemały ból przykrości lub zazdrości. Podobało mu się to jednak. Zagadnienie stawalo się więcej zajmującym. Górowało w nim zawsze upodobanie do metod nauk przyrodniczych, choć zwykły przedmiot ich badań wydawał mu się pospolitym i bez znaczenia. Zaczął więc analizować samego siebie, aby skończyć na analizowaniu bliźnich. Życie ludzkie było dla niego jedynym przedmiotem godnym badania. W porównaniu z niem nic nie miało wartości. Oczywiście, ktokolwiek przyglądał się życiu w jego ciekawym tyglu trudu i radości, ten nie może zasłaniać twarzy szklaną maską, któraby ochroniła jego mózg od wyziewów siarczanych, mącących go i zatruwających wyobraźnię potwornymi widziadłami i szpetnymi rojeniami. Istnieją trucizny tak łagodne, że trzeba zachorować przez nie,

aby doświadczyć ich działania. Istnieją choroby tak niezwykle, że trzeba je przeżyć, by zrozumieć ich istotę. A jakaż wielka za to nagroda! Jak cudownym staje się wówczas cały świat! Zgłębiać dziwnie nieugiętą logikę namiętności i burzliwie barwne życie umysłu, podpatrywać, gdzie łączą się, a gdzie rozdzielają, gdzie zlewają się w harmonję, a gdzie brzmia dysonansem — na tem polega rozkosz! Cóż znaczy cena? Za silne wrażenie jeszcze nikt nie zapłacił za drogo.

Był przeświadczony, — a świadomość ta błyskiem triumfu zaświeciła w jego agatowo ciemnych oczach — że to dzięki potędze jego słów, słów melodyjnych i wypowiedzianych głosem melodyjnym, dusza Doriana Graya zwróciła się ku tej białej dziewczynie, aby ugiąć się przed nią w zbożnym podziwie. Młodzieniec był w dużej mierze jego dziełem. Rozwinał go przedwcześnie. I to coś znaczy. Zwyczajni ludzie czekają, aż życie odsłoni im swe tajemnice, a tylko nieliczni, tylko wybrani oglądają je przed uchyleniem zasłony. Niekiedy bywa to wynikiem sztuki, zwłaszcza sztuki słowa, która czerpie bezpośrednio z uczuć i z umysłu. Ale od czasu do czasu jakaś złożona indywidualność bierze na siebie rolę sztuki, sama stając się sztuką, bo i życie ma swe arcydzieła, podobnie jak poezja, rzeźba i malarstwo.

Tak, młodzieniec dojrzał przedwcześnie. Zbierał on żniwo swoje w porze wiosennej. Namiętnie tętniała w nim młodość, ale już zdobywał świadomość samego siebie. Rozkoszą było przyglądać mu się. Wraz ze swą piękną głową i piękną duszą był rzeczą godną podziwu. Nie pora zastanawiać się, jak się to skończy, lub co mu jest w końcu przeznaczonem. Był on niby któraś z wdzięcznych postaci jakiejś płaskorzeźby lub drama-

tu, czyje radości są tak nam dalekie, czyje cierpienia budzą w nas zmysł piękna i czyje rany są jak róże czerwone.

Dusza i ciało, ciało i dusza — jakżeż są tajemnicze! Dusza ukazuje właściwości ciała, a ciało ma swe chwile uduchowienia. Zmysły mogą uszlachetniać się, a duch poniżać. Kto zdoła powiedzieć, gdzie kończą się popędy ciała, a gdzie zaczynają się pragnienia ducha? Jakże płytkie są arbitralne określenia zwykłych psychologów! A jednak, jakże trudno rozejrzeć się wśród twierdzeń różnorodnych szkół! Czy dusza jest cieniem, przebywającym w domu grzechu? Albo byłoby ciało w duszy, jak mniemał Giordano Bruno? Oddzielenie ducha od materji jest tajemnicą, tajemnicą również jest połączenie ducha z materją.

Począł rozmyślać nad tem, azali uda nam się kiedyś podnieść psychologję na wyżyny nauki tak ścisłej, że będzie mogła odkrywać najdrobniejsze źródła życia. Tak, jak jest teraz, błędnie rozumiemy samych siebie i rzadko rozumiemy bliźnich. Doświadczenie nie posiada wartości etycznej. Jest ono tylko nazwą, którą człowiek nadał swym pomyłkom. Moraliści uważali je naogół za przestrożę, przyznawali mu pewną wartość etyczną w kształceniu charakteru, cenili, jako naukę, za czem należy dążyć, a co omijać. W doświadczeniu niema jednak zgoła siły czynu. Jest ono równie drobnym czynnikiem działania, jak sumienie. Czego jedynie dowodzi, to tego, że przyszłość nasza będzie podobna do przeszłości i że grzech, w jaki popadliśmy z obrzydzeniem, popełnimy wiele razy, i to z przyjemnością.

Było dlań jasne, że metoda doświadczalna jest jedyną, która umożliwia naukowe zbadanie uczuć, i że

Dorian Gray jest bezwątpienia przedmiotem wprost do tego stworzonym, obiecującym wynik bogaty i owocny. Jego nagła, szalona miłość do Sybilli Vane była objawem psychologicznym, nader zajmującym. Ciekawość odgrywa tu, bezwątpienia, dużą rolę, ciekawość i chęć nowych doświadczeń. Nie było to jednak uczucie proste, lecz raczej niezwykle złożone. Co było w niem z czysto zmysłowych pobudek młodości, przetworzyło się pracą wyobraźni, przemieniło w coś, co dla samego młodzieńca wydawało się dalekiem od wszelkiej zmysłowości, stając się tem bardziej niebezpiecznem. Bo właśnie te uczucia, których powstanie mylnie oceniamy, tem bezwzględniej owładają nami. Najsłabsze są te popędy, które uświadomiliśmy sobie. Nieraz wydawało się nam, że czynimy doświadczenia na bliźnich, gdy w istocie doświadczaliśmy siebie samych.

Lord Henryk był pogrążony w rozmyślaniach, gdy nagle zapukał do drzwi służący, aby oznajmić, że czas przebrać się do obiadu. Wstał i wyjrzał przez okno na ulicę. Górne okna przeciwnego domu oblewało zachodzące słońce szkarłatnem złotem. Szyby płonęły, jak płyty rozżarzonego do czerwoności metalu. Wyżej, niebo przybrało barwy zwiędłej róży. Przyszło mu na myśl płomienne młode życie przyjaciela i zadał sobie w myśli pytanie, jaki będzie jego koniec.

Gdy o w pół do pierwszej w nocy powrócił do domu, w poczekalni na stole zastał depeszę. Otworzył ją. Była od Doriana Graya, który donosił, że zaręczył się z Sybillą Vane.

ROZDZIAŁ V.

— Matko, matko, takam szczęśliwa! — wzdychała dziewczyna, chowając twarz w suknię zwiedłej, znużonej kobiety, siedzącej na fotelu, będącym w pokoju jedynym sprzętem do tego użytku, odwróconej plecami do przenikliwie rażącego światła. — Takam szczęśliwa! — powtarzała, — i ty także musisz być bardzo szczęśliwa!

Pani Vane zadrżała i swe chude, bismutem wybielone ręce położyła na głowie córki. — Szczęśliwa! — powtórzyła — tylko wtedy jestem szczęśliwa, Sybillo, gdy widzę cię na scenie. Tylko o scenie powinnaś myśleć. Pan Isaacs był dla nas bardzo dobry i winneśmy mu dosyć pieniędzy.

Dziewczyna podniosła nadąsaną twarz. — Pieniądze, matko? — zawołała — cóż nas obchodzą pieniądze? Miłość jest większa od pieniędzy.

— Pan Isaacs dał nam pięćdziesiąt funtów zaliczki na spłacenie naszych długów i na sprawienie przyzwoitego ubrania dla Jakóba. Nie powinnaś zapominać o tem, Sybillo. Pięćdziesiąt funtów to duża kwota. Pan Isaacs był dla nas bardzo względny.

— On, matko nie jest dobrym człowiekiem, nie nawidzę sposobu, w jaki rozmawia ze mną, — rzekła dziewczyna, wstając i podchodząc do okna.

— Nie mam pojęcia, jakbyśmy dali sobie rady bez niego, — odparła z żalem starsza kobieta.

Sybilla Vane wstrząsnęła głową i roześmiała się. — Nie potrzebujemy go więcej, matko. Teraz książę z bajki myśli za nas. — Zamilkła. Krew uderzyła jej do twarzy, oblewając ponsem jej policzki. Szybki oddech rozchylił płatki jej warg. Drżały. Południowy wietrzyk uczucia owionął ją i poruszył fałdy jej sukni. — Kocham go, — rzekła poprostu.

— Głupi dzieciaku! głupi dzieciaku! — brzmiało w odpowiedzi papuzie zdanie. Ruch krzywych, lśniących od fałszywych kamieni palców dodawał śmieszności jej słowom.

Dziewczę śmiało się ciągle. W głosie jej brzmiała radość ptaka z klatki. Oczy jej chwytaly melodję, promieniając nią, poczem na chwilę przymknęła je, jakby dla ukrycia tajemnicy. Gdy otworzyła je, przeszła po nich mgła marzenia.

Z wypełzłego fotela wąskie wargi mądrości głosiły roztropność, czerpaną z księgi tchórzostwa, której autor nadużywa miana zdrowego rozsądku. Nic nie słyszała. Czuła się wolną w więzieniu uczucia. Był z nią jej książę, książę z bajki. W pamięci odtwarzała go sobie. Wysłała swą duszę w poszukiwanie go i ona jej go przywiodła. Jego pocałunek palił jej usta. Jego powieki były gorące od jego oddechu.

Mądrość zmieniła wówczas metodę, mówiąc o potrzebie wywiadu i zbadania. Młody człowiek może być bogatym. Jeżeli tak, należałoby pomyśleć o ślubie. O muszlę jej ucha uderzyły fale życiowej chytrłości. Świsnęły w nią strzały przebiegłości. Widziała, że wąskie wargi poruszają się, i uśmiechnęła się.

Nagle poczuła potrzebę mówienia. Zaniepokoiło ją

jej własne milczenie. — Matko, matko, — zawołała, — dlaczego on kocha mnie tak bardzo? Ja wiem, dlaczego go kocham. Kocham go, bo on wydaje mi się samą miłością. Ale co on widzi we mnie? Nie jestem go warta. A jednak — dlaczego, nie umiem wyrazić tego — choć wydaję się sama sobie tyle niższą od niego, nie czuję się upokorzona. Jestem dumną, bardzo dumną. Mamo, czyś tak kochała mego ojca, jak ja kocham księcia z bajki?

Stara kobieta pobladła pod grubą warstwą pudru, a jej suche wargi chwycił skurcz bólu. Sybilla przypadła do niej, opłotła jej szyję ramionami i poczęła całować ją. — Wybacz mi, matko. Wiem, że wspomnienie ojca sprawia ci przykrość, ale to dlatego, że go kochałaś tak bardzo. Nie bądź smutna. Takam dziś szczęśliwa, jak ty przed dwudziestu laty. Ach! pozwól mi być zawsze szczęśliwą!

— Moje dziecko, jeszcze za młoda, aby oddawać się miłości. Zresztą, cóż ty wiesz o tym młodym człowieku? Nawet nie wiesz, jak się nazywa. Wszystko to nie na miejscu, i doprawdy, teraz, kiedy mam tyle kłopotów z wyjazdem Jakóba do Australji, mogłabyś być rozsądniejszą. Choć, jak już powiedziałam, jeżeli jest bogaty...

— Ach! matko, matko, pozwól mi być szczęśliwą!

Pani Vane spojrzała na nią i chwyciła ją w objęcia tym sztucznym ruchem teatralnym, jaki dla aktora staje się często drugą naturą. W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł młody chłopak o ciemnym, najeżonym włosie. Miał postawę przysadzistą, ręce i nogi duże, w ruchach był niezgrabny. Nie miał w sobie nic z wdzięku siostry. Z trudnością można było pomyśleć o łączącym ich bliskim pokrewieństwie. Pani

Vane utkwiała w nim oczy, uśmiechając się silniej. W jej wyobraźni syn wyrastał do godności widowni. Była przekonana, że obraz był zajmujący.

— Mogłabyś, Sybillo, zachować trochę pocałunków dla mnie, — dobrodusznie mruknął chłopak.

— Ach! przecież ty, Jakóbie, nie lubisz całować się, — zawołała. — Straszny z ciebie niedźwiedź. — Podbiegła ku niemu przez pokój i uściśnęła go.

Jakób Vane patrzył na siostrę z czułością. — Przyszedłem zabrać cię, Sybillo, na przechadzkę. Nie wiem, czy zobaczę jeszcze kiedy ten obrzydliwy Londyn. Najpewniej, nie.

— Nie mów, synu, tak strasznych rzeczy, — wyszeptała pani Vane, biorąc się do łątania jakiegoś jaskrawego ubioru teatralnego. Była nieco rozczarowana, że syn nie przyłączył się do grupy. Byłby tak podniósł teatralną malowniczość sytuacji.

— Czemu nie, matko? Tak mi się zdaje.

— Przykrość mi sprawiasz, synu. Mam nadzieję, że wrócisz z Australji na dobre stanowisko. Zdaje mi się, że w kolonjach wcale niema ludzi z towarzystwa, z tego, co ja nazywam towarzystwem; kiedy więc zrobisz majątek, wrócisz i osiadziesz w Londynie.

— Towarzystwo! — burknął chłopak. — Nie chcę słuchać o niem. Pragnąłbym zarobić tyle pieniędzy, by ciebie i Sybillę zabrać z teatru. Nienawidzę go.

— Och, Jakóbie! — rzekła Sybilla, śmiejąc się, — jakżeż to nieładnie z twojej strony! Ale, czy naprawdę, chcesz przejść się ze mną? To byłoby miłe! Bałam się, że pójdziesz pożegnać się z którym z twych przyjaciół — z Tomem Hardy, co ci ofiarował tę szkaradną fajkę, albo z Nedom Langtonem, który drwi z ciebie, że ją palisz. Bardzo to ładnie z twojej strony, że chcesz

poświęcić mi ostatnie swe popołudnie. Dokąd pójdziemy? Najlepiej do Parku.

— Jestem zanadto oberwany, — odparł, marszcząc brwi. — Do Parku chodzą tylko eleganci.

— Głupstwo, Jakóbie! — prosiła, gładząc go po ubraniu.

Wahał się przez chwilę. — Dobrze, — rzekł wkońcu — ale nie ubieraj się za długo.

Tańcząc, wybiegła z pokoju. Słysząc było jej śpiew, gdy wbiegała na górę. Jej małe stopy stukwały o schody.

Dwa lub trzy razy przeszedł się po pokoju, poczem zwrócił się do cichej postaci w fotelu. — Matko, czy moje rzeczy gotowe? — zapytał.

— Wszystko gotowe, Jakóbie, — odparła, chowając oczy w robotę. Od wielu miesięcy krępowało ją pozostawanie sam na sam z tym synem szorstkim i ostrym. Jego wzrok niepokoił jej płytką a jednak skrytą naturę. Sama siebie zwykła zapytywać się, czy on nie podejrzewa czego. Milczenie, bo nigdy nic nie mówił, wydawało się jej nieznośnem. Poczęła się użalać. Kobiety bronią się, nacierając, jak nacierają, poddając się nagle i nieoczekiwanie. — Spodziewam się, Jakóbie, że będziesz zadowolony z życia na morzu, — rzekła. — Nie zapominaj, że sam je sobie wybrałeś. Mógłbyś być dostać zajęcie u adwokata. Adwokaci są zawodem bardzo poważanym i na prowincji często bywają przyjmowani w najlepszych domach.

— Nienawidzę urzędów i nienawidzę urzędników, — odparł. — Ale masz zupełną słuszość. Sam wybrałem sobie życie. Wszystko, co chcę ci powiedzieć, to abyś strzegła Sybilli. Nie pozwól skrzywdzić jej. Matko, strzeż jej.

— Jakóbie, doprawdy, mówisz bardzo dziwnie. Oczywiście, że strzegę Sybilli.

— Słyszałem, że jakiś pan codziennie jest w teatrze, przychodzi do niej i rozmawia z nią. Czy to prawda? Co to znaczy?

— Jakóbie, mówisz o rzeczach, których nie rozumiesz. W naszym zawodzie przywykłyśmy przyjmować dowody uznania. W swoim czasie i ja otrzymałam niejednen bukiet. Było to wtedy, kiedy naprawdę rozumiano się na teatrze. Co do Sybilli, to narazie nie wiem, czy jej przywiązanie jest poważne. Nie ulega jednak wątpliwości, że ów młody człowiek jest prawdziwym panem. Jest zawsze nadzwyczaj dla mnie uprzejmy. Zdaje się być nadto bardzo bogatym i przysyła bardzo ładne kwiaty.

— Nazwiska jego nie znasz, — rzekł chłopak szorstko.

— Nie, — odparła matka z wyrazem spokoju na twarzy. — Nie wyjawiał jeszcze prawdziwego nazwiska. To bardzo romantycznie. Należy zapewne do arystokracji.

Jakób Vane przygryzł wargi. — Strzeż Sybilli, matko, — zawołał — strzeż jej.

— Synu mój, nękasz mnie bardzo. Sybilla pozostaje zawsze pod moją troskliwą opieką. Oczywiście, jeżeli ów pan jest bogatym, nie widzę powodu, aby przeszkadzać ich związkowi. Najpewniej należy do arystokracji. W zupełności wygląda na to. Mogłoby to być dla Sybilli wspaniałe małżeństwo. Byłaby z nich cudowna para. Jest istotnie bardzo piękny; wszyscy to zauważyli.

Chłopak mruczał coś przez zęby, grubemi palcami bębniąc po szybie. Odwrócił się właśnie, aby po-

wiedzieć coś, gdy otworzyły się drzwi i wbiegła Sybilla.

— Jacy poważni jesteście, oboje! — zawołała. — Co się stało?

— Nic, — odparł. — Czasami trzeba być poważnym. Do widzenia, matko; na obiad przyjdę o piątej. Oprócz koszul, wszystko mam spakowane, nie potrzebujesz więc niepokoić się.

— Do widzenia, mój synu, — odparła, z dziwnie wyniosłym ukłonem.

Gniewał ją ton, w jakim przemawiał do niej, a w jego spojrzeniu było coś, co trwożyło ją.

— Pocałuj mnie, matko, — rzekła dziewczyna. Jej usta jak kwiat dotknęły zwiędłego policzka i ogrzały jego chłód.

— Moje dziecko! moje dziecko! — wykrzyknęła pani Vane, wznosząc wzrok do sufitu, szukając wyobrażanej przez siebie galerji.

— Chodź, Sybillo! — rzekł niecierpliwie brat. Nienawidził matczynej przesady.

Wyszli w migotliwe, od wiatru rozedrgane promienie słoneczne, podążyli posępną drogą Eustona. Przechodnie patrzyli ze zdziwieniem na nachmurzonego, ociężałego chłopca w grubem, niezręcznem ubraniu, towarzyszącego tak wdzięcznej i wytwornej dziewczynie. Wyglądał, niczem prosty ogrodnik, niosący różę.

Jakób marszczył chwilami brwi, spostrzegając natrętne spojrzenia przechodniów. Miał wstręt przed zwracaniem sobą uwagi, uczucie, zjawiające się dość późno w życiu ludzi sławnych, a nieopuszczające nigdy ludzi pospolitych. Natomiast Sybilla nie zauważyła wcale wrażenia, jakie wywoływała sobą. Miłość drgała uśmiechem na jej wargach. Myślała o księciu z bajki,

a chcąc swobodnie myśleć o nim, nie mówiła o nim, lecz szczebiotała o okręcie, którym ma odpłynąć Jakób, o złocie, które napewno zdobędzie, o cudownej właścicielce skarbow, którą wyratuje z rąk niecných zbójników w czerwonych koszulach. Bo on nie zostanie marynarzem, chłopcem okrętowym, ani czemś podobnem. Ach, nie! Życie marynarza jest straszne. Wyobrazić sobie tylko, że siedzi przykuty do obrzydliwego statku, rozhukane bałwany usiłują wtargnąć nań, a czarna burza pochyla maszty i rwie żagle w długie, świszczące strzępy! Zaraz w Melbourne musi wysiąść, pożegnać się ładnie z kapitanem i udać się natychmiast na poszukiwanie kopalni złota. Nim tydzień upłynie, natrafi na ogromną żyłę czystego złota, większą, niż kiedykolwiek odkryto, i przywiezie ją na wybrzeże na wozie, pilnowanym przez sześciu policjantów. Trzykrotnie napadną go rabusie, ale będą odparci, poniosłszy olbrzymie straty. Albo, nie. Niech nie chodzi do kopalń złota. To jakieś obrzydliwe miejscowości, gdzie ludzie upijają się po karczmach, mordują się nawzajem i używają brzydkich słów. Zostanie raczej zręcznym hodowcą owiec i pewnego wieczora, wracając do domu, zobaczy, jak na jadącą w pięknym powozie dziedziczkę napada zbójca na karym koniu, strzela doń i ratuje ją. Ona się w nim oczywiście zakocha, pobiorą się, powrócą do kraju i zamieszkają w Londynie we wspaniałym pałacu. Cudowne czekają go teraz rzeczy. Ale musi być bardzo dobry, nie unosić się i nie trwonić pieniędzy. Ona jest wprawdzie tylko o rok od niego słabsza, o ileż jednak lepiej zna życie. Trzeba, żeby pisywał też do niej z każdą pocztą i co wieczór modlił się przed snem. Bóg jest bardzo dobry i będzie

czuwał nad nim. Ona także będzie modliła się za niego, a po paru latach wróci bogaty i szczęśliwy.

Chłopak słuchał jej nachmurzony, nic nie odpowiadając. Opuszczał dom z ciężkiem sercem.

Nie tylko to jednak gnębiło go i zasępiało. Mimo braku doświadczenia, doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, grożącego Sybilli w jej zawodzie. Ten młody bubek, umizgający się do niej, nie mógł mieć dobrych zamiarów. On był panem i za to go nienawidził, nienawidził go przez jakiś dziwny instynkt rasowy, nie zdając sobie z niego sprawy, ale któremu dlatego właśnie tem bardziej poddawał się. Uświadał sobie, jak płytką i próżną z natury była matka, i w tem widział zgubę Sybilli i Sybilli nieszczęście. Dzieci z początku kochają swych rodziców; gdy są starsze, sądzą ich; czasami zapominają o nich.

Jego matka! Nieraz miał zamiar spytać ją o coś, o czem od długich miesięcy rozmyślał w milczeniu. Jakieś zdanie, przypadkiem usłyszane w teatrze, jakiś stłumiony śmiech, który obił się o jego uszy, gdy pewnego wieczora czekał u drzwi garderoby, obudził w nim całą falę strasznych myśli. Przypominał sobie, że było to, jakby uderzeniem bicia po twarzy. Brwi ściągnęły mu się w klinowatą zmarszczkę i przygryzł dolną wargę, drgającą od bolesnego skurczu.

— Nie słyszałeś ani słowa z tego, co mówiłam, Jakóbie, — zawołała Sybilla, — a ja snułam najświetniejsze plany na twoją przyszłość. No, powiedz-że coś.

— Co chcesz, abym ci powiedział?

— Ach! że będziesz dobrym chłopcem i że nie zapomnisz o nas, — odparła, uśmiechając się doń.

Wzruszył ramionami. — Prędzej ty o mnie zapomnisz, Sybillo, niż ja o tobie.

Zarumieniła się. — Jak ty to rozumiesz, Jakóbie, — zapytała.

— Słyszałem, że masz nowego przyjaciela. Kto to jest? Czemu nic nie mówiłaś o nim? On dobrze o tobie nie myśli.

— Przestań, Jakóbie! — zawołała. — Nie wolno ci mówić nic przeciwko niemu. Ja go kocham.

— Jakto, ty nawet nie wiesz, jak się nazywa, — odparł chłopak. — Kto to jest? Mam prawo wiedzieć o tem.

— Nazywa się: księżę z bajki. Czy nie podoba ci się to imię? Ach! niedobry chłopcze! nie powinienes nigdy zapomnieć go. Gdybyś go zobaczył raz, uznałbyś go za najcudowniejszą istotę na świecie. Poznasz go kiedyś: gdy powrócisz z Australji. Polubisz go bardzo. Każdy go lubi, a ja... kocham go. Chciałabym, abyś przyszedł dziś wieczór do teatru. On będzie, a ja będę grała Julję. Ach! jak ją będę grała! Wyobraź sobie, Jakóbie, być zakochaną i grać Julję! Wiedzieć, że on patrzy! Grać dla niego! Obawiam się, że przerazę cały zespół, przerazę albo oczaruję. Być zakochaną, to wyjść samej z siebie. Ten biedny, obrzydliwy pan Isaacs będzie nazywał mnie „genjuszem“ wobec swych kompanów z baru. Rozkazywał wierzyć we mnie, jak w dogmat; dziś wieczór oznajmi mnie, jako objawienie. Czuję to. A wszystko to jest jego, tylko jego, księcia z bajki, mego cudownego kochanka, mego boga miłości. Ale jam biedna przed nim. Biedna. Cóż to szkodzi? Gdy bieda wchodzi drzwiami, miłość wlatuje oknem. Przysłowia nasze trzeba napisać na nowo. Układano je w zimie, a teraz jest lato; dla mnie wiosna, taniec kwiatów na błękitach niebios.

— On jest pan, — mruknął niechętnie chłopak.

— Książę! — zawołała dźwięcznie. — Czegóż chcesz więcej?

— On zrobi z ciebie niewolnicę.

— Drzę na samą myśl, że pozostawi mnie wolną.

— Chciałbym cię ostrzec przed nim.

— Patrząc na niego, ubóstwia się go; znając go, ufa mu się.

— Sybillo, ty szalejesz za nim.

Roześmiała się i wzięła go pod rękę. — Drogi, stary Jakóbie, mówisz, jakbyś miał sto lat. Pewnego dnia i ty go pokochasz. Zrozumiesz wtedy, co to znaczy. Nie patrz tak ponuro. Powinieneś być zadowolony, wiedząc, iż jestem szczęśliwsza, niż kiedykolwiek, mimo, że odjeżdżasz. Życie było dla nas obojga twarde; bardzo twarde i ciężkie. Ale teraz będzie inaczej. Ty udajesz się w nowy świat, a ja już znalazłam go. O, tu są dwa krzesła; usiądźmy i przypatrzmy się pięknym przechodniom.

Siedli wśród grupy przyglądających się. Grzędy tulipanów wzdłuż drogi płonęły, niczem dwa drgające łuki ogniste. Białą pył, zwiewny obłok pyłu irysowego zawisł w dusznym powietrzu. Różnobarwne, mieniące się parasolki tańczyły i wyłaniały się, niby olbrzymie motyle.

Zmusiła brata do mówienia o sobie, o swych nadziejach, o swych widokach. Mówił powoli i z trudem. Zamieniali słowa, jak gracze karty. Sybilla odczuwała przymus. Nie mogła udzielić swej radości. Słaby uśmiech, przelotnie rysujący się na jego ponurych ustach, był jedynym oddźwiękiem, jaki udawało się jej wywołać. Po pewnym czasie zamilkła. Nagle wzrok jej pochwycił falę złotych włosów i roześmiane usta:

w otwartym powozie przejechał Dorian Gray z dwiema paniami.

Skoczyła na równe nogi. — To on! — wykrzyknęła.

— Kto? — spytał Jakób Vane.

— Księżę z bajki, — odparła, spoglądając za powozem.

Wstał żywo i silnie schwycił ją za rękę. — Pokaż mi go. Który to? Wskaż mi go. Muszę go zobaczyć! — zawołał; w tej chwili jednak nadjechała karetka księcia Berwick, zaprzężona w cztery konie, a gdy odsłoniła widok, powóz znikł już w Parku.

— Odjechał, — wyszeptała Sybilla smutno. — Chciałam, abyś go zobaczył.

— I ja tego chciałem, bo jak Bóg na niebie, jeżeli zrobi ci co złego, zabiję go.

Spojrzała nań przerażona. On powtórzył swe słowa. Przecięły powietrze, jak ostrze szpady. Ludzie zaczęli przyglądać się im. Jakaś stojąca w pobliżu dama zachichotała.

— Chodźmy, Jakóbie, chodźmy, — wyszeptała. Szedł posłusznie za przeciskającą się przez tłumy dziewczyną. Był zadowolony z tego, co powiedział.

Gdy doszli do posągu Achillesa, odwróciła się. W oczach jej było współczucie, które uśmiechem spłynęło na usta. Potrząsnęła doń głową. — Niemądry jesteś, Jakóbie, wcale niemądry; zły z ciebie chłopiec, oto wszystko. Jak nawet mówić możesz takie okropne rzeczy? Sam nie wiesz, coś powiedział. Jesteś tylko zazdrosny i niegrzeczny. Ach! chciałabym, żebyś się zakochał. Miłość czyni ludzi dobrymi, a to, coś powiedział, było złe.

— Mam lat szesnaście, — odparł — i wiem, czego

chcę. Matka ci nie pomoże. Ona nie potrafi czuwać nad tobą. Widzę teraz, że nie powinienem odjeżdżać do Australji. Mam wielką ochotę rzucić to wszystko. Zrobiłbym tak, gdybym nie był już podpisał umowy.

— Nie bądź tak poważny, Jakóbie. Jesteś zupełnie, jak ci bohaterzy z melodramatów, w których matka występowała tak chętnie. Nie chcę sprzeczać się z tobą. Widziałam go, a zobaczyć go, to już prawdziwe szczęście! Nie kłóćmy się. Wiem, że nie zrobiłbyś nic złego człowiekowi, którego kocham, nieprawdaż?

— Dotąd, oczywiście, dopóki go będziesz kochała, — brzmiała posępna odpowiedź.

— Będę go zawsze kochała! — wykrzyknęła.

— A on?

— On także!

— Niech pamięta.

Odsunęła się odeń. Poczem roześmiała się i wzięła go pod rękę. Wszak to tylko dzieciak.

Pod Łukiem Marmurowym wsiedli do omnibusu, który zawiózł ich do nędznego mieszkania przy drodze Eustona. Było już po piątej i Sybilla musiała odpocząć przed występem. Nalegał na to Jakób. Mówił także, iż chciałby pożegnać się z nią, zanim nadejdzie matka. Zrobiłaby z tego zaraz scenę, a on wszelkich scen nienawidzi.

Pożegnali się w pokoju Sybilli. W sercu chłopca nurtowała zazdrość i wyniosła, śmiertelna nienawiść do nieznajomego, który, jak mu się zdawało, rozdzielił ich. Gdy jednak dziewczyna objęła go ramieniem za szyję i zanurzyła palce w jego gęstej czuprynie, rozrzewnił się i szczerze ją ucałował. Gdy odchodził, w jego oczach stanęły łzy.

Na dole czekała na niego matka. Gdy wchodził,

zaczęła gderać na spóźnienie. Bez odpowiedzi, usiadł do skromnego posiłku. Muchy brzęczały wokół stołu i łaziły po brudnej serwecie. Wśród turkotu omnibusów i dorożek słyszał ogłuszający głos, pochłaniający każdą minutę, pozostającą mu jeszcze do odjazdu.

Po chwili odsunął talerz i ukrył twarz w dłoniach. Czuł, że ma prawo wiedzieć o tem. Powinna mu była dawno powiedzieć, jeśli było tak, jak się domyślał. Pograżona w obawie matka przyglądała mu się. Słowa wydobywały się z jej ust odruchowo. Mieła w rękach podartą chustkę koronkową. Gdy wybiła szóstą, wstał, kierując się ku drzwiom. Wtem odwrócił się i spojrzał na nią. Oczy ich spotkały się. We wzroku jej dostrzegł rozpaczliwe błaganie o łaskę. To go rozwścieczyło.

— Matko, chcę zapytać cię o coś, — powiedział. Oczy jej biegały błędnie po pokoju. Nie odpowiadała. — Powiedz mi prawdę. Mam prawo do niej. Czy z ojcem moim brałaś ślub?

Odetchnęła głęboko. Było to westchnienie ulgi. Straszna chwila, chwila, której z trwogą od miesięcy oczekiwała w dzień i w nocy, chwila ta wkońcu nadeszła i nie przeraziła jej. Do pewnego stopnia, zaiste, było to dla niej zawodem. Pospolita bezpośredniość zapytania wymagała bezpośredniej odpowiedzi. Sytuacja nie została przygotowaną stopniowo. Była brutalna. Przypominała jej nieudaną próbę.

— Nie, odparła, dziwiąc się twardej prostocie życia.

— A więc mój ojciec był łajdakiem! — krzyknął chłopiec, zaciskając pięść.

Zaprzeczyła głową. — Wiedziałam, że nie był wolnym. Kochaliśmy się bardzo. Gdyby żył, pamię-

tałby o nas. Nie wolno ci, synu, nic mówić przeciwko niemu. On był twym ojcem i porządnym człowiekiem. Miał zapewne wysokie stosunki.

Przekleństwo wybiegło z jego ust. — Nie troszczyć się o siebie, — wykrzyknął — ale o Sybillę... To porządny człowiek, nieprawdaż, w kim ona się kocha, lub mówi tak conajmniej? Wysoko ustosunkowany, jak mniemam.

Przez chwilę kobieta doznała uczucia niemiłego poniżenia. Pochyliła głowę. Drżącemi rękoma otarła oczy. — Sybilla ma matkę, — wyszeptwała; — ja nie miałam.

Chłopiec był wzruszony. Podeszedł ku niej i, schyliwszy się, pocałował ją. — Żałuję, jeśli wyrządziłem ci przykrość, pytając o ojca, — powiedział, — ale nie mogłem dać sobie rady. Muszę już odejść. Do widzenia. Nie zapominaj, że teraz pozostało ci już tylko jedno dziecko, i wierz mi, że gdyby ten człowiek miał skrzywdzić moją siostrę, dowiem się, kim on jest, wyśledzę go i zabiję, jak psa. Przysięgam ci na to.

Szalona przesada jego groźby, towarzyszący jej namiętny gest, melodramatycznie powiedziane słowa, wszystko to wywarło na niej żywe wrażenie. Z podobną atmosferą była spoufalcona. Odetchnęła swobodniej i poraz pierwszy od wielu miesięcy podziwiała swego syna. Chętnie przedłużyłaby tę wzruszającą scenę, ale on ją urwał krótko. Trzeba było znieść tłumoki i ogarnąć się. Stróżka chodziła tam i napowrót. Trzeba się było targować z woźnicą. Nastrój chwili znikł w codziennych szczegółach. Z ponownem uczuciem rozczarowania powiewała z okna podartą chustką koronkową, patrząc na odjeżdżającego syna. Miała wrażenie, że zmarnowaną została wielka sposobność. Pocieszyła

się, opowiadając Sybilli, jak samotnem będzie odtąd jej życie, gdy pozostało jej tylko jedno dziecko. Zapamiętała to zdanie. Podobało się jej. Nic nie mówiła o groźbie. Była wypowiedziana żywo i dramatycznie. Czuła, że kiedyś wszyscy będą się z tego śmiali.

ROZDZIAŁ VI.

— Spodziewam się, że o nowinie słyszałeś, Bazyli? — pytał tegoż wieczora lord Henryk, gdy Hallward wszedł do gabinetu w Bristolu, gdzie przygotowano nakrycia do obiadu na trzy osoby.

— Nie, Henryku, — odparł artysta, oddając kapelusz i płaszcz głęboko kłaniającemu się służącemu. — Co takiego? Spodziewam się, że nic z polityki? To nie zajmuje mię. W Izbie gmin niema nikogo, kogoby warto malować, chociaż niejednego przydałoby się wybielić.

— Dorian Gray zaręczył się, — rzekł lord Henryk i, mówiąc to, patrzył na niego.

Hallward zerwał się i zmarszczył brwi. — Dorian zaręczony! — wykrzyknął. — Niemożliwe!

— Szczera prawda.

— Z kim?

— Z jakąś małą aktorką czy coś podobnego.

— Nie mogę uwierzyć. Dorian jest zbyt wrażliwy.

— Dorian jest zbyt rozsądny, mój drogi Bazyli, aby od czasu do czasu nie zrobić głupstwa.

— Małżeństwo, Henryku, nie jest rzeczą, na którą można sobie pozwalać od czasu do czasu.

— Chyba w Ameryce, — powoli odparł lord Henryk. — Ale nie mówię, że się ożenił. Powiedziałem tylko, że zaręczył się. To duża różnica. Doskonale pa-

miętam, że jestem żonaty, a zgoła nie przypominam sobie, czy byłem zaręczony. Skłaniałbym się raczej do tego, że nigdy nie byłem narzeczonym.

— Ależ pomyśl o urodzeniu Doriana, o jego stanowisku, o jego majątku. Byłoby niedorzecznością z jego strony brać żonę z tak niskiej sfery.

— Jeśli tego chcesz, poradź mu, aby ożenił się z tą dziewczyną. Uczyni to z pewnością. Jeśli mężczyzna robi coś bardzo głupiego, to zawsze z najszlachetniejszych powodów.

— Mam nadzieję, Henryku, że to jakaś dobra dziewczyna. Nie chciałbym, aby Dorian związał się z jaką wstrętną istotą, któraby popsua jego charakter i zmarnowała jego umysł.

— Och, więcej niż dobra, bo jest piękna, — odrzekł lord Henryk, wysączając kieliszek vermouthu z gorzką pomarańczą. — Dorian mówi, że jest piękna; a on rzadko myli się w sprawach tego rodzaju. Portret przez ciebie zrobiony szybko rozwinął w nim wrażliwość na powierzchowność innych osób. Między innemi, był to zbawienny wpływ. Zobaczymy ją dziś wieczór, jeśli nasz chłopiec nie zapomni o umowie.

— Czy mówisz poważnie?

— Zupełnie poważnie, Bazyli. Uważałbym się za nędznika, gdybym kiedykolwiek mówił poważniej, niż w tej chwili.

— Ale nie pochwalasz tego, Henryku? — spytał malarz, przebiegając pokój tam i z powrotem i gryząc wargi. — Niemożliwe, żebyś to pochwalał. To jakieś głupie zaślepienie.

— Nigdy nic nie pochwalam i nigdy nic nie ganię. Byłoby to niedorzecznem stanowiskiem wobec życia. Nie poto jesteśmy na świecie, aby szerzyć nasze

moralne przesady. Nie zwracam uwagi na to, co robią ludzie pospolici, i nie wtrącam się do tego, co robią ludzie wytworni. Jeżeli zachwycam się kimś, jest mi najzupełniej obojętnem, co za sposób wyrazu wybiera on sobie. Dorian Gray zakochał się w pięknej dziewczynie, grającej Julję, i chce się z nią ożenić. Dlaczego nie? Gdyby żenił się z Mesaliną, byłby niemniej zajmującym. Wiesz, że nie należę do obrońców małżeństwa. Prawdziwie ujemną stroną małżeństwa jest to, że pozbawia nas egoizmu. Ludzie zaś nieegoistyczni są bezbarwni. Brak im indywidualności. Istnieją wprawdzie niektóre usposobienia, które w małżeństwie stają się jeszcze bardziej złożonemi. Zachowują swój egotyzm i dodają do swego cudze egotyzy. Ci zmuszeni są żyć, więcej, niż jednym życiem. Stają się istotami wyżej zorganizowanemi, a wyższa organizacja jest, o ile mi się zdaje, celem naszego bytu. Przytem każde doświadczenie ma wartość, a cokolwiek można powiedzieć przeciw małżeństwu, jest ono doświadczeniem. Wydaje mi się, że Dorian Gray ożeni się z tą dziewczyną, będzie ją ubóstwiał szalenie przez sześć miesięcy, a potem zostanie nagle oczarowany przez inną. Będzie zachwycającym przedmiotem do badania.

— Doskonale to wiesz, Henryku, że sam nie wierzysz w nic z tego, co mówisz. Gdyby Dorian Gray zmarnował swe życie, nikt nie cierpiałby więcej od ciebie. Jesteś znacznie lepszym, niż się przedstawiasz.

Lord Henryk roześmiał się. — Przyczyną, dla której myślimy tak dobrze o drugich, jest to, iż obawiamy się sami o siebie. Podstawą optymizmu jest zwykły strach. Uważamy się za szlachetnych, gdyż przyznajemy naszym sąsiadom cnoty, które mogą być pożytecz-

ne dla nas. Chwalimy bankiera, chcąc podnieść u niego swój własny kredyt, i znajdujemy dobre strony u złodzieja w nadziei, że będzie oszczędzał naszej kieszeni. Wierzę we wszystko to, co powiedziałem. Najbardziej nienawidzę optymizmu. Co zaś do zmarnowanego życia, to żadne nie jest zmarnowaniem, prócz tego, którego rozwój został powstrzymany. Jeśli chcesz wypaczyć charakter, zajmij się udoskonalaniem go. Co się tyczy małżeństwa, byłoby oczywiście niedorzecznością, ale między mężczyzną i kobietą istnieją związki bardziej zajmujące. Będę je napewno popierał. Mają ten urok, że są modne. Ale otóż i Dorian. Powie ci więcej, niż ja.

— Mój drogi Henryku, mój drogi Bazyli, musicie mi powinszować obaj! — zawołał młodzieniec, zrzucając płaszcz podbity jedwabiem i ściskając kolejno ręce obu przyjaciół. — Nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Wszystko stało się nagle: wszystko, co piękne, przychodzi nagle. Wydaje mi się jednak, jakobym przez całe życie moje na to jedno oczekiwał. — Był rozpromieniony ze wzruszenia i radości i wyglądał nadzwyczaj pięknie.

— Mam nadzieję, Dorianie, że zawsze będziesz szczęśliwy, — rzekł Hallward, — ale niezupełnie mogę ci wybaczyć, że nie powiedziałeś mi o swych zaręczynach. Henrykowi powiedziałeś.

— A ja ci nie wybaczam, że spóźniłeś się na obiad, — przerwał lord Henryk, kładąc rękę na ramieniu chłopca, i uśmiechał się, mówiąc. — Chodź, siadaj a zobaczymy, co umie tutejszy nowy kucharz. Później opowiesz nam wszystko.

— Właściwie niema wiele do opowiadania, — zawołał Dorian, gdy zasiadali do małego, okrągłego stołu. — Szczęście bywa prostem. Kiedy wczoraj wiecz-

rem pożegnałem się z tobą, Henryku, przebrałem się, zjadłem jakiś obiad w owej małej włoskiej restauracji przy ulicy Ruperta, gdzie wprowadziłeś mnie, a o ósmej poszedłem do teatru. Sybilla grała Rozalinę. Inscenizacja była oczywiście obrzydliwa, a Orlando niemożliwy. Ale Sybilla! Nie widzieliście jej nigdy! Była wprost cudowna, gdy weszła, przebrana za chłopca. Miała aksamitną kurtkę koloru mchu, z rękawami barwy cynamonu, lekkie brązowe na ukos sznurowane spodniki, maleńką zieloną czapkę z piórem sokolem, przypiętem jakimś błyszczącym kamieniem i szeroki płaszcz z ciemno-czerwoną podszewką. Nigdy nie wydała mi się piękniejszą. Miała wdzięczny urok tanagryjskiej figurki z twej pracowni, Bazyli. Bujne pukle włosów okalały jej twarzyczkę, jak ciemne liście białdy kwiat róży. A jej gra, zobaczycie ją dziś wieczorem. Ona jest wprost urodzoną artystką. W brudnej łoży siedziałem zupełnie oczarowany. Zapomniałem, że jestem w Londynie w dziewiętnastym stuleciu. Byłem z moją ukochaną w lesie, którego nigdy nikt nie widział. Po spuszczeniu kurtyny poszedłem za kulisy i rozmawiałem z nią. Gdy siedzieliśmy obok siebie, oczy jej przybrały nagle wyraz, jakiego jeszcze nie widziałem. Moje usta zbliżyły się do jej ust. Pocałowaliśmy się. Nie potrafię opisać wam, co poczułem w tej chwili. Wydawało mi się, że całe moje życie ześrodkowało się około jedyne go punktu różowo ubarwionej radości. Ona drżała całym ciałem i ślaniała się, jak biały narcyz. Potem upadła przedemną na kolana i całowała mnie po rękach. Czuję dobrze, że nie powinienem wam tego opowiadać, ale kiedy muszę. Oczywiście, zaręczyny nasze są wielką tajemnicą. Nie powiedziała o nich nawet swej matce. Nie wiem, co powiedzą moi opiekuni. Lord Radley bę-

dzie napewno wściekły. Nic mnie to nie obchodzi. Za niespełna rok będę pełnoletni, a wtedy zrobię, co zechcę. Nieprawdaż, Bazyli, że mam rację, iż szukałem mej ukochanej w poezji i że znalazłem żonę w dramatach Szekspira? Usta, które Szekspir nauczył mówić, wyszeptały swą tajemnicę do mego ucha. Czułem na mej szyi ramiona Rozalindy i całowałem usta Julji.

— Tak, Dorianie, zdaje mi się, że masz rację, — rzekł Hallward powoli.

— Czy widziałeś ją dzisiaj? — spytał lord Henryk.

Dorian Gray zaprzeczył głową. — Pozostawiłem ją w lesie ardeńskim. Odnajdę ją w ogrodach Werony.

Lord Henryk w zamyśleniu sącył szampana. — Dorianie, w jakiej chwili wspomniałeś o małżeństwie? I co ci odpowiedziała? A może zapomniałeś o tem?

— Mój drogi Henryku, nie traktowałem tego w formie interesu i nie zrobiłem żadnej propozycji formalnej. Powiedziałem jej, że ją kocham, a ona mi odpowiedziała, że nie jest godną zostać moją żoną. Niegodna! Ach, cały świat jest niczem w porównaniu z nią.

— Kobiety są zadziwiająco praktyczne, — wyszeptał lord Henryk, — znacznie praktyczniejsze od nas. W podobnych sytuacjach my często zapominamy o małżeństwie, ale one zawsze nam je przypominą.

Hallward położył rękę na jego ramieniu. — Przeostań, Henryku. Dotknąłeś Doriana. On nie jest takim, jak inni. Nigdy nie zdołałby unieszczęśliwić nikogo. Ma na to zbyt piękny charakter.

Lord Henryk spojrział przez stół. — Dorian nigdy nie może być dotkniętym przezemnie, — odparł. — Pytałem dla najlepszej przyczyny, dla jedynej przyczyny, usprawiedliwiającej pytania — z prostej cieka-

wości. Według mojej teorji, zawsze kobiety oświadczają się nam, a nie my kobietom. Z wyjątkiem, oczywiście, klas średnich. Klasy średnie nie są jednak nowoczesne.

Dorian Gray zaśmiał się i wstrząsnął głową. — Jesteś niepoprawny, Henryku, ale to nie szkodzi. Na ciebie gniewać się nie można. Gdy zobaczysz Sybillę Vane, poznasz sam, że mężczyzna, któryby mógł wyrzucić jej krzywdę, musiałby być zwierzęciem, zwierzęciem bez serca. Nie pojmuję, jak można hańbić coś, co się kocha. Kocham Sybillę Vane. Chcę ją postawić na złotym piedestale i patrzeć, jak świat będzie podziwiał kobietę, która jest moją. Czem jest małżeństwo? Nieodwołalnym zobowiązaniem. Dlatego szydzisz zeń. Ach! przestań szydzić. Ono jest nieodwołalnym ślubem, który ja chcę złożyć. Jej zaufanie czyni mnie wiernym, jej wiara czyni mnie dobrym. Gdy jestem z nią, zapominam o wszystkim, czegoś mnie nauczył. Staję się innym, niż znałeś mię dotychczas. Jestem przeistoczony, a samo dotknięcie ręki Sybilli Vane pozwala mi zapomnieć o wszystkich twych teorjach fałszywych, czarujących, trujących, rozkosznych.

— A te są...? — zapytał lord Henryk, nabierając z półmiska trochę sałaty.

— O, te twoje teorje o życiu, twoje teorje o miłości, twoje teorje o rozkoszy. Wogóle, wszystkie twoje teorje, Henryku.

— Jedyną rzeczą godną, aby miała teorję, jest rozkosz, — odparł swym cichym, dźwięcznym głosem. — Obawiam się jednak, że moja teorja nie jest moją własnością. Należy do przyrody, nie do mnie. Rozkosz jest świadectwem przyrody, znakiem jej przy-

zwolenia. Gdy jesteśmy szczęśliwi, jesteśmy dobrzy, ale gdy jesteśmy dobrzy, niezawsze jesteśmy szczęśliwi.

— Ach! ale co rozumiesz pod dobrocią? — zawołał Bazyli Hallward.

— Tak, — powtórzył Dorian, opierając się o krzesło i patrząc na lorda Henryka przez stojący na środku stołu wielki pęk irysów o purpurowych płatkach, — co rozumiesz pod dobrocią?

— Być dobrym to znaczy być w zgodzie z samym sobą, — odparł, ujmując wysmukły kieliszek w swe białe, cienkie palce. — Być zmuszonym do zgody z innymi jest dysonansem. Jedynie nasze własne życie jest rzeczą ważną. Co do naszych bliźnich, jeżeli chce się być obłudnikiem lub purytaninem, można słuchać moralnych na ich życie poglądów, w istocie rzeczy jednak nie obchodzi ono nas wcale. Przedewszystkiem indywidualizm ma wyższe znaczenie. Dzisiejsza moralność polega na przystosowaniu się do czasu. Mojem zdaniem, przystosowywanie się do swego czasu jest dla człowieka kulturalnego najwyższą niemoralnością.

— Ale to pewne, Henryku, że człowiek żyjący wyłącznie podług siebie, za prawo to strasznie drogo opłaca? — wtrącił malarz.

— Tak, wszystko musimy dziś przepłacać. Gotówem uwierzyć w to, że istotna tragedia ubogich polega na tem, iż na nic sobie nie mogą pozwolić, prócz wyrzeczenia. Piękne grzechy, podobnie jak wszystko, co piękne, są przywilejem bogatych.

— Płaci się często nie tylko pieniędzmi.

— A czem, Bazyli?

— Ach! Wyobrażałbym sobie, że wyrzutami sumienia, cierpieniem,... wreszcie, świadomością poniżenia.

Lord Henryk wzruszył ramionami. — Mój drogi towarzyszu, sztuka średniowieczna jest czarująca, ale wzruszenia średniowieczne są już przedawnione. Można je wprowadzić zużyć w poezji. Ale w poezji używa się tylko tych rzeczy, które w życiu wyszły już z użycia. Wierżaj mi, żaden człowiek cywilizowany nie żąda doznanej rozkoszy, a żaden człowiek niecywilizowany nie wie, co to jest rozkosz.

— Ja wiem, co jest rozkoszą, — przerwał Dorian Gray. — Jest to uwielbiać cokolwiek.

— W każdym razie lepiej uwielbiać, niż być uwielbianym, — odparł, bawiąc się owocami. — Być uwielbianym to nudne. Kobiety obchodzą się z nami, jak ludzkość ze swemi bogami. Ubóstwiają nas, ale ciągle czegoś od nas żądają.

— Powiedziałbym jednak, że czegokolwiek żądają od nas, dały nam przedtem, — odrzekł poważnie młodzieniec. — One w nas tworzą miłość. Mają więc prawo żądać jej z powrotem.

— Masz zupełną słuszość, Dorianie, — zawołał Hallward.

— Nic nie jest zupełną słuszością, — rzekł lord Henryk.

— To jest, — wtrącił Dorian. — Musisz przyznać, Henryku, że kobiety oddają mężczyznom szczerę złotą ich życia.

— Możliwe, — przytwardził, — ale nieodmiennie wymagają natychmiastowego zwrotu w drobnej monecie. W tem cały błąd. Kobiety, jak to powiedział jeden dowcipny francuz, wzniecają w nas żądzę arcydzieł, ale wciąż przeszkadzają w urzeczywistnieniu ich.

— Henryku, jesteś straszny! Nie wiem, za co cię tak lubię.

— Zawsze będziesz mię lubiał, Dorianie, — odparł. — Czy chcecie kawy, towarzysze? — Kelner, proszę o kawę, fine-champagne i papierosy. Nie, nie trzeba papierosów, mam je. Bazyli, nie wolno ci palić cygar. Zapal papierosa. Papieros jest doskonałym wzorem doskonałej rozkoszy. Jest wyborny, a nie nasycza. Czego chcesz więcej? Tak, Dorianie, będziesz mię kochał zawsze. Jestem dla ciebie wyobrażeniem grzechów, których nie miałaś odwagi popełnić.

— Co za głupstwa pleciesz, Henryku! — zawołał młodzieniec, zapalając papierosa od ustawionego przez kelnera na stole srebrnego smoka, ziejącego ogniem. — Chodźmy do teatru. Gdy Sybilla wyjdzie na scenę, poznacie nowy ideał życia. Objawi wam to, czegoście nigdy nie znali.

— Znam już wszystko, — rzekł lord Henryk z wyrazem znużenia w oczach, — ale zawsze jestem gotowy do nowych wzruszeń. Obawiam się jednak, że przynajmniej dla mnie, nie istnieją już. Ale może twoja cudowna dziewczyna zdoła porwać mię. Lubię scenę. Jest więcej rzeczywistą, niż życie. Chodźmy. Dorianie, pojedziesz ze mną. Bardzo mi przykro, Bazyli, ale w moim powoziku jest miejsce tylko na dwoje. Musisz wsiąść do dorożki.

Wstali, wzięli płaszcze i, stojąc, dopijali kawy. Malarz był milczący i zamyślony. Było to dlań strapieniem. Nie mógł znieść myśli o tem małżeństwie, a jednak wydawało mu się lepszem od czegokolwiek innego. Po paru minutach zeszli po schodach. Jechał sam, tak, jak się umówili, i patrzył na błyszczące światło jadącego przed nim powoziku. Doznawał dziwnego uczucia stra-

ty. Czuł, że Dorian Gray nigdy nie będzie już dlań tem, czem był poprzednio. Stańło między nimi życie... Po-
ciemniało mu w oczach, a jaskrawe, ożywione ulice roz-
płynęły się w cieniu. Gdy powóz stanął przed teatrem,
miał wrażenie, że postarzał się o kilka lat.

ROZDZIAŁ VII.

Szczególnym zbiegiem okoliczności teatr był tego wieczora przepełniony, a przedsiębiorca, ów gruby żyd, który naprzeciw nich wybiegł do drzwi, jaśniał tłustym, dygotliwym uśmiechem od ucha do ucha. Odprowadził ich do łoży z okazałą uniżonością, wymachując grubemi, obładowanemi w pierścienie rękami i wykrzykując jak można najbardziej piskliwie. Dorian Gray odczuwał doń wstręt większy, niż kiedykolwiek. Wydawało mu się, że przyszedł oglądać Mirandę, a zastał Kalibana. Natomiast lordowi Henrykowi raczej podobał się. Przynajmniej tak twierdził, obstając nadto, że musi uścisnąć mu dłoń, i zapewniając, iż dumny jest ze znajomości z człowiekiem, który odkrył genjusza i zbankrutował na poecie. Hallward zabawiał się oglądaniem widzów na parterze. Gorąco było strasznie, a wielki płonący żyrandol wyglądał, jak olbrzyma georginja o płatkach z żółtego ognia. Chłopcy na galerji pozdejmowali surduty i kamizelki i przewiesili je przez balustradę. Rozmawiali z przeciwległą galerją i częstowali pomarańczami siedzące obok dziewczęta. Na parterze kilka kobiet raz po raz wybuchało śmiechem. Głosy ich były okropnie przeraźliwe i niestrojne. Od bufetu dolatywało strzelanie korków.

— Co za miejsce na spotkanie bóstwa! — rzekł lord Henryk.

— Tak! — odparł Dorian Gray. — Tu ją zna-

lażem i ona jest boginią ponad wszystkim żyjącem stworzeniem. Gdy zacznie grać zapomnicie o otoczeniu. Ci prości, szorstcy ludzie, o twarzach pospolitych i ruchach brutalnych, stają się inni, gdy ona jest na scenie. Siedzą spokojnie, wpatrzeni w nią. Płaczą i śmieją się, gdy ona zechce. Wydobywa z nich tony, jak ze skrzypiec. Uduchawia ich i wówczas czuje się, że oni są z tej samej krwi i kości, co my.

— Z tej samej krwi i kości, co my! O, chyba nie! — wykrzyknął lord Henryk, lornetując widzów na galerji.

— Nie zważaj na niego, Dorianie, — rzekł malarz. — Rozumiem, co myślisz, i wierzę w tę dziewczynę. Czarującym musi być ten, kogo kochasz, a dziewczyna, mogąca tak działać, jak opowiadasz, musi być piękną i szlachetną. Uduchowić swych bliźnich, to war-
te trudu. Jeśli ta dziewczyna podoła tchnąć dusze w tych, co żyli bez duszy, jeśli budzi zmysł piękna w tych, których życie było brudne i szkaradne, jeśli wyrывa ich z egoizmu i wzrusza do łez nad cierpieniem, co nie jest ich cierpieniem, to godna jest twego ubóstwienia, godna jest ubóstwienia całego świata. Małżeństwo to jest w zupełnym porządku. Z początku nie myślałem tak, ale teraz przyznaję. Bogowie stworzyli Sybillę Vane dla ciebie. Bez niej byłbyś niedoskonałym.

— Dziękuję ci, Bazyli, — odparł Dorian Gray, ściskając go za rękę. — Wiedziałem, że zrozumiesz mnie. Henryk jest tak cyniczny, że aż przeraża mnie. Ale oto i orkiestra. Straszna, ale gra tylko około pięciu minut. Potem podniesie się kurtyna i zobaczycie dziewczynę, której chcę oddać całe swe życie, której oddałem wszystko, co we mnie jest dobrego.

W kwadrans później, wśród niezwyklej burzy oklasków, Sybilla Vane wyszła na scenę. Tak, była naprawdę piękna, jednym z najpiękniejszych stworzeń, myślał lord Henryk, jakie widział kiedykolwiek. Było coś z łani w jej trwożnym wdzięku i zaleknionem spojrzeniu. Lekki rumieniec, jak cień róży w srebrnem zwierciedle, przemknął po jej policzkach, gdy zauważyła entuzjazm przepełnionej sali. Cofnęła się kilka kroków, a usta jej zdawały się drżeć. Bazyli Hallward powstał i zaczął ją okłaskiwać. Bez ruchu, jakby we śnie, siedział wpatrzony w nią Dorian Gray. Lord Henryk patrzył przez lornetkę, szepcząc „Czarująca! czarująca!“.

Scena przedstawiała salę w domu Kapuletów, wszedł właśnie Romeo w płaszczu pielgrzyma w towarzystwie Merkucja i innych przyjaciół. Orkiestra, jaka była, zagrała parę taktów i zaczęły się tańce. W tłumie niezgrabnych i źle ubranych aktorów, Sybilla Vane poruszała się, jak istota z doskonałego świata. W tańcu postać jej słaniała się, jak roślina w wodzie. Łuki jej szyi zdały się, niby łuki białej lilji. Jej ręce wyglądały, jakby były z chłodnej kości słoniowej.

Była jednak dziwnie roztargniona. Gdy oczy jej spoczęły na Romeu, nie okazała najmniejszej radości. Niewiele słów, które miała wypowiedzieć: —

„Krzywdzisz, pielgrzymie, swą rękę, co zbożna

„Tak obyczajnie moją rękę trzyma!

„Dłoń świętych na to, że jej dotknąć można —

„I to jest zacny całunek pielgrzyma“. — *)

i następujący po nich krótki dialog wygłosiła w sposób zupełnie sztuczny. Głos był przecudny, ale w tonie bez-

względnie fałszywy. Fałszywy w barwie. Pozbawiał wiersz wszelkiego życia. Nie oddawał prawdy uczucia.

Spostrzegłszy ją, Dorian Gray poblądł. Był zmieszany i niespokojny. Żaden z przyjaciół nie śmiał odezwać się do niego. Wydała im się zgoła bez talentu. Byli strasznie rozczarowani.

Wiedzieli jednak, że probierzem dla każdej Julji jest scena balkonowa w drugim akcie. Czekali na nią. Jeśli i tam zawiedzie, niema się już czego spodziewać po niej.

W świetle księżyca wyglądała czarująco. Temu nie można było zaprzeczyć. Ale jej gra była nieznośnie wymuszona i coraz gorsza. Ruchy jej stawały się niedorzecznie sztuczne. Każde słowo wymawiała z nadmierną przesadą. Piękny ustęp —

„Ty widzisz maskę nocy na mej twarzy,
„Inaczej wstydyby dziewiczy zrumienił
„Moje oblicze za słowa, słyszane
„Przez cię tej nocy!“ — *)

zadeklamowała z godną politowania dokładnością uczennicy, kształcącej się u drugorzędnego nauczyciela wymowy. Kiedy przechyliła się przez balkon, aby dojść do tych cudownych wierszy —

„Dobrze, nie przysięgaj —
„Choć się raduję tobą, nie radują
„Przecież mnie śluby tej nocy dzisiejszej;
„Zbyt są pośpieszne, niezwyčajne, nagłe,
„Nazbyt podobne są do błyskawicy,
„Której już niema, zanim zdołaliśmy
„Rzec, iż się łąska. O, luby, dobranoc!

„Oby nam dojrzał ten pączek miłości,
 „Pod tchnieniem lata i pięknem wystrzelił
 „Kwieciem do czasu, gdy się znów spotkamy.“ *)

wypowiedziała je takim tonem, jakby ich wcale nie rozumiała. Nie była zdenerwowana. Owszem, wręcz przeciwnie, była zupełnie opanowana. Poprostu licha gra. Zupełne fiasko.

Nawet zwykli, niewybredni widzowie z parteru i galerji przestali się zajmować przedstawieniem. Wszczęły się szmery, głośnie rozmowa i sykanie. Żydowski przedsiębiorca, stojący w głębi garderoby, tupał nogami i wściekle kłął. W całym teatrze jedyną osobą, która zachowała spokój, była ona sama.

Po skończeniu drugiego aktu, wszczęła się burza gwizdów. Lord Henryk wstał z krzesła i zaczął wdziawać płaszcz. — Czarująco piękna, Dorianie, — rzekł — ale nie ma pojęcia o grze. Chodźmy.

— Chcę wysłuchać sztuki do końca, — odparł młodzieniec twardym, gorzkim głosem. — Bardzo mi przykro, Henryku, że przezemnie zmarnowaliście wieczór. Najmocniej przepraszam was obu.

— Mój drogi Dorianie, — przerwał Hallward — wydaje mi się, że panna Vane jest słaba. Przyjdziemy innego wieczora.

— Chciałbym, aby była słaba, — odpowiedział. — Wydaje mi się poprostu nieczułą i zimną. Zmieniła się zupełnie. Poprzedniego wieczora była wielką artystką. Dziś jest mniej, niż pospolitą, mierną artystką.

— Nie wolno ci mówić tak, Dorianie, o tej, którą kochasz. Miłość jest cudowniejszą, niż sztuka.

*) Ustępy z „Romea i Julji“ Szekspira w przekładzie Jana Kasprowicza. (Przyp. tłum.).

— Obie są poprostu rodzajami naśladownictwa, — zauważył lord Henryk. — Proszę was jednak, pójdźmy. Nie możesz tu pozostać, Dorianie. Ze względów moralnych niedobrze jest patrzeć na złą grę. Sądzę zresztą, że żonie swej nie pozwolisz występować na scenie. Cóż cię to obchodzi, że gra Julję, jak marjonetka? Jest czarująco piękna i jeśli życie zna również słabo, jak sztukę, będzie doskonałym przedmiotem doświadczalnym. Bo są tylko dwa rodzaje ludzi czarujących — ci, co bezwzględnie na wszystkim się znają, i ci, co nie znają się na niczem. Na Boga, drogi chłopcze, nie rób tragicznej miny! Tajemnica młodości polega na tem, aby nie poddawać się uczuciu, z którem byłoby nie do twarzy. Chodź z Bazyliem i ze mną do klubu. Zapalimy papierosa i napijemy się na cześć urody Sybilli Vane. Ona jest piękna. Czegóż chcesz więcej?

— Idź, Henryku, — zawołał młodzieniec. — Chcę pozostać sam. Bazyli, musisz też pójść. Ach! czyż nie widzicie, że serce mi pęka. — Gorące łzy napłynęły mu do oczu. Usta mu drżały. Gwałtownie rzucił się w głąb łoży, oparł się o ścianę i twarz ukrył w dłoniach.

— Chodźmy, Bazyli, — rzekł lord Henryk z niezwykłą miękkością w głosie; i obaj młodzi ludzie skierowali się ku wyjściu.

W parę chwil później zapalono kinkiety i podniesiono kurtynę przed trzecim aktem. Dorian Gray zajął poprzednie miejsce. Wyglądał blado, dumnie i obojętnie. Przedstawienie wlokło się, jakgdyby nie miało się skończyć. Połowa widzów opuszczała teatr, stukając ciężkiem obuwie i śmiejąc się. Było zupełne fiasko. Ostatni akt odegrano przed niemal pustą widownią. Spuszczono kurtynę wśród chichotów i pomruków.

Skoro się tylko skończyło, Dorian wpadł za kulisy,

do garderoby. Dziewczyna stała tu samotna, z wyrazem triumfu na twarzy. Oczy jej płonęły nadzwyczajnym blaskiem. Promieniowała naokół. Napół rozchyłone usta uśmiechały się do jakiejś własnej tajemnicy.

Gdy wszedł, spojrzała nań z wyrazem bezmiernej radości. — Jakże źle dziś grałam, Dorianie! — zawołała.

— Okropnie! — odparł, patrząc na nią ze zdumieniem, — okropnie! To było straszne. Czy jesteś chora? Nie masz pojęcia, jakie to było okropne. Nie masz pojęcia, ile wycierpiałem.

Dziewczyna uśmiechnęła się. — Dorianie, — odrzekła, wymawiając to imię głosem pieszczotliwie melodyjnym, jakby dla różanych płatków jej ust było słodsze od miodu — Dorianie, powinieneś być zrozumieć mnie. Ale teraz rozumiesz mnie, nieprawdaż?

— Co mam rozumieć? — zapytał gniewnie.

— Dlaczego tak źle dziś grałam. Dlaczego już zawsze będę źle grała. Dlaczego już nigdy nie zagram dobrze.

Wzruszył ramionami. — Wydajesz się chora. Jeżeli jesteś chora, nie powinnaś była grać. Narażasz się na śmieszność. Moi przyjaciele byli udręczeni. I ja byłem udręczony.

Zdawała się nie słyszeć go. Przekształcona przez radość, trwała w zachwyceniu szczęścia.

— Dorianie, Dorianie, — zawołała, — zanim cię poznałam, gra była w mem życiu jedyną rzeczywistością. Żyłam tylko w teatrze. Wszystko to brałam za prawdę. Jednego wieczora byłam Rozalindą, następnego Porcją. Radość Beatryczy była moją radością i ból Kordelji był moim bólem. We wszystko wierzyłam. Zwykli ludzie, co grali ze mną, wydawali mi się boga-

mi. Pomalowane kulisy były moim światem. Nic nie znałam prócz cieni, biorąc je za rzeczywistość. Aż ty przyszedłeś — ach, ty moja piękna miłości! — i wyzwoliłeś mą duszę z więzienia. Ty dałeś mi poznać prawdę rzeczywistości. Dzisiejszego wieczora, po raz pierwszy w mem życiu, ujrzałam całą pustkę, hańbę i głupotę czczego widowiska, w którym wciąż grałam. Dzisiejszego wieczora, po raz pierwszy spostrzegłam, że Romeo jest ohydny, stary, umalowany, że blask księżyca w ogrodzie jest nieprawdziwy, że dekoracje są pospolite i że słowa, które mówiłam, są nierzeczywiste, że to nie są moje słowa, nie te, które chciałabym mówić. Tyś mi przyniósł coś wyższego, czego wszelka sztuka może być tylko odbiciem. Tyś mi dał zrozumieć, co to jest rzeczywista miłość. Moja miłość! moja miłość! Książę z bajki! Książę życia! Dość cieni. Tyś dla mnie więcej, niż mogłaby być jakakolwiek sztuka. Cóż mnie obchodzą lalki teatralne? Gdy przyszedłam tu dziś wieczór, nie mogłam zrozumieć, że to wszystko odpadło odemnie. Myślałam, że będę czarowała. Poczułam, że nie zdołam. Nagle rozświetliło mi się w duszy, co to wszystko znaczy. Świadomość tego była mi rozkoszą. Słyszałam ich sykanie i uśmiechałam się. Co oni mogą wiedzieć o miłości, takiej jak nasza? Zabierz mnie, Dorianie — zabierz mnie z sobą tam, gdzie będziemy zupełnie sami. Nienawidzę sceny. Mogłabym grać namiętność, której nie czuję, ale nie mogę grać tego, co pali mnie ogniem. Ach, Dorianie, Dorianie, czy rozumiesz teraz, co to znaczy? Gdybym nawet mogła, uważałabym za świętokradztwo grać teraz miłość. Ty mi to ukazałeś.

Upadł na sofę i odwrócił od niej głowę. — Zabiłaś moją miłość, — wyksztusił.

Patrzyła na niego zdumiona, śmiejąc się. Nie odpowiadała. Podeszła ku niemu i swe małe palce zanurzyła w jego włosach. Osunęła się na kolana i przyciskała jego ręce do swych ust. Cofnął je, wzdrygając się nagle.

Zerwał się i poskoczył ku drzwiom. — Tak, — krzyknął, — zabiłaś moją miłość. Podniecałaś moją wyobraźnię. Teraz nie wzbudzasz nawet mej ciekawości. Prostu przestałaś na mnie działać. Kochałem cię, bo byłaś czarująca, bo miałaś genjusz i ducha, bo urzeczywistniałaś marzenia wielkich poetów i dawałaś kształt i ciało ceniom sztuki. Roztrwonilaś to wszystko. Jesteś płytka i głupia. Boże mój! jakżeż mogłem zakochać się w tobie! Jakimż byłem szaleńcem! Teraz niczem dla mnie nie jesteś! Nie chcę cię więcej widzieć. Nie chcę więcej myśleć o tobie. Nie chcę już nigdy słyszeć twego imienia. Nie masz pojęcia, czem dla mnie byłaś, kiedyś. Tak, kiedyś. Och, nie mam sił myśleć o tem! Bodałoby oczy moje nie zobaczyły cię nigdy! Zmarnowałaś romans mego życia. Jakżeż niewiele wiesz o miłości, mówisz, że zabija twą sztukę! Bez twojej sztuki niczem nie jesteś. Byłbym cię był zrobił sławną, wielką, wspinałą. Cały świat ubóstwiałby ciebie i byłabyś nosiła moje nazwisko. Czem jesteś teraz? Trzeciorzędną aktorką o ładnej buzi.

Dziewczyna zbladła i drżała. Złożyła ręce, jak do modlitwy, a głos zdawał się łamać w jej gardle. — Ty nie mówisz poważnie, Dorianie? — wyszeptała. — Grasz chyba.

— Grę pozostawiam tobie. Tak dobrze ją umiesz; — odparł z goryczą.

Powstała z klęcek i z wyrazem rozpaczego bólu na twarzy zbliżyła się ku niemu. Zarzuciła ramiona

na jego szyję i spojrzała mu w oczy. — Nie dotykaj mnie! — zawołał.

Głuche westchnienie wydarło się z jej piersi, rzuciła mu się do kolan i upadła mu pod nogi, jak zdeptyany kwiat. — Dorianie, Dorianie, nie porzucaj mnie! — wyszeptała. — Tak żałuję, że nie grałam dobrze. Cały czas myślałam o tobie. Ale spróbuję — naprawdę spróbuję. Miłość do ciebie spadła na mnie tak nagle. Zdaje mi się, że nie zaznałabym jej nigdy, gdybyś mnie nie był pocałował — gdybyśmy byli nie całowali się. Pocałuj mnie jeszcze, ukochany. Nie odchodź odemnie. Mój brat... Nie; on tego nie myślał. On tego nigdy nie myślał. On żartował... Ale ty, oh, czyż nie możesz mi zapomnieć dzisiejszego wieczoru? Będę bardzo pracowała i spróbuję zrobić postępy. Nie bądź dla mnie okrutnym, bo ja kocham cię nad wszystko na świecie. Przecież tylko raz jeden nie podobałam ci się. Masz jednak zupełną słuszość, Dorianie. Należało pokazać się lepszą artystką. Było to głupie z mej strony, i nic na to teraz nie poradzę. Ach, nie porzucaj mnie, nie porzucaj mnie. — Dławiło ją spazmatyczne łkanie. Wiła się na podłodze skulona, jak zraniona, a Dorian Gray patrzył na nią swymi pięknymi oczami z wyniosłą wzgardą, rysującą się na jego wykwintnych ustach. Uczucia tych, których przestaliśmy kochać, wydają nam się zawsze cokolwiek śmieszne. Sybilla Vane robiła na nim wrażenie nedorzecznie melodramatyczne. Jej łzy i westchnienia nudziły go.

— Odchodzę, — rzekł wreszcie swym głosem spokojnym i jasnym. — Nie chcę sprawiać ci przykrości, ale nie mogę widywać cię więcej. Rozczarowałem się do ciebie.

Płakała cicho, nie odpowiadając, ale czółgając się

bliżej. Jej drobne ręce wyciągały się naoślep, jakby szukały go. Obrócił się na pięcie i wyszedł. Za parę chwil opuścił teatr.

Nie zdawał sobie sprawy, gdzie chodził. Przypominał sobie później, że szedł słabo oświetlonymi ulicami, pod wąskimi, ciemnymi sklepieniami, wzdłuż nędznych domów. Zaczepiały go kobiety o ochrypłym głosie i ordynarnym śmiechu. Mijał zataczających się pijaków, klnących i bełkocących do siebie, niczem jakieś potworne małpy. Widział dziwaczne dzieci, przycupnięte w bramach pod schodami, i słyszał dolatujące z cuchnących podwórzy krzyki i przekleństwa.

Zaczynało właśnie świtać, gdy znalazł się przed Covent Garden. Mrok zniknął, a rozświetlone nikłą purpurą niebo wydrażało się we wspaniałą muszlę perłową. Duże wozy, naładowane drżącymi od chłodu liljami, powoli toczyły się po gładkiej, pustej ulicy. Powietrze było duszne od zapachu kwiatów, a ich piękno zdawało się być balsamem dla jego cierpienia. Poszedł za wozami aż do rynku i przyglądał się, jak je wyładowywano. Białe ubrany woźnica poczęstował go wiśniami. Podziękował mu, zdziwił się, że nie chciał wziąć pieniędzy, i począł jeść w roztargnieniu. Zrywano je o północy i nabrały w siebie chłodu księżycy. Długi szereg chłopców, niosących kosze nakrapianych tulipanów, żółtych i czerwonych róż, przeciągał przed nim, przeciskając się wśród dużych stosów blado-zielonych jarzyn. Wzdłuż hali o szarych, wypętlonych od słońca filarach, wałęsały się gromady brudnych, bosych dziewcząt, oczekujących na koniec przetargu. Inne tłoczyły się przed wciąż otwieranymi drzwiami kawiarni na Piazza. Ciężkie konie pociągowe tłukły i uderzały podkowami o nierówny bruk, brzęcząc dzwonkami i uprę-

zą. Kilku furmanów spało na stosach worków. Gołębie o irysowych podgardlach i o nakrapianych nóżkach latały wokół, dziobiąc rozrzucone ziarna.

Po krótkiej chwili przywołał dorożkę i pojechał do domu. Przez parę chwil stał przed schodami, spoglądając na cichy plac z jego białymi pozamykanymi oknami i jasnymi w nich storami. Niebo przybrało barwę czystego opalu, a dachy domów lśniły się, jak srebro. Z jakiegoś komina naprzeciw wznosiła się cienka smuga dymu. Niby błękitna wstęga wiła się w mleczno-perłowym powietrzu.

W wielkiej, złotej latarni weneckiej, zdobytej na jakiejś gondoli dożowskiej, zwisającej u stropu obszernej, drzewem dębowem wykładanej sieni, w trzech świecznikach, migotały jeszcze dogasające płomienie, wyglądając, jak wąskie, błękitne płatki ognia, okolone białym żarem. Zagasił je, płaszcz swój i kapelusz rzucił na stół, przez bibliotekę przeszedł do swej sypialni, dużej, ośmiokątnej komnaty na parterze, którą czyniąc zadość noworozbudzonemu zamięłowaniu do zbytku, właśnie był niedawno świeżo urządził, zawieszając ją kilkoma rzadkimi renesansowymi gobelinami, odnalezionymi na opuszczonem poddaszu w Selby Royal. Gdy ujął za klamkę drzwi, wzrok jego padł na portret malowany przez Bazylego Hallwarda. Cofnął się zdumiony. Potem nieco przerażony, wszedł do swego pokoju. Gdy zaczął już rozpinać guziki ubrania, zdawał się wahać. Wkońcu wrócił przed obraz i oglądał go badawczo. W słabem świetle, przenikającym przez kremowo-żółte jedwabne firanki, twarz portretu wydała mu się trochę zmienioną. Jej wyraz wyglądał inaczej. Można by powiedzieć, że w ustach czaiło się drgnienie okrucieństwa. Było to doprawdy dziwne.

Odwrócił się i, podszedłszy do okna, rozsunął firanki. Ostre światło napełniło pokój, rozpędzając fantastyczne cienie z ciemnych kątów, gdzie też schroniły się trwożnie. Dziwne wrażenie, jakie zauważył na twarzy portretu, stało się silniejsze, wyraźniejsze, niż przedtem. Drżące, jaskrawe światło słoneczne ukazało mu rysy okrucieństwa wokół ust tak wyraźnie, jakby spoglądał w zwierciadło, popełniwszy coś strasznego.

Zadrżał i, biorąc ze stołu owalne zwierciadło, obramione w kupidynów z kości słoniowej, jeden z licznych podarunków lorda Henryka, gwałtownie patrzył w jego gładkie głębie. Jego czerwonych ust nie mącił żaden rys podobny. Co to ma znaczyć?

Przetarł oczy i, blisko podszedłszy do obrazu, znowu badawczo go oglądał. Nie było śladu jakichkolwiek zmian w malowaniu, a jednak nie ulegało wątpliwości, że cały wyraz był zmieniony. To nie było złudzeniem wyobraźni. Rzecz była straszliwie oczywistą.

Padł na krzesło i począł rozmyślać. Nagle przez myśl jego przebiegło wspomnienie słów, które wypowiedział był w pracowni Bazylego Hallwarda w dzień ukończenia obrazu. Tak, pamiętał to doskonale. Wyraził szalone życzenie, aby mógł pozostać młodym, gdy portret będzie się starzał; aby jego własna piękność mogła pozostać nienaruszoną, kiedy twarz na płótnie będzie obarczało brzemie jego namiętności i jego grzechów; aby na malowanym obrazie rysowały się linje jego cierpień i myśli, gdy on zachowa cały kwiat wytworności i urody dopiero co uświadomionej, chłopięcej młodości. Jego życzenie nie mogło być, oczywiście, spełnionem? Podobne rzeczy są niemożliwe. Sama myśl o tem wydawała się potworną. A jednak, to na stoją-

cym przed nim obrazie zarysowały się usta drgnieniem okrucieństwa.

Okrucieństwa? Czy on był okrutnym? To było nie jego winą, ale dziewczyny. On marzył o niej, jako o wielkiej artystce, zakochał się w niej dla tej myśli o jej wielkości. Ona rozczarowała go. Okazała się płytką i niegodną. A jednak nachodził go bezmierny żal, gdy przypominał ją sobie, leżącą u jego stóp i łkającą, jak małe dziecko. Przypominał sobie swą obojętność, z jaką patrzył na nią. Czemu był takim? Czemu daną mu była taka dusza? Ale on także cierpiał. Przez trzy okropnie ciężkie godziny przedstawienia przeżył wieki bólu, wieczność udreki. Jego życie tyleż warte, co jej. Ona zepsuła mu chwilę, on ją zranił na długo. Przytem kobiety lepiej znoszą cierpienia, niż mężczyźni. One żyją wzruszeniami. Myślą tylko o wzruszeniach. Gdy biorą kochanka, to raczej dlatego, aby mieć kogoś do robienia mu scen. Powiedział mu to lord Henryk, a lord Henryk zna się na kobietach. Czemu miałby się niepokoić o Sybillę Vane? Nie jest mu teraz niczem.

Ale obraz? Co o tem powiedzieć? Posiada tajemnicę jego życia i zdradza jego historję. Nauczył go kochać własną piękność. Czyżby miał uczyć go nienawiści do własnej duszy? Czy kiedykolwiek spojrzy nań jeszcze?

Nie; to było raczej złudzenie wzburzonych zmysłów. Straszna noc, którą przeżył, pozostawiła po sobie majaki. Na jego mózg opadła nagle drobna szkarłatna plama, co przyprawia ludzi o szaleństwo. Obraz nie zmienił się. Podobne przypuszczenie jest niedorzecznością.

A jednak patrzy na niego swą piękną twarzą

z okrutnym uśmiechem. Jego bujne włosy lśnią się w porannem słońcu. Jego niebieskie oczy spotykają się z jego własnym wzrokiem. Owładnęło nim uczucie bezmiernej litości, nie nad sobą, lecz nad wymalowanym wizerunkiem własnym. Był już zmieniony i nadal będzie się zmieniał. Złoto jego spłowieje w szarość. Jego czerwone i białe róże zwiędną. Za każdy przezeń popełniony grzech piękność obrazu będzie skażona plamą lub piętnem. Ale on nie będzie grzeszył. Zmieniony lub niezmieniony obraz będzie widowym stygmatem jego sumienia. On oprze się pokusom. Przestanie widywać się z lordem Henrykiem, a conajmniej nie będzie słuchał tych wykwintnie trujących teoryj, które w ogrodzie Bazylego Hallwarda po raz pierwszy wzbudziły w nim pragnienie rzeczy niemożliwych. Powróci do Sybilli Vane, przebłaga ją, ożeni się z nią, będzie się starał kochać ją znowu. Tak, to jest jego obowiązkiem. Ona więcej cierpiała od niego. Biedne dziecko! Był wobec niej samolubnym i okrutnym. Urok, którym go oczarowała, powróci. Będą szczęśliwi oboje. Ich życie wspólne będzie piękne i czyste.

Powstał z krzesła i naprzeciw portretu ustawił szeroki ekran, wstrząsając się, gdy spojrzał nań. „Jakie to straszne!“ wyszeptał sam do siebie i, podszedłszy do szklanych drzwi, otworzył je. Skoro stanął na trawie, odetchnął głęboko. Świeże ranne powietrze zdawało się płoszyć wszystkie jego posępne uczucia. Myślał tylko o Sybilli. Ciche echo miłości odezwało się w nim. Wciąż powtarzał jej imię. Ptaki śpiewające w oroszonym ogrodzie o niej zdawały się opowiadać kwiatom.

ROZDZIAŁ VIII.

Obudził się już dobrze popołudniu. Służący kilkakrotnie wchodził na palcach do pokoju, aby zobaczyć, czy się nie obudził, i był zdziwiony, że jego młody pan śpi tak długo. Wreszcie odezwał się dzwonek i Wiktor wszedł cicho, niosąc na małej tacy z sewrskiej porcelany filiżankę herbaty i stos listów. Rozsunął firanki z oliwkowego atłasu w niebieski deseń, zawieszzone w trzech wielkich oknach.

— Jaśnie pan spał dziś bardzo dobrze, — rzekł uśmiechając się.

— Która godzina, Wiktorze? — zapytał leniwie Dorian Gray.

— Kwadrans po pierwszej, jaśnie panie.

Jakżeż późno! Usiadł i, łyknąwszy nieco herbaty, przeglądał listy. Jeden był od lorda Henryka, przyniesiono go dziś rano. Wahał się przez chwilę, poczem odłożył go na stronę. Inne otwierał w roztargnieniu. Była to zwykła kolekcja biletów, zaproszeń na obiady, kart wstępu na wystawy prywatne, programów koncertów dobroczynnych i tem podobnych, któremi w ciągu sezonu zasypywano co rano każdego młodego człowieka z towarzystwa. Był tu też dość słony rachunek za neseser toaletowy w stylu Ludwika XV, którego nie miał jeszcze odwagi przesłać swym opiekunom, ludziom

o skrajnie przestarzałych pojęciach, nie umiejących pogodzić się z tem, że żyjemy w wieku, kiedy wyłącznemi naszymi potrzebami są rzeczy niepotrzebne. Prócz tego znajdowało się sporo bardzo uprzejmych oświadczeń od lichwiarzy z ulicy Jermyn z gotowością w razie potrzeby udzielenia pożyczki na każdą sumę i na bardzo umiarkowany procent.

W dziesięć minut później wstał, zarzucił kosztowny szlafrok z haftowanego jedwabiem kaszmiru i przeszedł do łazienki o posadzce z onyksu. Chłodna woda orzeźwiła go po długim śnie. Zdawał się nic nie pamiętać z przejść dnia poprzedniego. Raz czy dwa przemknęło mu w duszy niejasne wrażenie, jakoby odegrał był rolę w pakięś niezwyklej tragedji, ale wydało mu się to złudzeniem snu.

Skoro się ubrał, udał się do biblioteki i zasiadł do lekkiego śniadania francuskiego, które podano mu na okrągłym stoliku pod otwartem oknem. Dzień był wspaniały. Gorące powietrze zdawało się przesycone wonnemi korzeniami. Wpadła pszczoła, brzęcząc dookoła stojącego przy nim niebieskiego wazonu, napełnionego różami o barwie żółtej siarki. Czuł się doskonale szczęśliwym.

Nagle wzrok jego napotkał ekran, ustawiony przed portretem i zadrżał.

— Czy za chłodno jaśnie panu? — zapytał służący, podając na stół omlet. — Może zamknąć okno?

Dorian zaprzeczył głową. — Nie jest mi chłodno, — mruknął.

Czy to możliwe? Czy naprawdę portret zmienił się? Czy jest to tylko gra wyobraźni, ukazująca mu wyraz zła tam, gdzie był wyraz radości? Przecież malowane płótno nie może się zmieniać? To byłoby niedorzeczne.

Opowie to którego dnia Bazylemu, jako bajkę. Rozśmieszy go.

A jednak, jak żywe jest wspomnienie całej tej sprawy! Najpierw w półmroku, potem w pełnym świetle, widział rys okrucieństwa około wykrzywionych ust. Lękał się niemal chwili, gdy służący opuści pokój. Wiedział, iż zostawszy sam, będzie badawczo oglądał portret. Obawiał się pewności. Gdy przyniesiono mu kawę i papierosy i służący zabierał się do odejścia, poczuł dzikie pragnienie przywołania go z powrotem. Gdy zamknęły się za nim drzwi, zawołał nań. Służący stanął w oczekiwaniu na rozkazy. Dorian patrzył nań przez chwilę. — Dla nikogo niema mnie w domu, Wiktorze, — powiedział z westchnieniem. Służący, skłoniwszy się, odszedł.

Wówczas wstał z za stołu, zapalił papierosa i rzucał się na wykwintnie usłaną otomanę naprzeciw ekranu. Ekran był stary, z żółtej skóry hiszpańskiej, wytłoczony i wyzłocony w rzadki, kwiecisty deseń w stylu Ludwika XIV. Przyglądał mu się z ciekawością, zastanawiając się, czy kiedykolwiek krył on już za sobą tajemnicę ludzkiego życia.

Mimo wszystko, czy nie należałoby go odsunąć? Czemu nie pozostawić na tem miejscu? Co za pożytek z wiadomości? Jeśli to prawda, jest to straszne. Jeśli nieprawda, czemu się niepokoić? A jeśli zrządzenie lub ślepy przypadek zdarzyłby, że zajrzą nań i zobaczą okropną zmianę? Co miałby robić, gdyby Bazyli Hallward przyszedł i chciał obejrzeć swój własny obraz? Bazyli napewno tego zechce. Nie; trzeba rzecz zbadać i to zaraz. Cokolwiekby, będzie lepsze od strasznego stanu niepewności.

Wstał i zamknął oboje drzwi. Chciał być przynaj-

mniej sam, gdy będzie patrzył na maskę swej hańby. Usunął ekran i patrzył na siebie twarzą w twarz. Było to zupełną prawdą. Portret zmienił się.

Często przypominał sobie później, zawsze z niemałym zdziwieniem, że początkowo przyglądał się portretowi z uczuciem najwyższego zaciekawienia naukowego. Wydawało mu się nieprawdopodobieństwem, aby taka zmiana mogła mieć miejsce. A jednak tak było. Czyżby istniało jakieś tajemne powinowactwo pomiędzy atomami chemicznymi, związanymi na płótnie w kształt i barwę, a przebywającą w nim duszą? Czy może być, aby urzeczywistniały to, co pomyśli dusza?—o czym ona śni, aby w nich stawało się prawdą? Albo może jest jaka inna, straszniejsza przyczyna? Zadrżał, poczuł lęk, cofnął się na otomanę i z chorobliwym przerażeniem wpatrywał się w obraz.

Czuł, że było wszakże coś, co miało tu dlań znaczenie. Nabył świadomości, jakim niesprawiedliwym, jakim okrutnym był w stosunku do Sybilli Vane. Jeszcze nie zapóźno na naprawienie tego. Ona może zostać jego żoną. Jego nieprawdziwa i samolubna miłość ustąpi wpływom wyższemu, przeobrazą się w uczucie szlachetniejsze, a jego portret, namalowany przez Bazylego Hallwarda, będzie mu przewodnikiem w życiu, będzie mu tem, czem dla jednych świętość, dla innych sumienie, a dla wszystkich bojaźń boża. Istnieją środki łagodzące zgryzoty, trucizny usypiające zmysł moralności. Tu jednak był widomy symbol grzesznego upadku. Tu był wiecznie obecny znak nieszczęścia, który ludzie sprowadzili na swe dusze.

Wybiła godzina trzecia, potem czwarta, i podwójny dźwięk pół godziny, Dorian Gray nie ruszył się jednak. Usiłował pochwycić szkarłatne nici życia i utkać

je w deseń; odnaleźć drogę w krwawym labiryncie namiętności, którym kroczył. Nie wiedział, co robić i co myśleć. Wkońcu siadł przy stole i napisał gorący list do dziewczyny, którą kochał, błagając ją o przebaczenie i oskarżając siebie o szaleństwo. Stronę po stronie zapisywał wyrazami dzikiego żalu i wyrazami dzikiego bólu. Istnieje bowiem rozpusta samooskarżenia. Kiedy ganimy sami siebie, czujemy, że nikt inny nie ma prawa nas ganić. Rozgrzeszenia udziela nam spowiedź, a nie kapłan. Gdy ukończył list, Dorian poczuł, że zostało mu przebaczeniem.

Nagle odezwało się pukanie do drzwi i usłyszał nazewnątrz głos lorda Henryka. — Mój drogi chłopcze, muszę widzieć się z tobą. Otwórz mi wreszcie. Nie mogę znieść, abyś tak zamykał się przedemną.

Narazie nie odpowiadał, zachowując zupełną ciszę. Pukanie powtarzało się, coraz mocniej. Tak, lepiej będzie wpuścić lorda Henryka, objaśnić go, że wstępuję w nowe życie, pogniewać się z nim, jeśli będzie to koniecznem, rozstać się z nim, jeśli będzie to nieodzownem. Zerwał się, zasłonił obraz ekranem i otworzył drzwi.

— To wszystko takie dla mnie przykre, Dorianie, — rzekł lord Henryk, wchodząc. — Nie powinieś jednak myśleć o tem zbyt wiele.

— Masz na myśli Sybillę Vane? — zapytał młodzieniec.

— Tak, oczywiście, — odparł lord Henryk, zagłębiając się w krzesło i powoli ściągając z rąk żółte rękawiczki. — Jestto poniekąd straszne, ale to nie twoja wina. Powiedz mi, czy po przedstawieniu byłeś za kulisami i widziałeś się z nią?

— Tak.

— Wiedziałem, że pójdziesz. Czy zrobiłeś jej scenę?

— Byłem brutalny, Henryku — bezwzględnie brutalny. Ale teraz wszystko w porządku. Nie żałuję niczego, co się stało. Nauczyłem się lepiej znać samego siebie.

— Ach, Dorianie, bardzo jestem zadowolony, że tak się na to zapatrujesz! Obawiałem się, że zastanę cię pogrążonego w zgryzocie i targającego piękne pukle swych włosów.

— Przeszedłem to wszystko, — rzekł Dorian, z uśmiechem potrząsając głową. — Jestem znów zupełnie szczęśliwy. Wiem teraz, co to jest sumienie. To nie jest to, co mi o niem mówiłeś. Jest to rzecz najbardziej w nas boska. Nie drwij z niego więcej, Henryku, przynajmniej wobec mnie. Chcę być dobrym. Nie mogę znieść myśli, że moja dusza jest brzydka.

— Wspaniała podstawa artystyczna dla etyki, Dorianie! Winszuję ci. Ale co zamierzasz czynić?

— Ożenię się z Sybillą Vane.

— Ożenisz się z Sybillą Vane! — zawołał lord Henryk, wstając i spoglądając nań z trwożnem zdumieniem. — Ależ, mój drogi Dorianie — —

— Tak, Henryku, wiem, co chcesz powiedzieć. Coś strasznego o małżeństwie. Nie mów. Nie mów mi już nigdy nic w tym rodzaju. Przed dwoma dniami prosiłem Sybillę Vane, aby została moją żoną. Nie złamię jej słowa. Ona zostanie moją żoną.

— Twoją żoną! Dorianie!... Czyś nie otrzymał mego listu? Pisałem do ciebie dziś rano, i posłałem list przez mego służącego.

— Twój list? Ach, tak, przypominam sobie. Nie czytałem go wszakże, Henryku. Obawiałem się, że znaj-

dę w nim coś, coby mi się nie podobało. Szarpiesz życie na strzępy swemi epigramatami.

— Nic więc nie wiesz?

— Co masz na myśli?

Lord Henryk przeszedł przez pokój, i siadając obok Doriana Graya, wziął go za ręce i trzymał je serdecznie. — Dorianie, — powiedział, — mój list — niech cię to nie przeraża — donosił ci o śmierci Sybilli Vane.

Wykrzyk bólu wydarł się z warg młodzieńca, skoczył na nogi, wyrывая ręce z uścisku lorda Henryka. — Nie żyje! Sybilla nie żyje! To nieprawda! To okrutne kłamstwo! Jak możesz tak mówić?

— Szczera prawda, Dorianie, — rzekł lord Henryk poważnie. — Jestto we wszystkich rannych dziennikach. Pisałem ci, abyś nie przyjmował nikogo, dopóki nie przyjdę. Będzie, oczywiście, śledztwo, nie powinien być w to wmieszany. W Paryżu zrobiłoby to człowieka modnym. Ale w Londynie ludzie są przesądni. Tutaj, nikomu niewolno debiutować skandalem. Należy zachować go na starość, aby móc sobą zaciekawić. Spodziewam się, że w teatrze nie znają twego nazwiska? Jeżeli nie znają, to w porządku. Czy widział cię kto, że wchodziłeś do jej pokoju? To bardzo ważna okoliczność.

Dorian przez parę chwil nie odpowiadał. Zdrętwiał z przerażenia. Wyjąkał wreszcie zdławionym głosem, — Henryku, mówisz o śledztwie? Co masz przez to na myśli? Czy Sybilla — —? Oh, Henryku, ja tego nie zniosę! Bądź jednak zwięzły. Powiedz mi wszystko odrazu.

— Nie mam wątpliwości, Dorianie, że to nie był przypadek, chociaż tak to należy przedstawić ogółowi. Zdaje się, iż gdy wychodziła z teatru razem z matką,

coś około pół do pierwszej, powiedziała, że czegoś zapomniała w garderobie. Czekano na nią czas pewien, ale nie wracała. Ostatecznie znaleziono ją martwą na podłodze garderoby. Napiła się przez pomyłkę jakiegoś z tych strasznych środków, używanych w teatrze. Nie wiem, co to było, ale zapewne coś z kwasem pruskim, albo z octanem ołowiu. Przypuszczam, że był to raczej kwas pruski, gdyż zdaje się, że skonała natychmiast.

— Henryku, Henryku, to straszne! — zawołał młodzieniec.

— Tak; jest to oczywiście bardzo tragiczne, nie możesz jednak być w to zamieszany. Z „The Standard“ dowiaduję się, że miała siedemnaście lat. Sądziłem, że była jeszcze młodsza. Wyglądała, jak dziecko i wydawała się tak niewiele rozumieć na grze. Dorianie, nie bierz tego do serca. Chodź ze mną na obiad, a potem pójdziemy do Opery. To wieczór Pattiego i wszyscy tam będą. Możesz pójść do łóży mej siostry. Będzie z nią kilka ładnych kobiet.

— Więc zamordowałem Sybillę Vane, — odezwał się Dorian Gray, napół do siebie — zamordowałem ją równie niewątpliwie, jakgdybym był poderżnął nożem jej drobne gardło. Róże nie są bynajmniej mniej piękne, niż przedtem. Ptaki w moim ogrodzie śpiewają równie szczęśliwie. Dziś zaś wieczorem będę jadł z tobą obiad, później pójdę do Opery, a następnie, tak przypuszczam, będę gdzieś jadł kolację. Jakżeż życie jest nadzwyczajnie dramatyczne! Gdybym to wszystko czytał w książce, Henryku, zapewne płakałbym nad nią. Obecnie, gdy to zdarzyło się, i to mnie, wydaje mi się zbyt wzniosłem dla łez. Oto mój pierwszy namiętny list miłosny, jaki kiedykolwiek w mem życiu napisałem. Dziwne, że mój pierwszy namiętny list miłosny pisałem do zmar-

łej dziewczyny. Czy oni czują, owi biali, cisi ludzie, których nazywamy zmarłymi? Sybillo! Czy ona czuje, rozumie, słyszy? Ach, Henryku, jakżeż ją kochałem! Wydaje mi się, że to już lata minęły. Była mi wszystkim. Wtem przyszła ta straszna noc — czyż rzeczywiście była to noc ostatnia? — gdy grała tak źle i zła-mało się moje serce. Wyjaśniła mi wszystko. Było to strasznie patetyczne. Nie wzruszyło mnie to wcale. Uważałem ją za płytką. Nagle stało się coś, co mnie przestraszyło. Nie mogę ci powiedzieć co, ale było to okropne. Miałem wrócić do niej. Poczułem, że byłem niesprawiedliwy. A teraz ona nie żyje. Mój Boże! mój Boże! Henryku, co mam robić? Ty nie znasz grożącego mi niebezpieczeństwa, przed którym niema żadnej ucieczki. Ona byłaby mnie ocaliła. Ona nie miała prawa zabijać się. To było samolubne.

— Mój drogi Dorianie, — odparł lord Henryk, biorąc papierosa z papierośnicy i wyjmując złote pudełko z zapalkami, — kobieta może odmienić mężczyznę tylko w ten jeden sposób, że go będzie dręczyła dopóty, aż mu całe życie obrzydnie. Gdybyś ożenił się z tą dziewczyną, byłbyś nieszczęśliwy. Oczywiście, byłbyś dla niej uprzejmy. Zawsze jesteśmy uprzejmi dla tych, co nas nie obchodzą. Ale ona zrozumiałaby to niebawem, że jest ci bezwzględnie obojętną. A skoro tylko kobieta zauważy to u swego męża, zaczyna być strasznie zaniedbaną, lub nosi bardzo ładne kapelusze, za które płaci mąż którejkolwiek innej kobiety. Nic nie mówię o błędzie towarzyskim, który byłby okropny i do którego byłbym oczywiście nie dopuścił, ale zapewniam cię, że w każdym bądź wypadku cała ta sprawa byłaby bezwzględnie nieporozumieniem.

— I ja tak sędzę, — szeptał młodzieniec, strasznie blady, chodząc po pokoju tam i napowrót. — Uważałem to jednak za swój obowiązek. Nie moja wina, że ta straszna tragedia nie pozwoliła mi postąpić, jak należało. Przypominam sobie, co kiedyś powiedziałem, że nad wszystkimi dobrymi postanowieniami unosi się fatalizm, że zawsze bywają powzięte za późno. Ze mną było tak napewno.

— Dobre postanowienia to bezcelowe wysiłki zwyciężenia praw naukowych. Ich źródłem jest czysta próżność. Ich wynikiem jest bezwzględne nic. Kiedyś niekiedy dostarczają nam owych rozpustnych, bezpłodnych wzruszeń, posiadających niejaki urok dla ludzi słabych. To wszystko, co można o nich powiedzieć. Są to poprostu czeki wystawione na bank, w którym nie mamy rachunku.

— Henryku, — zawołał Dorian Gray, podchodząc i siadając obok niego, — dlaczego ja nie odczuwam tej tragedji tak, jakbym tego chciał? Nie przypuszczam, abym był bez serca. Jak sądzisz?

— Dorianie, — odparł lord Henryk ze swym łagodnym, melancholijnym uśmiechem — w ostatni wieczór popełniłeś zbyt wiele szaleństw, aby mieć prawo do tego miana.

Młodzieniec zmarszczył brwi. — Wyjaśnienie to nie przekonuje mnie, — odrzekł, — jestem wszakże, Henryku, zadowolony, że nie uważasz mnie za samoluba. Nie jestem nim. Wiem o tem. Muszę jednak wyznać, że zdarzenie to nie wzrusza mnie tak, jak powinno. Wydaje mi się podobnem raczej do dziwnego zakończenia dziwnej sztuki. Ma w sobie całe straszliwe piękno greckiej tragedji, tragedji, w której odegrałem główną rolę, ale wyszedłem z niej bez rany.

— Jest to ciekawe zagadnienie, — rzekł lord Henryk, znajdując szczególną przyjemność w wygrywaniu nieuświadomionego egotyzmu młodzieńca, — nadzwyczaj ciekawe zagadnienie. Wyobrażam sobie, że prawdziwe wyjaśnienie tak wygląda. Zdarza się często, iż istotne tragedje życiowe ukazują się w tak nieartystycznym kształcie, że dotyczą nas swą surową gwałtownością, bezwzględnością nieładu, niedorzecznością myśli, zupełnym brakiem stylu. Działają na nas tak, jak działa chamstwo. Robią na nas wrażenie nagiej, brutalnej siły, przeciw czemu buntujemy się. Zdarza się, niekiedy, że w życie nasze wkroczy tragedia, posiadająca artystyczne pierwiastki piękna. Jeśli te pierwiastki piękna są istotne, wówczas całość działa wprost na nasz zmysł dramatycznego poczucia. Odczuwamy nagle, że nie jesteśmy aktorami w grze, lecz jej widzami. Albo raczej obojgiem. Spoglądamy na siebie samych i ulegamy urokowi widowiska. A cóż zdarzyło się naprawdę w obecnym wypadku? Ktoś zabił się z miłości dla ciebie. Chciałbym doznać kiedy sam podobnego przeżycia. Na resztę mego życia zakochałbym się w miłości. Kobiety, które mnie uwielbiały, — nie było ich wiele, ale było kilka — pozostawały zawsze przy życiu, choć dawno przestałem się troszczyć o nie, tak jak one o mnie. Stały się tłuste i nudne, a jeśli napotkam je, natychmiast przywołują wspomnienia. Okropna jest ta kobieca pamięć! Jest to coś strasznego! Dowodzi to zupełnego zastoju duchowego! Należy wchłaniać barwę życia, ale nie pamiętać nigdy o jego szczegółach. Szczegóły są zawsze pospolite.

— Zasieję maki w moim ogrodzie, — westchnął Dorian.

— To zbyteczne, — odparł towarzysz. — Życie

ma zawsze maki w swych rękach. Niekiedy, oczywiście, sprawy się dłużą. Pewnego razu przez cały sezon wciąż nosiłem fiołki, jako rodzaj artystycznej żałoby z powodu romansu, który nie chciał skończyć. Ostatecznie jednak skończył. Już nie pamiętam, co go zabiło. Zdaje mi się, iż była to jej propozycja, że poświęci dla mnie cały świat. Jest to zawsze straszna chwila. Przejmuje nas grozą wieczności. Oto — czy uwierzysz? — przed tygodniem u lady Hampshire przy obiedzie znalazłem się obok damy, o której mowa, nastawała, abyśmy zaczęli rzecz na nowo, spruli przeszłość, aby utkać przyszłość. Złożyłem swój romans w grobie ze złotogłowi. Wyrwała go stamtąd, twierdząc, że złamałem jej życie. Mogłem zauważyć, że obiad jadła z olbrzymim apetytem, więc nie czułem trwogi. Ale jakież okazała brak smaku! Jedynym urokiem przeszłości jest to, że minęła. Kobiety jednak nigdy nie wiedzą, kiedy należy zapuścić kurtynę. Chciałyby zawsze szóstego aktu i, kiedy ustało już nasze zajęcie dla gry, pragnęłyby przedłużać ją dalej. Gdyby im pozwolono na to, każda komedia miałaby koniec tragiczny, a każda tragedia kończyłaby się farsą. One są cudownie artystyczne, ale wcale nie mają zmysłu artystycznego. Tyś szczęśliwszy odemnie. Zapewniam cię, Dorianie, że żadna z kobiet, które znałem, nie zrobiłaby dla mnie tego, co zrobiła dla ciebie Sybilla Vane. Kobieta zazwyczaj pociesza się sama. Niektóre robiąc to, przybierają uczucie w barwy. Nigdy nie można ufać kobiecie, noszącej malwy, chociażby była nie wiem jak stara, ani też takiej, co po trzydziestym piątym roku życia lubuje się w różowych wstążkach. Oznacza to zawsze jakąś historję. Inne pocieszają się, odkrywając nagle dobre przymioty swych mężów. Chętnie się ze swego szczęścia małżeń-

skiego, jakby to był najbardziej porywający z grzechów. Niektóre znajdują pociechę w religji. Jej misterja jak wyznała mi raz jedna kobieta, mają urok kokieterji, co mogę doskonale zrozumieć. Nic jednak nie podbija tak naszej próżności, jak to, gdy nam mówią, że jesteśmy grzesznikami. Sumienie robi z nas wszystkich egotystów. Tak; niema końca pocieszeniom, jakie znajduje kobieta w życiu nowoczesnem. Prawda, najważniejszego nawet nie wymieniłem.

— Co masz na myśli, Henryku? — zapytał obojętnie młodzieniec.

— Och, pociechę oczywistą. Gdy samej traci się kochanka, zabiera się go innej. W dobrem towarzystwie jest to dla kobiety zawsze oczyszczeniem. Naprawdę jednak, Dorianie, jakżeż różną musiała być Sybilla Vane od innych spotykanych przez nas kobiet! Jej śmierć ma w sobie coś z doskonałego piękna. Rad jestem, że żyję w stuleciu, w którym zdarzają się podobne cuda. Pozwala to nam wierzyć w rzeczywistość tych rzeczy, któremi się bawimy, jak romans, namiętność i miłość.

— Byłem dla niej okrutny. Nie zapominaj o tem.

— Obawiam się, że okrucieństwo, prawdziwe okrucieństwo cenią kobiety więcej, niż wszystko inne. Posiadają one instynkty zadziwiająco pierwotne. Myśmy je wyzwolili, pozostały jednak niewolnicami, ogłędającami się za swym panem, zawsze te same. Lubią podlegać. Jestem pewny, że byłeś świetny. Nigdy cię nie widziałem naprawdę i bezwzględnie zagniewanego, ale wyobrażam sobie, jakieś doskonale wyglądał. Powiedziałeś mi przytem przedwczoraj coś, co wydało mi się wówczas urojeniem, teraz widzę, że była to bezwzględna prawda, będąca do wszystkiego kluczem.

— Co powiedziałem, Henryku?

— Mówiłeś, że Sybilla Vane jest dla ciebie ucieleśnieniem wszystkich bohaterek poezji — że jednego wieczora jest Desdemoną, następnego Ofelją; że jeśli umiera jako Julja, zmartwychwstaje Imogena.

— Teraz już nigdy nie zmartwychwstanie, — wyszeptał młodzieniec, chowając twarz w dłoń.

— Nie, już nigdy nie wróci do życia. Odegrała ostatnią swą rolę. Ale ta samotna śmierć w jaskrawej garderobie winna być dla ciebie dziwnym, ponurym fragmentem z jakiejś tragedji z epoki Jakóba, jak czarująca scena Webstera, Forda, lub Cyryla Tourneura. Dziewczyna ta nie żyła nigdy naprawdę, więc też nigdy naprawdę nie umarła. Dla ciebie wreszcie była zawsze marzeniem, zjawą przesuwającą się przez sztuki Szekspira i swą obecnością potęgującą ich urok, była fujarką, dzięki której muzyka Szekspira stawiała się bogatszą i pełniejszą w radość. W chwili, gdy zetknęła się z rzeczywistością życia, ono zniweczyło ją i zniknęła. Jeśli chcesz, oplakuj Ofelję. Posyp głowę popiołem, gdyż zaduszono Kordelję. Bluźnij niebiosom, że umarła córka Brabantia. Nie trać jednak swych łez dla Sybilli Vane. Była mniej rzeczywistą, niż tamte.

Nastało milczenie. Wieczór zmrokiem napelniał pokój. Bez szelestu, srebrzystymi stopami wślizgiwały się cienie z ogrodu. Barwy przedmiotów omdlewały leniwie.

Po pewnym czasie Dorian Gray podniósł oczy. — Odsłoniłeś mi mnie samego, Henryku, — wyszeptał z pewnem westchnieniem ulgi. — Czułem to wszystko, co powiedziałeś, ale bałem się tego i nie umiałem wyrazić. Jak dobrze znasz mnie! Nie mówmy już jednak o tem, co się stało. Było to cudowne doznanie, nic wię-

cej. Wątpię, aby życie zachowywało dla mnie jeszcze coś równie cudownego.

— Życie ma coś zawsze dla ciebie, Dorianie. Nie ma na świecie nic, czego nie zdołałbyś dokazać przy swej nadzwyczajnej urodzie.

— Wyobraź jednak sobie, Henryku, że wychudnę, zestarzeję się, pokryję się zmarszczkami? Co wtedy?

— Ach, wtedy, — rzekł lord Henryk, zabierając się do odejścia, — wtedy, mój drogi Dorianie, będziesz musiał walczyć o swe zwycięstwa. Na razie same przychodzą do ciebie. Nie, ty musisz zachować swą urodę. Żyjemy w czasach, w których czyta się zbyt wiele, aby być mądrym, i myśli się zbyt wiele, aby być pięknym. Nie możemy obejść się bez tego. Ale teraz przebierz się i przyjedź do klubu. I tak będziemy spóźnieni.

— Spotkajmy się lepiej w Operze. Czuję się, Henryku, zbyt zmęczony, abym mógł jeść. Która jest łoża twojej siostry?

— Zdaje się, że dwudziesta siódma. Przy głównym wejściu. Zobaczysz jej nazwisko na drzwiach. Przykro mi jednak, że nie chcesz pójść ze mną na obiad.

— Nie mam sił, — rzekł Dorian z roztargnieniem. — Jestem ci jednak bardzo zobowiązany za wszystko, coś mi powiedział. Jesteś naprawdę moim najlepszym przyjacielem. Nikt mnie nigdy nie rozumiał tak, jak ty.

— Myśmy dopiero u początku naszej przyjaźni, Dorianie, — odparł lord Henryk, podając mu rękę. — Do widzenia. Spodziewam się zobaczyć cię przed pół do dziesiątą. Nie zapominaj, że śpiewa Patti.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Dorian Gray zadzwonił; w parę minut zjawił się Wiktor z lampami

i zapuścił rolety. Niecierpliwie oczekiwał na jego odejście. Zdawało mu się, że służący robi każdą rzecz w nieskończenie długim czasie.

Skoro wyszedł, podbiegł do ekranu i odsunął go. Nie; nie było na portrecie dalszych zmian. Otrzymał wieść o śmierci Sybilli Vane, zanim on sam dowiedział się o tem. Odczuwał zdarzenia życiowe w chwili ich dokonania. Straszny wyraz okrucieństwa, wykrzywający łagodne linje ust, zjawiał się bez wątpienia w tej chwili, gdy dziewczyna wypila truciznę, cokolwiek nią było. Lub może pozostawał obojętnym wobec wydarzeń? Może odzwierciedlał tylko to, co działo się w jego duszy? Zastanowił się, wyobrażając sobie, że pewnego dnia zmiana dokona się w jego oczach, zadrżał na myśl o tem.

Biedna Sybilla! Jakimż to było wszystko romansem! Często odgrywała śmierć na scenie. Ją samą dotknęła więc śmierć i zabrała ze sobą. Jak też odegrała tę ostatnią straszną scenę? Czy przeklinała go, umierając? Nie; ona umarła z miłości dla niego, i miłość będzie mu teraz zawsze sakramentem. Odpokutowała za wszystko poświęceniem, jakie zrobiła ze swego życia. Nie będzie nigdy więcej myślał o tem, ile wycierpiał przez nią w ów straszny wieczór w teatrze. Pozostanie w jego myśli, jak cudowna postać tragiczna, zesłana na świat po to, aby ukazała wyższą prawdę miłości. Cudownie tragiczna postać! Łzy napłynęły do jego oczu, gdy wspomniął sobie jej dziecięcy wygląd, jej usposobienie swobodne i pogodne, jej wdzięk nieśmiały i bojaźliwy. Szybko otarł łzy i spojrzał na obraz.

Czuł, że nadchodzi czas dokonania wyboru. A może uczynił już wybór— Tak, uczyniło go zań życie — życie, i jego własna nieograniczona ciekawość życia.

Wieczna młodość, nieskończona namiętność, wytworne i tajemne rozkosze, dzikie radości i dziksze grzechy — to wszystko mieć będzie. Portret będzie nosił brzemie jego hańby: oto wszystko.

Uczucie bólu dotknęło go na myśl, jakiemu zniekształceniu ulegnie piękna twarz na płótnie. W dziecięcym porywie, naśladować Narcyza, ucałował kiedyś te malowane usta, uśmiechające się doń teraz tak okrutnie. Co rano siadał przed portretem, podziwiając jego piękność, rozkochując się w niej, jak to mu się czasami zdawało. Czy będzie zmieniał się teraz w miarę każdego wzruszenia, które będzie odczuwał? Czy stanie się obrzydliwym i wstrętnym, aby trzeba było ukrywać go w zamknięciu, zasłaniając od światła słonecznego, które tylekroć silniej złociło falujące pukle jego włosów? Co za rozpacz! co za rozpacz!

Przez chwilę miał ochotę modlić się, aby ustał już ten okropny związek między nim a obrazem. Zmienił się w odpowiedzi na modlitwę; może w odpowiedzi na modlitwę będzie mógł pozostać niezmienionym. Któż jednak, cokolwiek znający życie, wyrzekłby się losu zachowania wiecznej młodości, choćby ów los był fantastycznym, a jego skutki nieszczęsne? Czyż było to zresztą w jego mocy? Czy naprawdę modlitwa wywołała tę zmianę? Może była w tem wszystkiem jaka ciekawa przyczyna naukowa? Jeśli myśl może wpływać na żyjący organizm, czyżby myśl nie mogła wpłynąć na ciała nieorganiczne? Czyż rzeczy, będące poza nami, nie mogłyby niezależnie od naszej woli i wiedzy drgać zgodnie z naszymi pragnieniami i naszymi namiętnościami, łącząc atomy w miłości tajemnej lub dziwnem powinowactwie? Przyczyna była wszakże bez znaczenia. Nigdy już nie będzie kusił modlitwą straszliwej

mocy. Jeśli obraz się zmienia, niech się zmienia. To wszystko. Poco zbytnio zastanawiać się nad tem?

Będzie dlań prawdziwą przyjemnością śledzić to. Będzie mógł oglądać swą duszę na jej drogach tajemnych. Ten portret będzie dlań najbardziej magicznem zwierciadłem. Jak objawił mu własne jego ciało, tak będzie mu objawiał jego własną duszę. Gdy przyjdzie dlań zima, on pozostanie zawsze tu, gdzie wiosna drży u skraju lata. Gdy krew odbiegnie z jego policzków, pozostawiając bladą maskę gipsową o ołowianych oczach, on zachowa krasę chłopięcej młodości. Nie zwiędnie nigdy ani jeden kwiat jego piękności. Nie osłabnie nigdy ani jedno tętno jego życia. Jak bogowie greccy, będzie mocnym, krzepkim i radosnym. Co go obchodzą losy malowanego obrazu na płótnie? On będzie bezpieczny. W tem jest wszystko.

Przesunął ekran na poprzednie miejsce przed obrazem, uśmiechając się, gdy to robił, poczem przeszedł do sypialni, gdzie służący właśnie czekał na niego. W godzinę później był w Operze i lord Henryk pochylił się nad jego krzesłem.

ROZDZIAŁ IX.

Nazajutrz rano, gdy siedział przy śniadaniu, wszedł Bazyli Hallward.

— Jestem bardzo rad, że cię zastałem, Dorianie, — rzekł poważnie. — Byłem wczoraj wieczór, ale powiedziano mi, że jesteś w Operze. Wiedziałem, oczywiście, że to niemożliwe. Wolałbym jednak, abyś zostawił wiadomość, gdzie poszedłeś naprawdę. Miałem straszny wieczór, byłem napół przerażony, że za jedną tragedją może przyjść druga. Myślałem, że zadesperujesz mi, skoro tylko dowiedziałeś się o tem. Zupełnie przypadkowo przeczytałem o tem w ostatnim wydaniu „The Globe“, który wpadł mi w ręce w klubie. Natychmiast tu przyszedłem i, nie zastawszy cię, byłem zrozpaczony. Nawet wyrazić nie umiem, jak całą tę sprawę wziąłem do serca. Rozumiem, jak bardzo musisz cierpieć. Gdzieżeś był jednak? Czy może u matki dziewczęcia? Przez chwilę chciałem tam pójść za tobą. Adres podano w dzienniku. Gdzieś na ulicy Eustona, nieprawdaż? Obawiałem się jednak narzucać w cierpieniu, w którym nie umiałbym pocieszyć. Biedna kobieta! W jakimż musi być stanie! A przytem to jej jedyne dziecko! Jak zniosła to wszystko?

— Mój drogi Bazyli, co mogę o tem wiedzieć? — wyszeptał Dorian Gray, z wyrazem strasznej nudy, wysączając nieco jasno-żółtego wina z wytwornie złoczonego kieliszka z weneckiego szkła. — Byłem w Operze.

Mogłeś być tam przyjąć. Poraz pierwszy poznałem lady Gwendolen, siostrę Henryka. Byliśmy w jej łoży. Jest wprost czarująca; a Patti śpiewał bosko. Nie mów o rzeczach okropnych. Skoro się o czymś nie mówi, nie zdarzyło się nigdy. Jedynie słowo, jak mówi Henryk, nadaje rzeczom rzeczywistość. Mogę tylko powiedzieć, że nie była jej dzieckiem jedynem. Jest jeszcze syn, zapewne czarujący chłopiec. Nie w teatrze jednak. Jest marynarzem, czy coś podobnego. A teraz opowiedz mi o sobie i co malujesz.

— Byłeś w Operze? — rzekł Hallward, mówiąc bardzo powoli i z dziwnym wyrazem bólu w głosie. — Byłeś w Operze, gdy Sybilla Vane leżała martwa w jakimś nędznym mieszkaniu? Możesz mi opowiadać, że inna kobieta jest czarująca i że Patti śpiewał bosko, zanim pochowano w grobie dziewczynę, którą kochałeś? Ach, człowiecze, to zbyt okropne dla jej małego białego ciała!

— Przestań, Bazylu! Nie chcę słyszeć tego! — zawołał Dorian, zrywając się na nogi. — Nie wolno ci o tem mówić do mnie. Co się stało, to się stało. Co przeszło, minęło.

— Czy dzień wczorajszy nazywasz przeszłością?

— Cóż na tem zależy, ile czasu upłynęło? Tylko ludzie płytkcy potrzebują całych lat, aby uwolnić się od wzruszenia. Człowiek, będący panem siebie, pozbywa się równie łatwo przykrości, jak łatwo wynajduje sobie przyjemność. Nie chcę być na łasce mych wzruszeń. Chcę korzystać z nich, radować się nimi i władać nimi.

— To straszne, Dorianie! Zmienileś się zupełnie. Wyglądasz wciąż równie uroczo, jak wówczas, gdy codziennie przychodziłeś do mej pracowni pozować do

portretu. Ale wtedy byłeś prosty, naturalny i czuły. Byłeś najczystsze stworzeniem na całym świecie. A teraz nie rozumiem, co zrobiło się z ciebie. Mówisz, jakbyś nie miał serca, ani litości. To wszystko wpływ Henryka. Widzę to.

Młodzieniec zaczerwienił się i, podszedłszy do okna, patrzył przez parę chwil na ogród zielony, migotliwy, oblany słońcem. — Henrykowi zawdzięczam, Bazyli, bardzo wiele, — rzekł wkońcu — więcej, niż tobie. Ty nauczyłeś mnie tylko próżności.

— Jestem też za to ukarany, Dorianie — albo będę kiedyś.

— Nie rozumiem cię, Bazyli, — zawołał, odwracając się. — Nie rozumiem, czego chcesz. Czego chcesz?

— Chcę Doriana Graya, którego malowałem, — rzekł smutno artysta.

— Bazyli, — rzekł młodzieniec, podchodząc ku niemu i kładąc mu ręce na ramiona, — przyszedłeś za późno. Wczoraj, gdy dowiedziałem się, że Sybilla Vane odebrała sobie życie — —

— Odebrała sobie życie! Na Boga! czy to pewne? — zawołał Hallward, patrząc nań z wyrazem przeżenienia.

— Mój drogi Bazyli! Myślałeś zapewne, że był to zwykły wypadek? W istocie odebrała sobie życie.

Starszy mężczyzna ukrył twarz w dłoniach. — Straszne, — szeptał, wstrząsany nagłym dreszczem.

— No, — rzekł Dorian Gray, — nic w tem strasznego. Jestto jedna z największych tragedij romantycznych naszego wieku. Aktorzy żyją zazwyczaj bardzo pospolicie. Bywają dobrymi małżonkami, wiernymi żonami, lub czemś podobnie nudnem. Wiesz, co mam na myśli — drobnomieszczańska cnota i tem podobne. Jak

różną była Sybilla! Przeżywała swą najpiękniejszą tragedję. Była zawsze bohaterką. Ostatniego wieczora — kiedy ją widziałeś — grała źle, gdyż poznała rzeczywistość miłości. Gdy zrozumiała, że to nieprawda, umarła, jak umarłaby Julja. Powróciła do sztuki. Jest w niej coś z męczennicy. Jej śmierć ma całą wzniosłość bezużytecznego męczeństwa, całe piękno jego marnotrawstwa. Ale, jak już mówiłem, nie sądz, abym nie cierpiał. Gdybyś przyszedł był wczoraj we właściwej chwili — około pół do szóstej, prawdopodobnie, albo kwadrans na szóstą — zastałbyś mnie we łzach. Nawet Henryk, który był tutaj, przynosząc mi tę wiadomość, nie miał wyobrażenia, ile przecierpiałem. Cierpiałem ogromnie. Później minęło to. Nie umiem powtarzać wzruszeń. Potrafią to tylko sentymentalisci. Ale ty, Bazyli, jesteś wcale niesprawiedliwy. Przyszedłeś tu, aby pocieszyć mnie. To bardzo ładnie z twojej strony. Znalazłeś mnie pocieszonym i to cię rozgniewało. Jak każdego człowieka współczującego! Przypomina mi to historję, którą opowiadał mi Henryk o pewnym filantropie. Poświęcił on dwadzieścia lat życia na usunięcie jakiejś krzywdy, czy zmianę jakiejś niesprawiedliwej ustawy, dobrze już nie pamiętam. Wkońcu udało mu się, ale nic nie wyrazi jego rozczarowania. Nie miał zupełnie nic do roboty, umierał z nudów i stał się zupełnym odludkiem. Zresztą, mój stary kochany Bazyli, jeśli naprawdę chcesz mnie pocieszyć, ucz mnie raczej, jak zapomnieć o tem, co minęło, lub patrzeć na to ze stanowiska czystej sztuki. Czyż to nie Gautier pisał o „sztuce pocieszającej“? Przypominam sobie, że pewnego dnia w twojej pracowni wpadła mi do rąk mała książka w welinowej oprawie, gdzie natrafiłem na to cudowne wyrażenie. Nie jestem podobny do tego mło-

dzieńca, o którym opowiadałeś mi, gdy jechaliśmy razem do Marlow, młodzieńca, który twierdził, że żółty atlas może go pocieszyć we wszelkich smutkach życia. Lubię piękne rzeczy, które można dotknąć i wziąć do rąk. Stare brokaty, zielone bronzы, wyroby z laki, z kości słoniowej, piękne otoczenie, zbytek, przepych, wszystko to wiele dać może. Ale ważniejsze jest dla mnie wzruszenie artystyczne, które rzeczy te stwarzają w nas, lub przynajmniej wzbudzają. Stać się widzem własnego życia, jak mówi Henryk, to wyzwolić się od cierpień życia. Wiem, że jesteś zdumiony, słysząc mnie mówiącego w ten sposób. Nie wyobrażasz sobie, jak się rozwinąłem. Gdyś mnie poznał, byłem uczniakiem. Teraz jestem mężczyzną. Mam nowe namiętności, nowe myśli, nowe poglądy. Jestem inny, ale nie powinienes lubić mnie dlatego mniej. Jestem zmieniony, ale powinienes być zawsze moim przyjacielem. Henrykiem jestem, oczywiście, zachwycony. Ale wiem, że jesteś lepszy od niego. Nie jesteś silniejszy — zbyt lękasz się życia — ale jesteś lepszy. A jak szczęśliwi możemy być razem! Nie odwracaj się odemnie, Bazyli, i nie gniewaj się na mnie. Jestem, jakim jestem. Nic tu więcej niema do powiedzenia.

Malarz czuł się dziwnie wzruszonym. Młodzieniec był mu nieskończenie drogim, a jego osobowość była w jego sztuce wielkim punktem zwrotnym. Nie mógł znieść myśli wyrzucania mu czegokolwiek. Zresztą obojętność jego była zapewne przemijającym kaprysem. Tyle było w nim przecież dobroci i tyle szlachetności.

— Dobrze, Dorianie, — rzekł wkońcu ze smutnym uśmiechem. — Nie będę już więcej mówił z tobą o przedwczorajszym strasznym wypadku. Spodziewam się, że nazwisko twoje nie będzie w związku z nim wymie-

niane. Śledztwo ma się odbyć dziś popołudniu. Czy wzywano ciebie?

Dorian zaprzeczył głową, a przy wyrazie „śledztwo“ na twarzy jego zjawił się wyraz znudzenia. Wszystko w tym rodzaju jest tak brutalne i ordynarne. — Nie znają mego nazwiska, — odparł.

— Ale ona знаła je?

— Tylko imię, i jestem pewien, że nie wymieniała go nikomu. Mówiła mi raz, że wszyscy byli bardzo ciekawi, aby dowiedzieć się, kto jestem, lecz ona niezmiennie odpowiadała, że nazywam się księciem z bajki. To było ładnie z jej strony. Musisz mi, Bazyli, narysować Sybillę. Chciałbym mieć po niej coś więcej, niż wspomnienie kilku pocałunków i paru urwanych patetycznych słów.

— Spróbuję, Dorianie, i zrobię wszystko, co chcesz. Musisz jednak przyjść do mnie i pozować mi znowu. Bez ciebie nie mogę pracować.

— Nigdy ci już nie będę pozował, Bazyli. To niemożliwe! — wykrzyknął, cofając się.

Malarz patrzył nań zdumiony. — Mój drogi chłopcze, co za niedorzeczność! — zawołał. — Czy chciałbyś powiedzieć przez to, że nie podoba ci się mój portret? Gdzież on jest? Dlaczego zastawiłeś go ekranem? Pozwól mi popatrzeć nań. Jest to moje najlepsze dzieło. Każ odsunąć ekran, Dorianie. To wprost niegrzecznie ze strony twego służącego, że tak zasłania mój obraz. Czułem to, wchodząc, że pokój wygląda inaczej.

— To nie jest wina mego służącego, Bazyli. Nie wyobrażasz sobie chyba, aby od niego zależało urządzenie mego pokoju? Co najwyżej postawi niekiedy kwiaty dla mnie — to wszystko. Nie; zrobiłem to sam. Było za silne światło dla portretu.

— Za silne! Napewno nie, drogi przyjacielu? To doskonale dlań miejsce. Pozwól mi go zobaczyć. — I Hallward przeszedł w róg pokoju.

Okrzyk przerażenia wydobył się z warg Doriana Graya, który rzucił się między malarza i ekran. — Bazyli, — powiedział, stając się bardzo bladym, — nie możesz oglądać go. Nie chcę tego.

— Nie mogę oglądać własnego obrazu! nie mówisz tego poważnie. Dlaczegoż nie miałbym oglądać go? — zawołał Hallward, śmiejąc się.

— Jeśli spróbujesz popatrzeć nań, Bazyli, dam ci słowo honoru, że nie zamienię z tobą jednego słowa do końca mego życia. Mówię zupełnie poważnie. Nie dam ci żadnych wyjaśnień i nie pytaj o nie. Pamiętaj jednak, iż jeśli dotkniesz ekranu, wszystko między nami skończone.

Hallward był jak rażony gromem. Patrzył na Doriana Graya w zupełnem osłupieniu. Nigdy go takim nie widział. Młodzieniec był zupełnie blady z gniewu. Pięści miał zaciśnięte, a źrenice jego oczu wyglądały, jak pociski z błękitnego ognia. Drżał całym ciałem.

— Dorianie!

— Nic nie mów!

— Ależ co to znaczy? Oczywiście, nie będę patrzył na obraz, jeśli tego nie chcesz, — powiedział, raczej chłodno, odwracając się i podchodząc do okna. — Ale, doprawdy, wygląda to zupełnie niedorzecznie, że nie mogę oglądać mego własnego obrazu, zwłaszcza, iż na jesieni mam go zamiar wystawić w Paryżu. Przedtem zapewne będę go musiał nanowo powerniksować, więc i tak będę musiał popatrzeć nań któregoś dnia, czemuż więc nie dzisiaj?

— Wystawić! Chcesz go wystawić? — zawołał

Dorian Gray, dziwnie wstrząsając się z przerażenia. Więc cały świat ma oglądać jego tajemnicę? Cały świat będzie się gapił na tajemnicę jego życia? To niemożliwe. W jakikolwiek sposób — nie wiedział jeszcze w jaki — należy temu odrazu zapobiec.

— Tak; nie przypuszczałem, że będziesz temu przeciwny. Georges Petit zbiera wszystkie moje najlepsze obrazy na wystawę na ulicy de Sèze, która ma być otwarta w pierwszym tygodniu października. Portret będzie ci zabrany tylko na miesiąc. Sądzę, że użyczysz go na ten czas. Zwłaszcza, że zapewne nie będzie cię tutaj. Zresztą, skoro go zasłaniasz ekranem, nie powinno ci zależeć na tem.

Dorian Gray przeciągnął ręką po czole. Było pokryte kroplistym potem. Czuł, że stoi na kraju straszego niebezpieczeństwa. — Mówiłeś mi przed miesiącem, że nigdy go nie wystawisz, — zawołał. — Dlaczego zmieniasz swe postanowienie? Wy, którzy chcecie uchodzić za ludzi stanowczych, jesteście równie zmienni, jak inni. Różnicie się tylko tem, że wasze zmiany poglądów są bezpodstawne. Widocznie zapomniałeś o tem, iż zapewniałeś mnie najuroczyściej, że nikt w świecie nie skłoni cię do tego, abyś mógł oddać go na wystawę. Zupełnie tak samo mówiłeś do Henryka. — Nagle przerwał, a w oczach jego błysnął płomień. Przypomniawszy sobie, że lord Henryk mówił raz doń pół serjo, pół żartem: „Jeśli zechcesz mieć kiedy ciekawy kwadrans, zapytaj Bazylego, dlaczego nie chce wystawić twego portretu. Mówił mi to i było to dla mnie rewelacją“. Tak, może Bazyli ma swoją tajemnicę. Spróbuję zapytać go.

— Bazyli, — powiedział, podchodząc doń blisko i patrząc mu wprost w oczy, — każdy z nas ma swą ta-

jemnicę. Powiedz mi swoją, a ja ci opowiem moją. Jaki miałeś powód, aby odmawiać wystawienia mego portretu?

Malarz drgnął mimowoli. — Dorianie, jeśli ci powiem, będziesz mnie mniej kochał i napewno będziesz się śmiał ze mnie. Jedno i drugie byłoby dla mnie nie do zniesienia. Jeśli nie życzysz sobie, abym kiedykolwiek oglądał twój portret, zgadzam się na to. Mogę zawsze patrzeć na ciebie. Jeśli chcesz, aby najlepsze moje dzieło pozostało światu nieznane, zgadzam się i na to. Twoja przyjaźń jest mi droższą nad rozgłos lub sławę.

— Nie, Bazyli, musisz mi to powiedzieć, — nalegał Dorian Gray. — Sądzę, że mam do tego prawo. — Na miejsce trwogi, która minęła, objęło go uczucie zaciekawienia. Był zdecydowany dobrać do tajemnicy Bazylego Hallwarda.

— Usiądźmy, Dorianie, — rzekł malarz zmieszany. — Usiądźmy. Odpowiedz mi najpierw na jedno pytanie. Czy nie zauważyłeś w obrazie nic ciekawego? — coś, czego początkowo nie dostrzegłeś, a co nagle odkryło ci ciebie samego?

— Bazyli! — zawołał młodzieniec, chwytając drżącymi rękoma za poręcz jego krzesła i wpatrując się weń dzikim, przerażonym wzrokiem.

— Widzę, że zauważyłeś. Nic mi nie mów. Posłuchaj najpierw, co ci powiem. Dorianie, od chwili, kiedy cię spotkałem, osobowość twoja wywarła na mnie nadzwyczajny wpływ. Zawładnąłeś mą duszą, moim umysłem i mojem natchnieniem. Stałeś się dla mnie widokiem ucieleśnieniem tego niewidzialnego ideału, którego wspomnienie nawiedza nas artystów, jako cudowne marzenie. Ubóstwiałem cię. Byłem zazdrosny

o kogokolwiek, z kim rozmawiałeś. Chciałem mieć cię wyłącznie dla siebie. Byłem szczęśliwy tylko razem z tobą. Gdy nie byłeś ze mną, byłeś wciąż obecny w mej sztuce... Oczywiście, nie mówiłem ci o tem nigdy. Było to niemożliwe. Byłbyś nie rozumiał mnie. Sam siebie rozumiałem z trudnością. Wiedziałem tylko, że spojrzałem oko w oko doskonałości i że świat stał się dla moich oczu cudem, możliwe, że zbyt wielkim cudem, gdyż w takim ubóstwianiu tkwi niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo utraty, niemniejsze, niż niebezpieczeństwo zachowania... Mijały tygodnie, a ja coraz więcej byłem tobą zajęty. Potem nastąpił nowy zwrot. Rysowałem cię jako Parysa w wytwornej zbroi i jako Adonisa w ubiorze myśliwskim z błyszczącym oszczepem. Uwieńczony ciężkiem kwieciami lotosu siedziałeś na kraju łodzi Hadrjana, spoglądając na zielone nurty Nilu. Pochylałeś się nad cichym strumieniem jakiegoś greckiego gaju i w milczącym srebrze wody oglądałeś cud własnego oblicza. I wszystko było takie, jaką winna być sztuka, nieświadome, idealne i dalekie. Pewnego dnia, dnia nieszczęsnego, jak sądzę, postanowiłem namalować cudowny twój portret, tak, jak byłeś w rzeczywistości, nie w ubiorze umarłych wieków, lecz w twem własnem ubraniu i w twej własnej epoce. Czy był to realizm metody, czy jeszcze jeden cud twej osobowości, że objawił mi się bezpośrednio, nieprzesłonięty mgłą ani zasłoną, tego nie wiem. Wiem to jednak, że gdy malowałem, każda plama i każdy odcień barwy odsłaniał mi własną tajemnicę. Byłem przerażony, że inni poznają moje bóstwo. Czułem, Dorianie, że nadmiernie wypowiedziałem się, że włożyłem w portret za dużo samego siebie. Wówczas postanowiłem nie wystawiać obrazu nigdy. Byłeś tem nieco rozczarowany; ale nie

mogłeś wyobrażać sobie, jakie to miało dla mnie znaczenie. Henryk, któremu mówiłem o tem, wyśmiał się ze mnie. Nie obchodziło mnie to. Gdy obraz był skończony i pozostałem z nim sam, czułem, że moja jest prawda... Po kilku dniach, gdy obrazu nie było już w pracowni, skoro pozbyłem się niemożliwego uroku jego obecności, wydało mi się, że byłem szalony, wyobrażając sobie, że było w nim coś więcej, niż to, że ty jesteś niezwykle piękny i że umiem malować. Nawet teraz nie mogę pozbyć się uczucia, iż błędnem jest mniemanie, jakoby namiętność twórcy ujawniała się rzeczywiście w stworzonym dziele. Sztuka jest zawsze bardziej oderwana, niż to sobie wyobrażamy. Kształt i barwa mówią nam o kształcie i barwie — nic więcej. Wydaje mi się często, że sztuka raczej ukrywa artystę, niż miałaby go objawiać. Kiedy więc otrzymałem z Paryża to zaproszenie, postanowiłem wystawić twój portret, jako me główne dzieło. Nie przyszło mi nawet na myśl, że mógłbyś tego odmówić. Widzę teraz, że masz słuszość. Obrazu tego nie powinno się pokazywać. Nie gniewaj się, Dorianie, że powiedziałem ci to wszystko. Jak już powiedziałem raz Henrykowi, jesteś na to stworzony, aby być ubóstwianym.

Dorian Gray odetchnął głęboko. Policzki jego nabrały barwy, a na ustach zaigrał uśmiech. Niebezpieczeństwo minęło. Na razie był bezpieczny. Czuł jednak niezmierne współczucie dla malarza, który właśnie uczynił przed nim tak niezwykłą spowiedź, i zapytywał się sam siebie, czy mógłby być kiedy tak opanowany przez osobowość przyjaciela. Lord Henryk miał wdzięk, który mógł go czynić bardzo niebezpiecznym. Ale nic nadto. Był nazbyt mądry i nazbyt cyniczny, aby mógł naprawdę porwać sobą. Czy też napotka kie-

dy człowieka, którego mógłby tak niezwykle ubóstwiać? Czy coś podobnego będzie dlań w życiu?

— To nadzwyczajne dla mnie, Dorianie, — rzekł Hallward, — że zauważyłeś to w portrecie. Czy naprawdę zauważyłeś to?

— Zauważyłem w nim coś, — odparł, — coś, co wydało mi się bardzo ciekawem.

— Nie będziesz teraz wzbraniał, abym oglądał go?

Dorian zaprzeczył głową. — Nie żądam tego odemnie, Bazyli. Uważam to za niemożliwe, abyś patrzył na ten obraz.

— Pozwolisz mi któregoś dnia, napewno?

— Nigdy.

— Może masz słuszość. Więc do widzenia, Dorianie. Byłeś jedyną osobą w mem życiu, która wywarła wpływ na moją sztukę. Cokolwiek zrobiłem dobrego, zawdzięczam tobie. Ah! ty nawet nie wiesz, ile mnie kosztuje, żem ci opowiedział to wszystko.

— Mój drogi Bazyli, — rzekł Dorian, — cóż takiego powiedziałaś? Tylko tyle, że nazbyt mnie podziwiałaś. To nawet nie jest pochlebstwem.

— Wcale nie miałem zamiaru, aby było pochlebstwem. To była spowiedź. Teraz, gdy ją zrobiłem, wydaje mi się, że coś odeszło odemnie. Może nigdy nie należy ujmować w słowa swego uwielbienia.

— Spowiedź ta rozczarowała mnie.

— A czegoś oczekiwałaś, Dorianie? Wszak nie dostrzegłeś na obrazie nic innego, nieprawdaż? Nie znalazłeś w nim nic innego?

— Nie; nie było w nim nic innego. Czemu pytasz? Nie wolno ci jednak mówić o ubóstwianiu. To niedorzeczność. Jesteśmy przyjaciółmi, Bazyli, i winniśmy zawsze nimi pozostać.

— Masz przecież Henryka, — rzekł malarz smutnie.

— Oh, Henryka? — zawołał młodzieniec, śmiejąc się krótko. — Henryk spędza dnie na tem, aby mówić rzeczy niewiarygodne, a wieczory na tem, aby robić rzeczy nieprawdopodobne. Pragnąłbym żyć zupełnie tak samo. Nie sądzę jednak, abym mógł udać się do Henryka, gdybym potrzebował rady. Udałbym się raczej do ciebie, Bazyli.

— Będziesz mi jeszcze pozował?

— Niemożliwe!

— Dorianie, tą odmową niszczysz mnie, jako artystę. Nigdy nie spotyka się w życiu dwóch ideałów. Rzadko spotyka się jeden.

— Nie jestem w stanie wyjaśnić ci tego, Bazyli, ale nie mogę ci już nigdy pozować. W portrecie jest coś fatalistycznego. Ma on swe własne życie. Przyjdę do ciebie na herbatę. Będzie nam tak samo przyjemnie.

— Sądzę, że dla ciebie przyjemniej, — wyszeptał Hallward z żalem. — A więc do widzenia. Przykro mi, że nie chcesz pokazać mi nigdy portretu. Trudno jednak. Zupełnie dobrze rozumiem, co czujesz.

Gdy wyszedł z pokoju, Dorian Gray uśmiechnął się do siebie. Biedny Bazyli! jakże mało wiedział o istotnej prawdzie! I jakie to dziwne, że on sam nie tylko nie wydał swej tajemnicy, naodwrot, prawie przypadkowo, wydarł ją od przyjaciela! Ileż wyjaśniała mu ta niezwykła spowiedź! Niedorzeczne napady zazdrości malarza, jego dzikie oddanie, jego przesadne pochwały, jego dziwne milczenia — wszystko to teraz rozumiał i było mu nieprzyjemnie. Wydała mu się nieco tragiczną ta przyjaźń, zabarwiona tak romantycznie.

Westchnął i zadzwonił. Na wszelki wypadek należy portret usunąć. Nie może się narażać na nowe niebezpieczeństwo odkrycia. Było z jego strony szaleństwem trzymać go choćby przez godzinę w pokoju, do którego miał wstęp każdy z jego przyjaciół.

ROZDZIAŁ X.

Gdy wszedł służący, spojrział nań ostro, chcąc wybadać go, czy nie przyszło mu na myśl zaglądać za ekran. Służący z wyrazem zupełnie obojętnym czekał na rozkazy. Dorian, zapalając papierosa, przeszedł przez pokój i stanął przed zwierciadłem. Widział w niem dokładnie odbicie twarzy Wiktora. Była to nieruchoma maska służbisty. Z tej strony nie było żadnych obaw. Pomyślał jednak, że lepiej mieć się na baczności.

Mówiąc bardzo powoli, kazał mu zawezwać do siebie gospodynię oraz sprowadzić zaraz dwóch ludzi od ramiarza. Zdawało mu się, iż wzrok służącego, gdy odchodził, był skierowany w stronę ekranu. Było to może złudzeniem własnej wyobraźni?

W parę chwil potem zjawiała się w bibliotece pani Leaf, w czarnej sukni jedwabnej, z pomarszczonemi rękami w staromodnych nicianych mitynkach. Zażądał od niej klucza od sali szkolnej.

— Od starej sali szkolnej, panie Dorianie? — zawołała. — Ależ tam pełno kurzu. Zanim pan tam pójdzie, muszę ją uporządkować i wyczyścić. Nie jest przygotowana na wejście jaśnie pana. Doprawdy, że nie.

— Nie potrzeba tam nic porządkować, pani Leaf. Proszę mi tylko dać klucz.

— Ależ jaśnie panie, tam pełno pajęczyn. Nie otwierano jej od blisko pięciu lat, od śmierci jego lordowskiej mości.

Drgnął na wspomnienie dziadka. Przykre zachował po nim wspomnienia. — Nie szkodzi, — odparł. — Chcę tylko zobaczyć ten pokój, nic więcej. Proszę dać mi klucz.

— Tutaj jest klucz, jaśnie panie, — rzekła starszka, szukając niepewnie drżącymi palcami w dużym pęku swych kluczy. — Tutaj jest klucz. Zaraz zdejmę go z kółka. Ale jaśnie pan nie ma chyba zamiaru przenosić się tam, tu jest wygodnie?

— Nie, nie, — zawołał niecierpliwie. — Dziękuję pani Leaf. Tak, dobrze.

Zatrzymała się jeszcze chwilę, rozgadując się o jakichś drobiazgach gospodarczych. Westchnął, wreszcie oświadczył, że może gospodarować, jak sama uważa, że będzie lepiej. Wyszła rozpromieniona.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, Dorian włożył klucz do kieszeni i rozejrzał się po pokoju. Wzrok jego zatrzymał się na szerokiej purpurowej kapie atlasowej, suto haftowanej złotem, wspianiałym zabytku roboty weneckiej z XVII wieku, znalezionym przez jego dziadka w jakimś klasztorze koło Bolonji. Tak, to może służyć do osłonięcia tej strasznej rzeczy. Często zapewne służyło do okrywania zwłok. Teraz ma osłaniać coś, podlegającego rozkładowi, gorszemu niż rozkład pośmiertny, coś, co rodzi przerażenie, a nigdy nie umiera. Czem robactwo dla zwłok, tem grzechy jego dla obrazu malowanego na płótnie. Zniszczą jego piękno i zeżrą jego wdzięk. Splugawią go i okryją hańbą. A jednak będzie ciągle żył. Wciąż będzie żywy.

Wstrząsnął się i przez chwilę żałował, że nie po-

wiedział Bazylemu o rzeczywistej przyczynie, dlaczego chce ukryć obraz. Bazyli byłby dopomógł, aby się oparł wpływowi lorda Henryka i jeszcze bardziej trującym pokusom własnej natury. Miłość, jaką mu okazywał, gdyż była to naprawdę miłość, nie miała w sobie nic, coby nie było szlachetnem i uduchowionem. Nie był to ów fizyczny podziw dla piękności, rodzący się ze zmysłów i zamierający, gdy zmysły się znużą. Była to miłość, jaką znał Michał Anioł, i Montaigne, i Winckelmann, i nawet Szekspir. Tak, Bazyli mógłby go ocalić. Przeszłość można zniweczyć zawsze. Przez żal, skrucę i zapomnienie. Ale przyszłość jest nieunikniona. W niej tkwią namiętności, które znajdują swe straszliwe ujście, marzenia, które rzuca cień swej grzesznej rzeczywistości.

Zdjął z posłania okrywającą je ciężką, purpurowo-złocistą tkaninę i, niosąc ją w rękach, wszedł za ekran. Czy twarz na płótnie była nikczemniejsza, niż przedtem? Zdawało mu się, że pozostała niezmienną, a jednak jego wstręt do niej był silniejszy. Złociste włosy, niebieskie oczy i karminowe wargi — pozostały te same. Zmienił się tylko wyraz. Był straszny w swem okrucieństwie. W porównaniu z napomnieniem lub naganą, jakie widział, jak nikłe były wyrzuty Bazylego z powodu Sybilli Vane! — jak nikłe i bez znaczenia! Jego własna dusza patrzyła nań z płótna i wzywała go na sąd. Wyraz bólu zmącił jego rysy, gdy zarzucał na obraz bogaty całun. W tej chwili zapukano do drzwi. Gdy wyszedł z za ekranu, wszedł służący.

— Ci ludzie już przyszli, jaśnie panie.

Czuł, że musi go natychmiast oddalić. Nie powinien wiedzieć, co stanie się z obrazem. Było w nim coś chytrego, jego oczy były zamyślane i zdradliwe. Siadł-

szy przy biurku, napisał kartkę do lorda Henryka, prosząc go, aby mu przysłał co do czytania, i przypominając, że mają spotkać się wieczorem o kwadrans na dziewiątą.

— Zaczekasz na odpowiedź, — powiedział, oddając mu list, — a tych ludzi wpuść tutaj.

Za dwie lub trzy minuty znów zapukano i wszedł sam pan Hubbard, sławny ramiarz z ulicy South Adley, w towarzystwie młodego, dość niezręcznie wyglądającego pomocnika. Pan Hubbard był to niski mężczyzna w kwiecie wieku, o rudych bokobrodach. Jego podziw dla sztuki został znacznie ograniczony skutkiem niepoprawnej niewypłacalności większości artystów, z którymi miał do czynienia. Z zasady nigdy nie opuszczał swego sklepu. Cekał, by przychodzono do niego. Wyjątkowe ustępstwo robił zawsze dla Doriana Graya. Dorian miał w sobie coś, czem czarował wszystkich. Nawet patrzenie na niego było już przyjemnością.

— Czem mogę służyć, panie Gray? — zapytał, zacierając tłuste, piegowate ręce. — Czułem się w obowiązku, aby mieć ten zaszczyt, żeby przyjść samemu. Mam właśnie precudne ramy, jaśnie panie. Zdobyłem je na licytacji. Staroflorenckie. Pochodzą podobno z Forthill. Doskonale nadają się, panie Gray, do obrazu religijnego.

— Przykro mi, że trudził się pan osobiście, panie Hubbard. Oczywiście, przyjdę obejrzeć ramy, chociaż narazie nie zajmuje mnie sztuka religijna, dziś chciałem tylko przenieść jeden obraz na górę. Jest dość ciężki, dlatego chciałem pana prosić o parę pańskich ludzi.

— Nic nie szkodzi, panie Gray. Jestem zachwycony, że mogę panu usłużyć. Gdzież jest to dzieło sztuki, jaśnie panie?

— To, — odparł Dorian, odsuwając ekran. — Czy można przenieść je z zasłoną, razem ze wszystkim, tak jak jest? Nie chciałbym, aby przy przenoszeniu po schodach zostało uszkodzone.

— Nic w tem trudnego, jaśnie panie, — rzekł ramiarz wesoło, przy pomocy czeladnika zdejmując obraz z długich mosiężnych łańcuchów, na których był zawieszony. — A teraz, dokąd mamy je zanieść, panie Gray?

— Pokażę panu drogę, panie Hubbard, proszę iść za mną. Lub raczej proszę iść przedemną. Przykro mi, ale to na samą górę. Pójdziemy schodami frontowemi, bo szersze.

Otworzył im drzwi, któremi wyszli do sieni i poczęli iść po schodach. Ozdobny rodzaj ram uczynił obraz wyjątkowo obszernym, więc Dorian kilkakrotnie podnosił swą rękę, aby im pomóc, co wywoływało ugrzecznione sprzeciwy pana Hubbarda, który jako prawy kupiec nie mógł bez przykrości patrzeć, że jaśnie pan robi coś pożytecznego.

— Porządny ciężar, jaśnie panie, — dyszał mały mężczyzna, gdy stanęli na najwyższym schodzie, i ocierał spocone czoło.

— Wydaje się być bardzo ciężkim, — mruknął Dorian, otwierając drzwi pokoju, mającego mieścić dziwną tajemnicę jego życia i kryć jego duszę przed oczami świata.

Nie wchodził tu przeszło od czterech lat, tak, w istocie, — niegdyś, gdy był dzieckiem, było to miejsce jego zabaw, potem, gdy był starszym, był to jego pokój szkolny. Była to duża, foremna komnata, zbudowana przez ostatniego lorda Kelso umyślnie dla jego małego wnuka, którego zawsze nienawidził i trzymał

zdala od siebie, z powodu jego dziwnego podobieństwa do matki, a także dla innych przyczyn. Wydało się Dorianowi, że zmieniło się tu niewiele. Wszakże to ta sama obszerna szafa włoska z fantastycznie pomalowanymi płytami i z poczerniałymi złoceniami gzymsów, w której jako chłopiec tak często się chował. Wszakże to półka z politurowanego drzewa, zapełniona książkami szkolnymi o pozaginanych kartach. Za niemi wisi ten sam rozdarty gobelin flamandzki, na którym spłowiwały król i królowa grają w ogrodzie w szachy, gdy opodal przejeżdża orszak sokołników, trzymających zakapturzone ptaki w urękawiczonych rękach. Jak dobrze pamięta to wszystko! Gdy rozglądał się po pokoju, stawała mu w myśli każda chwila jego samotnego dzieciństwa. Wspomnił nieskalaną czystość swej młodości i wydało mu się strasznie, że właśnie tutaj będzie ukryty fatalny portret. Jakżeż mało wiedział w tych zamierzchłych dniach o losach swego życia!

W całym domu nie było jednak miejsca równie, jak to, niedostępnego oczom ciekawych. On ma klucz i nikt tu nie wejdzie. Pod purpurowym całunem twarz malowana na płótnie może stać się zwierzęcą, obrzmiałą i wstrętną. Co z tego? Nikt nie zobaczy. On sam nie będzie oglądał. Pocóż miałby patrzeć na ohydny rozkład swej duszy? Zachowa swą młodość — to dosyć. Zresztą, poza wszystkim, czy natura jego nie może wypięknąć? Niema powodu, aby przyszłość musiała być tak haniebna. Jakaś miłość przejdzie przez jego życie, aby go oczyścić i uwolnić od tych grzechów, które zdają się już kiełkować w jego duszy i ciele, — od tych dziwnych, nieznanych grzechów, którym tajemniczość dodaje wdzięku i czaru. Pewnego dnia, być może, zniknie wyraz okrucieństwa ze szkarłatnych, zmysłowych

ust, i będzie mógł pokazać światu arcydzieło Bazylego Hallwarda.

Nie; to niemożliwe. Z godziny na godzinę, z tygodnia na tydzień obraz musi się starzeć. Może uniknąć brzydoty grzechu, ale brzydota starości jest nieodwołalna. Policzki muszą się zapaść lub obwisnąć. Żółte zmarszczki okrażają wyblakłe oczy, czyniąc je szpetnymi. Włosy tracą połysk, usta zapadną się lub wklęsną, staną się głupie lub gburowate, jak usta starych ludzi. Szyja pomarszczy się, ręce będą zimne i zblękitnieją od żył, ciało skurczy się, jak to pamięta u dziadka, który dla niego, jako chłopca, był zawsze taki surowy. Obraz musi pozostać w ukryciu. Niema na to rady.

— Proszę go wnieść tu, panie Hubbard, — powiedział z trudem, odwracając się. — Przykro mi, że trzymam pana tak długo. Myślałem o czym innym.

— Zawsze jest dobrze móc odpocząć, panie Gray, — odparł ramiarz, wciąż jeszcze zadyszany. — Gdzie go ustawić, jaśnie panie?

— Ach, gdziebądź. Tu, oto. Nie będzie się go wieszalo. Proszę go tylko oprzeć o ścianę. Dziękuję.

— Czy można zobaczyć to dzieło sztuki, jaśnie panie?

Dorian zadrżał. — Nie zajmie pana, panie Hubbard, — rzekł, nie spuszczać go z oka. Czuł, że rzuciłby się na tego człowieka i powalił go, gdyby ośmielił się podnieść kosztowną zasłonę, zakrywającą tajemnicę jego życia. — Nie będę pana więcej trzymał. Bardzo dziękuję, że był pan tak uprzejmy przyjść tutaj.

— Niema za co, niema za co, panie Gray. Zawsze gotowy do usług, jaśnie panie. — I pan Hubbard schodził ze schodów, a za nim pomocnik, oglądający się za Dorianem z wyrazem trwożnego podziwu na swej po-

spolitej, nieładnej twarzy. Nigdy nie widział nikogo tak czarującego.

Gdy ucichły odgłosy ich kroków, Dorian zamknął drzwi i klucz schował do kieszeni. Czuł się teraz bezpieczniejszym. Nikt już nie będzie oglądał tej strasznej rzeczy. Niczyje oko nigdy nie spojrzy na jego hańbę.

Powróciwszy do biblioteki, zauważył, że jest już po piątej i że właśnie podano herbatę. Na maleńkim stoliku z ciemnego, wonnego drzewa, wytwornie inkrustowanego perłową macicą, był to dar lady Radley, żony jego opiekuna, ładnej zawodowej pacjentki, która ostatnią zimę spędziła w Kairze, — leżała kartka od lorda Henryka, obok niej książka oprawiona w żółty papier, w podniszczonej okładce i poplamiona na rogach. Na tacy leżał egzemplarz trzeciego wydania „The St. James's Gazette”. Widocznie Wiktor już powrócił. Chciałby wiedzieć, czy spotkał się w sieni z ludźmi, gdy wychodzili z domu, i czy dopytywał się ich, co robili. Z pewnością zauważył brak obrazu, bezwątpienia już zauważył, gdy nakrywał do herbaty. Ekran nie był zasunięty i puste miejsce na ścianie było widoczne. Kto wie, czy pewnej nocy nie przyłapie go na schodach, jak będzie usiłował wyłamać drzwi do pokoju. To straszne mieć w domu szpiega. Słyszał o ludziach bogatych, przez całe życie wyzyskiwanych przez służącego, który przeczytał list, podsłuchał rozmowę, przejął kartkę z adresem, znalazł pod poduszką zwiędły kwiat albo strzęp zmiętej koronki.

Westchnął i, sam sobie nalawszy herbaty, otworzył list lorda Henryka. Pisał tylko, że posyła mu dziennik wieczorowy i książkę, która może go zająć, oraz że będzie w klubie kwadrans po ósmej. Leniwie rozłożył „The St. James's” i przebiegł ją oczami. Na piątej

stronie zatrzymał wzrok na ustępie, zakreślonym czerwonym ołówkiem. Czytał, co następuje: —

„*Sledztwo w sprawie aktorki*. — Dziś rano w Bell Tavern, na ulicy Hoxtona, pan Danby, urzędnik dzielnicowy, przeprowadził badanie zwłok Sybilli Vane, młodej aktorki, świeżo przyjętej do teatru Royal w Holborn. Stwierdzono śmierć z przypadku. Ogólne współczucie budziła matka zmarłej, która była bardzo wzruszona, gdy przesłuchiowano ją oraz dra Birrella, który dokonywał pośmiertnych oględzin zmarłej“.

Zmarszczył brwi, rozdarł gazetę na dwoje, przeszedł przez pokój i wyrzucił strzępy. Jakie to wszystko obrzydliwe! A jak ta brzydota robi wszystko ohydnie rzeczywistem! Gniewało go, że lord Henryk przysłał mu to sprawozdanie. A już zupełnie było z jego strony niemądrem podkreślenie czerwonym ołówkiem. Mógł to czytać Wiktor. Na tyle zna angielski, ażeby to zrozumiał.

Może przeczytał i zaczął coś podejrzewać. Ale co to szkodzi? Cóż ma wspólnego Dorian Gray ze śmiercią Sybilli Vane? Niema się czego obawiać. Dorian Gray nie zabił jej.

Jego wzrok napotkał przysłaną mu przez lorda Henryka żółtą książkę. Pomyślał, co to być może. Podszedł do małej ośmiokątnej półki perłowej barwy, która wydawała mu się zawsze jakby dziełem jakichś dziwnych pszczoł egipskich, drążących srebro, wziął do rąk książkę, rzucił się na fotel i począł przewracać kartki. Po paru minutach pochłonęła go zupełnie. Była to najdziwniejsza książka, jaką kiedykolwiek czytał. Zdawało mu się, że w niemym korowodzie, przy wątłych dźwiękach fletni, przeciągały przed nim wytwornie wystrojone grzechy całego świata. Rzeczy, znane mu za-

ledwie z zawiłych snów, stawały się jawą. Rzeczy, o których nawet nie marzył, stopniowo ukazywały mu się.

Była to powieść bez intrygi, z jedyną tylko postacią, będącą naprawdę zwykłym studjum psychologicznym pewnego młodego paryżanina, który w dziewiętnastym stuleciu poświęca swe życie na próbę urzeczywistnienia wszystkich namiętności i sposobów myślenia wszystkich wieków, oprócz współczesnego, ześrodkowania w sobie samym wszystkich stanów ducha, przez jakie świat kiedykolwiek przechodził, w równej mierze zachwycając się dla ich sztuczności wszystkimi temi wyrzeczeniami, które niemądry ludzie nazywają cnotami, jak i temi naturalnymi buntami, które mądry ludzie jeszcze dziś zowią grzechami. Styl, w którym książka była napisana, był to ów styl ciekawie szlifowany, żywy i ciemny zarazem, pełen prowincjonalizmów i archaizmów, wyrażień technicznych i wypracowanych parafraz, styl cechujący utwory kilku przedziwnych artystów z francuskiej szkoły symbolistów. Były tam przerośnięte tak potworne, jak orchideje i jak ich barwy wytworne. Życie zmysłów było opisane w słowach filozofów mistycznych. Chwilami trudno było zrozumieć, czy to są duchowe ekstazy jakiegoś świętego średniowiecznego, czy chorobliwe zwierzenia nowoczesnego grzesznika. Była to książka trująca. Z kart jej zdawała się unosić ciężka woń kadzidlana, zamraczająca umysł. Już sam rytm zdań, przenikliwa jednostajność ich muzyki, tak jednak pełna złożonych refrenów i zwrotów umiejętnie powtarzanych, wytwarzała w umyśle młodzieńca chorobliwą senność, w której stracił świadomość zapadającego dnia i podnoszącego się mroku.

Przez okna widniało bezchmurne niebo, miedziano-zielone, z jedyną samotną gwiazdą. W niknącem świetle czytał, dokąd mógł. Wreszcie, gdy służący parokrotnie zwrócił mu uwagę na spóźnioną porę, podniósł się, przeszedł do sąsiedniego pokoju, położył książkę na małym stoliku florenckim, zawsze stojącym obok jego łóżka, i zaczął się przebierać do obiadu.

Dochodziła dziewiąta, gdy znalazł się w klubie, gdzie zastał lorda Henryka, samotnie siedzącego w gabinecie, z wyrazem nocno znudzonym.

— Bardzo mi przykro, Henryku, — zawołał — ale to naprawdę całkowicie twoja wina. Tak mnie pochłoneła książka, którą mi przysłałeś, że zapomniałem o czasie.

— Tak, przypuszczałem, że się podoba tobie, — odrzekł gospodarz, powstając z krzesła.

— Nie powiedziałem Henryku, że podobała mi się, tylko że pochłoneła mnie. To wielka różnica.

— Ach, zauważyłeś to? — wyszeptał lord Henryk, poczem przeszli obaj do jadalni.

ROZDZIAŁ XI.

Przez lata całe Dorian Gray nie mógł wyzwolić się z pod wpływu tej książki. Albo, wyrażając się dokładnie, nigdy nie usiłował wyzwolić się. Sprowadził z Paryża dziewięć egzemplarzy pierwszego wydania w dużym formacie i dał je oprawić w okładki w rozmaitych barwach, ażeby mogły odpowiadać różnym nastrojom i zmiennym stanom jego duszy, nad którą niekiedy zdawał się tracić wszelką władzę. Bohater, czarowny młody Paryżanin, w którym tak dziwnie kojarzyły się popędy romantyka i uczonego, stał się dla niego rodzajem prototypu. I, doprawdy, zdawało mu się, że cała książka zawiera dzieje jego własnego życia, napisane przedtem, zanim je przeżył.

Pod jednym względem był szczęśliwszym od fantastycznego bohatera powieści. Nigdy, naprawdę nigdy nie znał i nie miał powodu znać owej nieco śmiesznej obawy przed zwierciadłami i gładkimi powierzchniami metali i cichych wód, która wcześniej wtargnęła do życia młodego paryżanina, aby przyspieszyć gwałtowny zanik niezwyklej ongi jego urody. Ostatnią część książki, rzeczywiście tragiczną, jakkolwiek z nadmierną przesadą opowiadającą o cierpieniach i rozpaczach człowieka, który stracił to, co sam u innych i wogóle na świecie najwyżej cenił, odczytywał z najbardziej okrutną radością. (Okrucieństwo mieści się zapewne na dnie

niemał każdej radości i z całą pewnością w każdej rozkoszy).

Jego przedziwna uroda, która tak oczarowała Bazylego Hallwarda i wielu innych, zdawało się, że nigdy nie zniknie. Nawet ci, co słyszeli najstraszniejsze o nim rzeczy, a co pewien czas jego sposób prowadzenia życia wywoływał w Londynie skandal i dawał powód do plotek po klubach, widząc go, nie byli w stanie posądzać o nic złego. Wciąż tak wyglądał, jakby przeszedł przez życie nieskalany. Mężczyźni, wiodący nieskromne rozmowy, milkli, gdy wchodził Dorian Gray. Zniewalał ich wyraz niewinności na jego twarzy. Sama jego obecność budziła w nich wspomnienie czystości, którą brukali. Dziwiono się, że ktoś tak pełen wdzięku i czaru mógł uniknąć piętna wieku, równie plugawego, jak zmysłowego.

Często, gdy powracał z tych tajemniczych a długich wycieczek, budzących tak dziwne przypuszczenia wśród przyjaciół lub wśród tych, którzy za nich się uważali, pokryjomu szedł po schodach do zamkniętego pokoju, otwierał drzwi kluczem, który zawsze nosił przy sobie, i ze zwierciadłem w ręku stawał przed portretem, malowanym przez Bazylego Hallwarda, aby wpatrując się w okrutnie postarzałą twarz na płótnie, porównać ją z pięknem, młodzieńczem odbiciem w zwierciadle. To bardzo ostre przeciwieństwo wzbudzało w nim uczucie rozkoszy. Coraz więcej rozkochiwał się w swej piękności i coraz więcej okazywał zająęcia rozkładowi swej duszy. Z natężoną uwagą, niekiedy z potwornem, strasznem zadowoleniem śledził wstrętne rysy, przecinające pomarszczone czoło i okrągające grube, zmysłowe usta, zapytując się nieraz, azali więcej okropne są ślady grzechów, czy starości.

Z uśmiechem przykładając swe białe ręce do tych na obrazie, szorstkich i nabrzmiałych. Naigrawał się z zespęconego ciała i z zniedołężniałych członków.

Zdarzały się wprawdzie nocą chwile, gdy bezsenny leżał w swej własnej przesyconej wytwornym zapachem sypialni, albo w ponurej izbie osławionego szynku portowego, gdzie zwykł był chodzić w przebraniu i pod zmyślonym nazwiskiem, że o zepsuciu, jakie spowodził na swą duszę, myślał z litością, tem gorętszą, że zupełnie samolubną. Owa ciekawość życia, którą obudził w nim lord Henryk, gdy siedzieli razem w ogrodzie przyjaciela, zdawała się rosnać, gdy ją zaspakał. Czem więcej poznawał, tem więcej znać pragnął. Trawił go głód tem gwałtowniejszy, im bardziej był syty.

Nie zaniedbywał się jednak, przynajmniej w stosunkach towarzyskich. Podczas zimy raz lub dwa razy w miesiącu, a w sezonie co środę otwierał podwoje swego pięknego domu dla gości, dla których ubawienia czarami sztuki spraszał najślawniejszych muzyków. Jego obiady, w których urządzaniu pomagał mu zawsze lord Henryk, były głośnie tak ze względu na wyjątkowo staranny dobór i rozmieszczenie gości, jak z powodu niezwyklej wytworności, objawiającej się w przystrojeniu stołu, w symfonicznie zestrojonem ustawieniu egzotycznych kwiatów i haftowanych obrusów, w staroświeckich nakryciach ze złota i srebra. To też wielu, zwłaszcza wśród bardzo młodych ludzi, widziało, lub pragnęło widzieć w Dorianie uosobienie typu, o którym sami marzyli nieraz w czasach etońskich lub oxfordzkich, któryby łączył w sobie rzeczywistą kulturę nauki z wytwornością i doskonałością światowca. Wydawał się im należeć do tych, o których napisał Dante,

że „usiłowali się doskonalić przez kult piękna“. Jak Gautier, był jednym z tych, dla których „świat widzialny istniał“.

I rzeczywiście życie było dlań sztuką najpierwszą i największą, wobec której wszystkie inne sztuki zdawały mu się tylko przygotowaniem. Moda, przez którą rzeczy naprawdę fantastyczne stają się na chwilę powszechnymi, i dandyzm, będący na swoistej drodze usiłowaniem osiągnięcia bezwzględnej nowoczesności piękna, miały dlań oczywiście swój urok. Jego sposób ubierania się, jego szczególne upodobania, jakimi przejmował się co pewien czas, wywierały widoczny wpływ na młodych światowców z balów w Mayfair i z salonów klubu Pall Mall, którzy naśladowali go we wszystkim i usiłowali przyswoić sobie swobodny urok jego wdzięcznych fanfaronad, przez niego samego nie branych poważnie.

Choć aż zbyt ochoczo przyjął rolę, jaka się przed nim otworzyła natychmiast po dojściu do pełnoletności, znajdując nawet naprawdę pewną przyjemność w myśli, że dla współczesnego Londynu może stać się rzeczywiście tem, czem był autor „Satyriconu“ dla cesarskiego Rzymu Nerona, to jednak w głębi duszy pragnął być czemś więcej, niż „arbitrem elegantiarum“, u którego zasięgano rady co do oprawy klejnotu, wiązania krawatki lub sposobu trzymania laski. Zastanawiał się nad opracowaniem nowego sposobu życia, któryby posiadał swoją rozumną filozofję i swe ustalone zasady, a którego celem ostatecznym byłoby uduchowanie zmysłów.

Kult zmysłów często i nie bez słuszności wywoływał oburzenie, bo człowiek ma w sobie naturalny instynkt trwogi przed namiętnościami i popędami, które

wydają mu się silniejsze od niego samego i o których wie, że są również udziałem niższych form życia organicznego. Dorian Gray mniemał jednak, że prawdziwa istota zmysłów nigdy nie była rozumiana i że zmysły tylko dlatego pozostały dzikie i zwierzęce, bo usiłowano pokonać je lub zabić przez cierpienia, zamiast dążyć do wytworzenia z nich nowych czynników duchowych, których cechą znamioną byłby doskonały zmysł piękna. Gdy patrzył wstecz na pochod dziejowy ludzkości, doznawał uczucia klęski. Tak wiele poświęcono! i dla tak mizernego wyniku! Bywały szalone, dobrowolne wyrzeczenia, potworne rodzaje samoudręki i poświęcenia, których źródłem był strach, a wynikiem poniżenie, nieskończenie straszniejsze od owego poniżenia urojonego, jakiego przez nieświadomość starano się uniknąć, przyroda bowiem, w swej zadziwiającej ironji kazała anachoretom żywić się na pustyni razem z dzikimi zwierzętami, a pustelnikom dawała za towarzyszy bydła polne.

Tak, słusznie przepowiada lord Henryk, że nowy hedonizm odrodzi życie, wyzwoli je od surowego, brzydkiego purytanizmu, święącego w naszych czasach swój niepojęty renesans. Nowe życie będzie oczywiście posługiwało się umysłem, nigdy jednak nie przyjmie teorii ani systemu, wymagających wyrzeczenia się jakiegokolwiek rodzaju zmysłowego doznania. Jego celem będzie właśnie doznanie, a nie owoce doznania, obojętne, słodkie czy gorzkie. Nieznany mu będzie zabijający zmysły ascetyzm, ani przytępiająca je pospolita nikczemność. Będzie ono uczyło człowieka zdolności ześrodkowania się w chwilach życia, które samo jest tylko chwilą.

Niewielu chyba z nas nie czuwało nigdy przed

świtem, bądź to po jakiej nocy bezsennej, przyprawiającej niemal o rozmiłowanie się w śmierci, bądź też po jakiej nocy rozpacz i nieudanych uciech, gdy przez komnaty mózgu przeciągają potworniejsze od rzeczywistości urojenia, ożywione tą siłą życiową, co jest utajona w każdym grotesku i nadaje trwałą żywotność sztuce gotyckiej, szczególnej sztuce tych, których dusze niepokoi choroba marzenia. Zwolna wsuwają się białe palce między firanki, że zdają się poruszać. Pełzają i układają się po kątach pokoju nieme cienie w czarnych, fantastycznych postaciach. Na dworze, wśród liści szeleszczą ptaki; słysząc kroki ludzi, idących do roboty; wiatr jęczy i wzdycha, zlatując ze wzgórza i okrążając spokojny dom, jakby obawiał się, że zbudzi śpiącego, a jednak zabrał sen z jego purpurowej jaskini. Podnosi się zasłona po zasłonie, z cienkiej przejrzystej gazy, rzeczy odzyskują zwolna swój kształt i barwy, i widzimy, jak z mroku wyłania się dawne oblicze świata. Blade zwierciadła nabierają znów mocy odtwórczej. Wygasłe świece stoją tam, gdzieśmy je postawili, obok nich leży napół rozwarta książka, którą czytaliśmy, kwiat na drucie, który mieliśmy na balu, albo list, który obawialiśmy się przeczytać, lub czytaliśmy zbyt często. Wszystko wydaje się nam niezmiennionem. Ze złudnych cieni nocy wyłania się znana nam rzeczywistość życia. Musimy podjąć je tam, gdzieśmy zostawili, i ogarnia nas straszne uczucie konieczności, zmuszającej do ciągłego zużywania sił w nużącym kole codziennych wydarzeń, lub też porywa nas dzika tęsknota, by stać się mogło, aby pewnego poranka oczy nasze otworzyły się na świat, ku naszej radości przeobrażony w mrokach nanowo, na świat, w którym rzeczy zmieniły się i dostały nowych kształtów i barw, lub

też kryją inne tajemnice, na świat, w którym przeszłość nie zajmowałaby miejsca wcale, albo bardzo mało, a w każdym razie bez świadomości obowiązku lub żalu, bo nawet wspomnienie radości posiada gorycz, jak wspomnienie rozkoszy swój ból.

Tworzenie takich światów uważał Dorian Gray za właściwe zadanie, lub conajmniej za jedno z właściwych zadań życia; w poszukiwaniu wzruszeń, któreby były zarazem nowe i rozkoszne, i posiadały tak nieodłączny od romantyzmu pierwiastek egzotyzmu, schodził często na tory myślowe, o których wiedział, że są naprawdę obce jego naturze, poddawał się jednak ich przenikliwym wpływom, aby poznawszy, czym są, uchwyciwszy ich barwę i zaspokoiwszy ciekawość swego umysłu, porzucić je z ową niezwykłą obojętnością, która wcale nie wyklucza istotnej płomienności usposobienia, a nawet jak utrzymują niektórzy nowocześni psychologowie, jest jej warunkiem.

Pewnego razu rozgłoszono, że chce przyjąć wyznanie rzymsko-katolickie; istotnie obrządek rzymski miał dla niego zawsze wielki urok. Codzienna ofiara, straszniejsza zaiste od wszystkich ofiar starożytnego świata, podniecała go zarówno wzniosłem wyrzeczeniem się świadectwa zmysłów, jak prymitywną prostotą jej czynników i odwiecznym patosem uzmysławianej nią ludzkiej tragedji. Lubiał klęczeć na zimnym marmurze posadzki, patrzeć na kapłana, w sztywnej, wzorzystej dalmatyce, jak białymi palcami odkrywa wolno zasłonę tabernaculum, lub podnosi w górę zdobną w klejnoty monstrancję o kształcie latarni, zawierającą blade opłatki, który czasami, gdy się z chęcią w to wierzy, jest naprawdę „*panis coelestis*“, chlebem anielskim, albo gdy przybrany w ornat Męki Pańskiej, łamie hostję

nad kielichem i bije się w piersi za grzechy. Dymiące kadzielnice, potrząsane przez poważnych chłopców w koronkach i szkarłacie, rozkołysane w powietrzu, jak wielkie złociste kwiaty, wywierały nań szczególny urok. Gdy odchodził, ze zdziwieniem spoglądał na czarne konfesjonały, w których mdłym cieniu pragnąłby zasiąść, aby słuchać mężczyzn i kobiety, szepczących przez wytarte kratki prawdziwą historję ich życia.

Nigdy jednak nie popadł w błąd powstrzymania swego umysłowego rozwoju przez formalne przyjęcie jakiegoś obrządku lub systemu. Nie popełniłby nigdy tej omyłki, aby za dom mieszkalny obrać gospodę, gdzie można spędzić jedną noc lub parę godzin nocy bez gwiazd, w którą księżyc walczy z chmurami. Mistycyzm, z jego cudowną mocą nadawania rzeczom codziennym cech niezwykłości i z towarzyszącą mu stale subtelną sprzecznością, zajmował go przez jeden sezon; przez jeden też sezon skłaniał się ku materialistycznym doktrynom niemieckiego darwinizmu, znajdując szczególną przyjemność w śledzeniu ludzkich myśli i uczuć aż do najdrobniejszej komórki mózgowej, do najcieńszego nerwu ciała, upajając się myślą o bezwzględnej zależności ducha od pewnych warunków fizycznych, chorobliwych lub zdrowych, normalnych lub anormalnych. Lecz, jak to już mówiliśmy o nim, żadna teoria życiowa nie zdawała się mieć dlań wartości w porównaniu z samem życiem. Miał pełną świadomość bezpłodności wszelkiej spekulacji umysłowej, oderwanej od czynu i doświadczenia. Wiedział, że w zmysłach, niemniej jak w duszy, są do odkrycia ich tajemnice duchowe.

Badał perfumy i sposoby ich wyrobu, destylując silnie pachnące olejki i paląc wonne żywice wschodnie.

Sądził, iż niema nastroju duchowego, któryby się nie odzwierciadlał w życiu zmysłowym, usiłował więc odkryć ich prawdziwy stosunek wzajemny, przekonać się, czemu kadzidło pobudza do mistycyzmu, ambra wzmacnia namiętność, fiołki wywołują wspomnienie zgasłych miłości, piżmo oszałamia umysł, szampak kala wyobraźnię; starał się opracować prawdziwą psychologję zapachów, ustalić różnorodne działanie słodko-pachnących korzeni, oszałamiającym pyłkiem okrytych kwiatów, aromatycznych balsamów, wonnego drzewa, nardu, przyprawiającego o chorobę, howenji o szaleństwo i aloesu, o którym mówią, że może uleczyć duszę z melancholji.

Kiedyindziej poświęcił się całkowicie muzyce. W długiej, okratowanej sali, o szkarłatno-złotym stropie i ścianach polakierowanych na ciemną oliwkę, dawał niezwykle koncerty; wściekli cyganie wydobywali tu dzikie dźwięki z małych cytr, poważni, żółto ubrani grajkowie z Tunisu szarpali mocno napięte struny olbrzymich lutni, murzyni z wyszczerzonymi zębami uderzali monotennie w miedziane bębny, smukli Hindusi w turbanach, leżąc na purpurowych matach, wygrywali na długich piszczałkach z trzciny lub metalu, zaczarowując, lub udając, że zaczarowują olbrzymie węże-kapturniki i okropne żmije rogate. Dzikie przeskoki i jaskrawe dysonanse barbarzyńskiej muzyki czarowały go wówczas, gdy słuchał bez wrażenia wdzięku Schuberta, pięknego smutku Chopina i nawet potężnych harmonij Beethovena. Ze wszystkich stron świata zbierał najdziwniejsze instrumenty, jakie tylko mógł znaleźć, zarówno w grobowcach wymarłych ludów lub wśród niewielu dzikich szczepów, które przeżyły zetknięcie z cywilizacją zachodnią. Lubiał dotykać ich

i próbować. Posiadał tajemnicze, indjańskie „jurupasi“ z Rio Negro, na które nie wolno spojrzeć kobiecie a które nawet młody mężczyzna może oglądać dopiero po poście i pokucie; posiadał gliniane dzbanki Peruwianczyków, naśladujące przenikliwy krzyk ptaków, flety z ludzkich kości, jakie Alfonso de Ovalle słyszał w Chili, znalezione w okolicy Cuzco dźwięczne zielone jaspisy o dziwnie słodkiem brzmieniu. Posiadał malowane tykwy, napełnione żwirem, brzęczącym przy potrząsaniu; długie klarynety meksykańskie, na których gra się, nie dmąc, lecz wciągając powietrze; chrapliwe „tury“ szczepu z nad Amazonki, na których wygrywają strażę, siedząc całymi dniami na wysokich drzewach, a które słyszać podobno w odległości trzech mil; „teponaztli“ z dwoma drgającymi drewnianymi językami, w które uderza się pałeczkami, nasyconymi gumą elastyczną, dobywaną z mlecznego soku roślin; dzwony azteków, zwane „yotl“, co zwisają niby grona winne; wielki, cylindryczny bęben, pokryty skórąmi olbrzymich węzów, podobny do tego, jaki widział Bernal Diaz, kiedy wchodził z Kortezem do świątyni meksykańskiej, i którego bolesnych tonów pozostawił nam tak żywy opis. Fantastyczny rodzaj tych instrumentów zachwycał go, znajdował dziwną przyjemność w myśli, że sztuka, podobnie jak przyroda, posiada swe potwory, rzeczy o bydlęcym kształcie i potwornych głosach. Niebawem znudziło go to i znowu siadywał w swej łoży w Operze, sam, albo z lordem Henrykiem, z nagłem zadowoleniem słuchając „Tannhäusera“ i w preludjum do tego wielkiego dzieła sztuki dopatrując się obrazu tragedji swej własnej duszy.

Przy jakiejś sposobności zabrał się do badań nad klejnotami i na balu kostjumowym zjawił się, jako

admirał francuski Anne de Joyeuse w stroju, zdobnym w pięćsetsześćdziesiąt pereł. Zamiłowanie to pochłaniało go latami i naprawdę nie opuściło go nigdy. Nieraz całymi dniami wyjmował i przekładał w szkatułkach rozmaite kamienie, a więc oliwkowo-zielony chryzoberyt, czerwieniejący w świetle lampy, kymofany o cienkich jak nić srebrnych żyłkach, perydoty o barwie pistacji, topazy o barwach różowego goździka i żółtego wina, karbunkuły z płomiennego szkarłatu o drżących czteropromiennych gwiazdach, ognisto-czerwone kamienie cynamonowe, pomarańczowe i fioletowe spinelle, ametysty z ich zmiennymi warstwami rubinu i szafiru. Lubiał złotą czerwień kamienia słonecznego, perłową biel kamienia księżycowego i załamującą się tęczę mlecznych opali. Sprowadził z Amsterdamu trzy szmaragdy o niezwyklej wielkości i bogactwie barw, posiadał turkus „de la vieille roche“, będący przedmiotem zazdrości wszystkich znawców.

Odkrywał też precudne historie o klejnotach. „Clericalis Disciplina“ Alfonsa wymienia węża o oczach z prawdziwego hiacyntu, a w romantycznej historii Aleksandra czytamy o zwycięscy Ematji, że znalazł w dolinie Jordanu węże „z naszyjnikami z prawdziwych szmaragdów na grzbietach“. Filostrates opowiada, że w mózgu smoka znajdowała się gemma, a potwora można było wprowadzić w magiczny sen lub zabić przez „ukazanie złotych liter i szkarłatnej szaty“. Zdaniem wielkiego alchemika Pierre de Boniface, diament czyni człowieka niewidzialnym, a agat indyjski wymownym. Karniol tłumi gniew, hiacynt sprowadza sen, a ametyst rozprasza opary wina. Granat wypędza demony, a hydropikus pozbawia księżyc jego barwy. Selenit rośnie i maleje wraz z księżycem, a malokeus,

zdradzający złodziei, rozpuszcza się tylko w krwi koźląt. Leonardus Camillus widział biały kamień, wyjęty z mózgu dopiero co zabitej ropuchy, niezawodny środek przeciw truciźnie. Bezoar, znaleziony w sercu antylopy, posiadał własności, łączące z zarazy. Podług Demokryta aspilaty, wyjęte z gniazd ptasich w Arabji, chronią ich właścicieli od niebezpieczeństwa pożaru.

Król Cejlonu podczas uroczystości koronacyjnej jechał przez miasto z wielkim rubinem w ręce. Bramy pałacowe Jana Kaznodziei były „zrobione z sardoniksów z wyrytym rogiem węża rogatego, aby nikt nie przeszedł z trucizną“. Na szczycie były „dwa złote jabłka z dwoma karbunkułami“, by we dnie świeciło złoto, a w nocy karbunkuły. W dziwnym romansie Lodge'a „Małgorzata z Ameryki“ jest wzmianka, że w komnacie królowej można było oglądać „wszystkie niewinne niewiasty całego świata, wyrzeźbione ze srebra, spoglądające przez piękne szkła z chryzolitów, karbunkułów, szafirów i zielonych szmaragdów“. Marco Polo widział, że mieszkańcy Zipangu, wkładają do ust zmarłych różowo zabarwione perły. Potwór morski, zakochany w perle, którą nurek wyłowił dla króla Perozesa, zabił złodzieja i przez siedem miesięcy opłakiwał swą stratę. Prokop opowiada, że gdy hunowie zwabili króla do głębokiego dołu, odrzucił perłę i nieodnaleziono jej już nigdy, mimo, że cesarz Anastazjusz obiecał wypłacić za nią pięćset funtów złota. Król Malabaru pokazywał pewnemu weneccjaninowi różaniec z trzystu czterech pereł, z których każda była poświęcona innemu bóstwu.

Gdy ksiązę de Valentinois, syn Aleksandra VI, odwiedził Ludwika XII Francuskiego, jego rumak był, według Brantôme'a, okryty girlandami ze złotych liści, a na kołpaku miał dwa rzędy rubinów, lśniących dużym

blaskiem. Karol Angielski jeździł w strzemionach, zawieszonych na czterystu dwudziestu jeden brylantach. Ryszard II miał kaftan, szacowany na trzydzieści tysięcy marek, wysadzany olbrzymiemi rubinami. Hall opisuje, że Henryk VIII, jadąc do Toweru przed koronacją, był ubrany w „suknię, przetykaną złotem, napierśnik wysadzany brylantami i innemi drogiemi kamieniami a wokół szyi miał wielki łańcuch z olbrzymich rubinów“. Faworyci Jakóba I nosili kolczyki ze szmaragdów, osadzone w filigranowem złocie. Edward II podarował Piers Gavestonowi zbroję z czerwonego złota, wysadzaną hiacyntami, łańcuch ze złotych róż usianych turkusami i wyszywaną perłami czapkę. Henryk II nosił rękawice po łokcie, ozdobione klejnotami, i miał rękawicę do polowania z sokołem, wyszytą dwunastoma rubinami i pięćdziesięcioma dwiema perłami urjańskimi. Kapelusz Karola Śmiałego, ostatniego księcia burgundzkiego z tego rodu, był obwieszony perłami w kształcie gruszki i wysadzany szafirami.

Jak ongi wspaniałe było życie! Jak okazałe w swym przepychu i strojności! Samo czytanie o zbytku dawnych czasów jest cudowne.

Potem zajął się haftami i gobelinami, które w zimnych mieszkaniach północnych ludów Europy zastępowały freski. Gdy zagłębił się w tym przedmiocie, — zawsze zaś posiadał niezwykłą zdolność całkowitego poddania się upodobaniu chwili — był nadzwyczaj przygnębiony rozmyślaniem nad zniszczeniem, jakie spowodził czas na te piękne i wspaniałe rzeczy. Przynajmniej on zdołał mu ująć. Mijało lato po lecie, żółte żonkile wielokroć zakwitały i usychały, okropne noce powtarzały historję jego hańby, lecz on pozostał niezmienny. Żadna zima nie tknęła jego twarzy ani nie

ruszyła jego kwitnącej urody. Jakże inaczej z rzeczami martwemi! Co się z niemi stało? Gdzie owa obszerna suknia o barwie krokusów, na której bogowie walczyli z gigantami, utkana przez ciemnowłose dziewczęta dla uciechy Ateny? Gdzie olbrzymie salarium, które Neron kazał w Rzymie rozciągać nad Colosseum, gdzie tytaniczny żagiel purpurowy, na którym było przedstawione gwiaździste niebo i Apollo na wozie, ciągnionym przez białe rumaki w złocistej uprzęży? Pragnąłby zobaczyć te przedziwne obrusy, utkane dla kapłana słońca, na których były wyobrażone wszystkie mięsiwa i łakocie, podawane na ucztach; śmiertelny całun króla Chilperyka z trzystu złotemi pszczołami; fantastyczne szaty, co wywołały oburzenie biskupa pontyjskiego, utkane w „lwy, pantery, niedźwiedzie, psy, lasy, skały, myśliwych — wszystko, co malarz wziąć może z natury“; lub suknię, noszoną przez Karola Orleańskiego, na której rękawach były wyhaftowane wiersze pieśni, zaczynającej się od słów „Madame, je suis tout joyeux“, muzyczny akompanjament do słów był utkany ze złotych nici, a każda z czworobocznych w tej epoce nut była zrobiona z czterech pereł. Czytał o komnacie w pałacu w Reims, urządzonej dla królowej Joanny Burgundzkiej, ozdobionej „tysiącem trzysta dwadzieścia jeden papug haftowanych, naznaczonych godłem króla, pięciuset sześćdziesiąt jeden motylami o skrzydełkach jednakowo wyszytych herbem królowej, wszystko ze złota“. Katarzyna Medycejska kazała sobie sporządzić łożo śmiertelne z czarnego aksamitu, obsypanego sierpami księżycy i słońcami. Baldachim był z adamaszku w liściaste wieńce i girlandy na złotem i srebrnem tle, brzegi obramowane haftami z pereł. Ustawiono je w komnacie, obwieszanej godłami królowej, wyciętymi

z czarnego aksamitu na srebrnej tkaninie. Ludwik XIV miał w swych pokojach złotem haftowane karjatydy, wysokości piętnastu stóp. Paradne łożo Sobieskiego, króla polskiego, było zrobione ze smyrneńskiego złotego brokatu, na którym turkusami wyhaftowano wersety z Koranu. Jego kolumny były ze złoczonego srebra, pięknie rzeźbione, obficie wysadżane medaljonami z emalii i klejnotów. Było zdobyte w obozie tureckim pod Wiedniem, a nad złotym szychem baldachimu powiewał sztandar Mahometa.

Przez cały rok gromadził najkosztowniejsze, jakie mógł znaleźć, okazy tkanin i haftów, sprowadzając wykwintne muśliny delhijskie, pięknie tkane złotą nicią w palmety i naszyte połyskliwymi skrzydełkami chrabąszczy; gazy dekkańskie, dla przejrzystości zwane na wschodzie „tkanem powietrzem“, „płynącą wodą“ i „rosą wieczorną“; dziwnie zrobione tkaniny jawajskie; kunsztowne żółte zasłony chińskie; książki oprawne w płowy atlas lub w piękny błękitny jedwab, wyściskany we „fleurs de lys“, ptaki i widoki; welony z „laticis“, szyte węgierskim ścięgiem; sycylijskie brokaty i sztywne aksamity hiszpańskie; wyroby gregorjańskie złotem obrzeżone i japońskie „Foukousas“ z ich zielonawem złotem i cudownie upierzonym ptactwem.

Szczególną namiętność miał też do szat kościelnych, jak zawsze miał do wszystkiego, co pozostawało w związku z kościelnym ceremonjałem. W długich skrzyniach cedrowych, ustawionych w zachodniej galerji jego domu, mieściły się rzadkie, piękne okazy tego, co jest istotnie strojem oblubienicy Chrystusowej, noszącej purpurę, klejnoty i cienkie tkaniny, by ukryć blade, zmęczone ciało, umierające z cierpienia, którego sama szuka, i krwawiące od ran, które sama sobie za-

daje. Posiadał zbytkowną kapę z karmazynowego jedwabiu i złotem tkanego adamaszku, zdobioną w powtarzające się złote girlandy z owoców granatu, osadzonych w sześciopalkowym regularnym kwieciu, obok których na odwrotnej stronie były szyszki, sztucznie zrobione z pereł. Stuły, podzielone na oddzielne pola, przedstawiały sceny z życia Przenajświętszej Dziewicy, a na czele kolorowemi jedwabiami wyhaftowano Jej ukoronowanie. Była to robota włoska z XV stulecia. Inna kapa była z zielonego aksamitu, zahaftowana ułożonemi w serca liśćmi akantu, z których na długich szypułkach wychodziły białe kwiaty, wykończone srebrnemi nićmi i różnobarwnemi kryształami. Wśród tego wyłaniał się koń morski z głową serafina, utkaną ze złota. Stuły, tkane we wzory z czerwonego i złotego jedwabiu, były obszyte medaljonami ze świętymi i męczennikami, między którymi znajdował się św. Sebastian. Miał też alby z jedwabiu barwy bursztynu, z błękitnego jedwabiu i złotego brokatu, z błękitnego jedwabnego adamaszku i złotej tkaniny, zdobne w stacje męki i ukrzyżowania Chrystusa, ohaftowane w lwy, pawie i inne godła; dalmatyki z białego ałtasu i różowego jedwabnego adamaszku, zdobne w tulipany, delfiny i „fleurs de lys“; obrusy ołtarzowe z karmazynowego ałtasu i niebieskiej tkaniny lnianej; różne korporaly, zastony na kielichy i ręczniki. Wyobraźnię jego podniecało mistyczne przeznaczenie, do jakiego służyły te przedmioty.

Wszystkie skarby i wszystko, co nagromadził w swym pięknym domu, uważał tylko za środki zapomnienia, za sposób, w jaki chciał schronić się na jeden sezon przed trwogą, która zdawała mu się czasami zbyt wielką, aby mógł ją znieść. Na ścianie pustego,

zamkniętego pokoju, w którym spędził znaczną część swego dzieciństwa, własnoręcznie zawiesił straszny portret, którego zmienione rysy ukazywały mu prawdziwe upodlenie jego życia. Zamiast portjery zasłonił go purpurowo-złotym całunem. Całemi tygodniami nie wchodził tam, pragnąc zapomnieć o ohydnych malowidle, odzyskać swe lekkie serce, swą przedziwną radość życia, swe namiętne oddanie się szczęśliwemu bytowi. Aż nagle pewnej nocy wymykał się znów z domu do owych wstrętnych lokali na Blue Gate Fields i pozostawał tam całemi dniami, dopóki go nie przepędzono. Po powrocie siadywał czasem przed obrazem, nieraz ze wstrętem, kiedyindziej odczuwając dumę indywidualności, zawierając w sobie połowę uroku grzechu, i uśmiechając się z tajemnym zadowoleniem do niekształtnego cienia, który niósł brzemię jemu przeznaczone.

Po paru latach nie był w stanie przebywać dłużej poza Anglią, sprzedał więc willę w Trouville, jaką miał wspólnie z lordem Henrykiem, oraz biały murowany domek w Algierze, gdzie obaj niejedną spędzili zimę. Nie znosił rozłąki z obrazem, który był częścią jego życia, i obawiał się, aby podczas jego nieobecności nie wtargnął kto do pokoju, pomimo wymyślnych sztab, w jakie zaopatrzył był drzwi.

Był zupełnie spokojny, że on sam przez się nikomu nic nie powie. To prawda, że pod ohydą i brzydotą oblicza portret wciąż zachowywał uderzające podobieństwo, ale co z tego można się dowiedzieć? Wyśmiałyby się z każdego, ktoby próbował drwić z niego. Przecież nie on go malował. Co go obchodzi, że obraz wygląda ohydnie i nikczemnie? Gdyby nawet powiedział prawdę, czyżby mu uwierzono?

Obawiał się jednak. Nieraz bawiąc na wsi, w swym wielkim domu w Nottinghamshire, otoczony światowemi młodemi ludźmi ze swej sfery, którzy byli jego stałym towarzystwem, gdy olśniewał całe hrabstwo wyzywającym przepychem i wystawnym zbytkiem swego sposobu życia, opuszczał nagle swych gości, w pośpiechu powracał do miasta, aby sprawdzić, czy drzwi są nienaruszone i czy obraz jest dalej na swym miejscu. Gdyby go skradziono? Sama myśl o tem napełniała go trwogą. Świat poznałby napewno jego tajemnicę. Kto wie, czy już się jej nie domyśla.

Choć wielu czarował, byli tacy, w których budził nieufność. Omal że nie przebalotowano go w klubie West Endu, pomimo że urodzenie i stanowisko społeczne uprawniały go w pełni, aby został jego członkiem, a opowiadano sobie, iż gdy przy jakiejś sposobności jeden z przyjaciół wprowadził go do salonu w Churchill, księżę Berwick i ktoś drugi w znaczący sposób powstali i wyszli. Dziwne krążyły o nim wieści, gdy ukończył dwudziesty piąty rok życia. Głoszono, że widziano go w bójce z cudzoziemskimi marynarzami w jakimś podłym szynku w odległej dzielnicy Whitechapel, że obcuje ze złodziejami i fałszerzami pieniędzy i że zna tajemnice ich zawodu. Zauważono jego niezwykle wyjazdy, a kiedy zjawiał się znów w towarzystwie, szeptano o nim po kątach, mijano go szyderczo, lub mierzono go zimnym, badawczym wzrokiem, jakby postanowiono odkryć jego tajemnicę.

Nie zwracał oczywiście uwagi na podobne afronty i drwiny, a w oczach większości jego szczere, dobroduszne usposobienie, czarujący, młodzieńczy uśmiech i niezmierny wdzięk cudownej młodości, która zdawała się nie opuszczać go nigdy, były dostateczną od-

powiedzią na oszczerstwa, bo za takie uważano krążące o nim wieści. Zauważono jednakże, iż niektórzy z tych, co obcowali z nim najbliżej, po pewnym czasie unikali go. Kobiety, które za nim szalały, dla niego narażały się na obmowę i łamały konwenanse, bladły ze wstydu lub trwogi, gdy Dorian Gray wchodził do salonu.

W oczach wielu jednak owe skandaliczne pogłoski podnosiły tylko jego dziwny i niebezpieczny urok. Jego majątek był też poważnym czynnikiem bezpieczeństwa. Społeczeństwo, a przynajmniej społeczeństwo cywilizowane, nie jest skłonne wierzyć w nic złego o ludziach bogatych i zachwycających. Ludzie instynktownie czują, że formy są ważniejsze od moralności, i w ich mniemaniu najwyższa uczciwość jest mniej warta, niż posiadanie dobrego kucharza. Zaiste, nędzna to pociecha, gdy o człowieku, podejmującym swych gości marnym obiadem lub kiepskim winem, opowiadają, że prowadzi nienaganne życie. Nawet najwyższe cnoty, jak to zauważył raz lord Henryk w rozmowie o tym przedmiocie, nie są w stanie okupić na pół zimnych potraw; i jest wcale możliwe, że określenie to dałoby się poważnie podtrzymać. Bo w dobrym towarzystwie obowiązują, lub obowiązywać winny te same zasady, co w sztuce. Forma jest tu rzeczą bezwzględnie najbardziej istotną. Winna posiadać dostojność obrzędu i jego nierealność, winna łączyć nieszczerzy charakter sztuki romantycznej z dowcipem i pięknnością, dzięki którym sztuki takie stają się dla nas rozkoszne. Czy nieszczerłość miałaby być czemś strasznym? Nie sądzę. Jest tylko środkiem, zwielokrotniającym naszą osobowość.

Takie było przynajmniej mniemanie Doriana

Graya. Dziwiła go płytka psychologja tych, co ludzkie ja uważali za coś trwałego, prostego i jednolitego. Dla niego człowiek był istotą o mirjadach żywotów i mirjadach wzruszeń, złożonem, różnolitem stworzeniem, noszącem w sobie dziwną spuściznę myśli i namiętności, którego ciało było nawet napiętnowane potwornymi chorobami umarłych. Lubił wałęsać się po zimnej, wysokiej galerji obrazów w swej wiejskiej posiadłości, aby przypatrywać się różnym portretom przodków, których krew płynęła w jego żyłach. Był tam Filip Herbert, o którym Francis Osborne w „Pamiętnikach z czasów panowania królowej Elżbiety i króla Jakóba“ opowiada, że był „pieszczony przez cały dwór gwoli pięknemu obliczu, którego urok był jednak krótkotrwały“. Czy nie wie dzie on niekiedy życia młodego Herberta? Czy dziwne trujące zarodki przechodziły z ciała do ciała, aż stały się jego własnością? Czy kierowało nim może jakieś niejasne odczucie owego przedwcześnie utraconego wdzięku, gdy tak nagle i bez żadnego powodu wyraził w pracowni Bazylego Hallwarda owe szalone życzenie, które tak odmieniło jego życie? Tam, w złotem tkanym, czerwienią podbitym, zdobnym w klejnoty kaftanie, w kołnierzu i mankietach ze złotą frendzlą widnieje pan Antoni Sherard z srebrno-czarną zbroją, złożoną u jego stóp. Jaką ten człowiek pozostawił mu spuściznę? Czy po kochanku Giovanny Neapolitańskiej odziedziczył jaki grzech i hańbę? Czy jego własne czyny nie były marzeniami, których zmarły nie śmiał urzeczywistnić? Tam z płowiejącego płótna uśmiecha się lady Elżbieta Devereux, w gazowym czepku, gorsecie przybranym perłami i różowych, rozciętych rękawach. W prawej ręce trzyma kwiat, a lewą przyciska naszyjnik, emaljowany w białe róże da-

masceńskie. Obok na stole leży mandolina i jabłko. Duże, zielone rozety zdobią jej małe, spiczaste trzewiki. Znał jej życie i ciekawe historie, jakie opowiadano o jej kochankach. Czy ma on w sobie coś z jej usposobienia? Te oczy owalne o ciężkich powiekach zdają się patrzeć nań z ciekawością. A Jerzy Willoughby z pudrowanymi włosami i fantastycznymi muszkami na twarzy? Jak on dziko spogląda! Twarz ma posępną i chmurną, a zmysłowe usta zdają się drgać pogardliwie. Cienkie mankiety koronkowe opadają na chude żółte ręce, przeładowane pierścieniami. Był on makaronistą osiemnastego wieku, w młodości swej przyjaźnił się z lordem Ferrars. A drugi lord Beckenham, towarzysz księcia regenta w jego najszaleńszych dniach i jeden ze świadków tajemnego ślubu z panią Fitzherbert? Jakże musiał być dumny i urodziwy ze swemi kasztanowatemi kędziorami i wyzywającą postawą! Jakie przekazał mu on namiętności? Świat patrzył na niego jak na infamisa. To on prowadził orgje w Carlton House. Na jego piersi błyszczy gwiazda orderu Podwiązki. Obok niego wisiał portret jego żony, czarno-ubranej, bladej damy o wąskich wargach. Także jej krew krąży w jego żyłach. Jakie to wszystko ciekawe! A jego matka z twarzą lady Hamilton i wilgotnemi, winem odświeżonemi ustami — wiedział, co wziął po niej. Dała mu jego piękność i jego namiętność do urody innych. Śmiała się do niego w swym swobodnym stroju bachantki. We włosach ma winne liście. Purpurowy strumień spływa z czary, którą trzyma w ręku. Barwy malowidła wyblakły, pozostały oczy wciąż cudowne w swej głębi i żywym blasku. Zdawały się śledzić go, gdzie się ruszył.

Równie dobrze, jak we własnym rodzie, można mieć przodków w literaturze, może nawet bliższych w typie i usposobieniu, a bezwątpienia wywierających wpływ bezwzględniej świadomy. Były chwile, gdy zdawało się Dorianowi Grayowi, że cała historia ludzkości była tylko opowieścią o jego własnem życiu, nie tem, które przeżywał w czynach i zdarzeniach, lecz tem, które sobie stwarzał w wyobraźni i które istniało w jego mózgu i namiętnościach. Czuł, że zna wszystkie te dziwne, straszne postacie, które przesunęły się przez scenę świata i uczyniły grzech tak czarującym a zło tak pełnem uroku. Zdawało mu się, jakby w jakiś tajemny sposób ich życie było jego własnem.

Bohater owej przedziwnej powieści, co taki wpływ miała na jego życie, znał był również to ciekawe urojenie. W rozdziale siódmym opowiada, jak uwieńczony wawrzynem, aby nie uderzył weń piorun, siedział, jako Tyberjusz, w ogrodzie na Capri, czytając bezwstydną księgę Elefantydy, podczas gdy karły i pawie krążyły wokół niego a fletnista szydził z niewolnika, palącego kadzidła; jako Kaligula upijał się w stajni z parobkami w zielonych kurtkach i razem z koniem ubranym w klejnoty jadł ze żłobu z kości słoniowej; jako Domician przechadzał się po korytarzu, wyłożonym lśniącem marmurami, szklanym wzrokiem szukając miecza, który miał skończyć dni jego życia, chory na ową nudę, to straszne *taedium vitae*, opanowujące tych, którym życie nie odmówiło niczego; przez przeźroczysty szmaragd patrzył na arenę cyrkową, w lektyce z pereł i purpury, zaprzężonej w muły w srebrnej uprzęży, był wieziony aleją drzew granatu do złotego pałacu, a po drodze słyszał, jak tłumy wołały: Nero Caesar; jako Helioabal, z twarzą barwnie umalowaną, kręcił wrze-

ciono wśród niewiast, sprowadzał księżyc z Kartaginy i w mistycznym ślubie łączył go ze słońcem.

Wielekroć razy odczytywał Dorian ten rozdział i dwa następne, w których niby na rzadkich kobiercach lub wytwornie wykonanych emaljach, odmaltowane były straszne i piękne kształty tych, których występek, krew i znużenie uczyniły potworami lub szaleńcami: Filippo, księżę medjolański, co zamordował swą żonę, a usta jej pomalował szkarłatną trucizną, by kochanek wyssał z nich śmierć wraz z pocałunkiem; Pietro Barbi, wenecjanin, znany jako Paweł II, który przez próżność przybrał tytuł Formosus, a tjarę swą, ocenianą na sto tysięcy florenów, nabył za cenę straszego grzechu; Gian Maria Visconti, który psami szczuła ludzi i którego zwłoki rozmiłowana w nim nierządnicą okryła różami; Borgia na białym rumaku z jadącym obok niego Fratricidą w płaszczu ociekającym krwią Perotta; Pietro Riario, młody kardynał-arcybiskup florencki, syn i ulubieniec Sykstusa IV, którego urodzie równało się tylko jego wyuzdanie i który przyjmował Leonorę Aragońską w namiocie z białego i karmazynowego jedwabiu, pełnego nimf i centaurów, a usługującego do uczt chłopca kazał ozłocić, aby wyglądał, jak Ganimedes lub Hylas; Ezzelino, leczący swą melancholję wyłącznie widokiem śmierci, łaknący czerwonej krwi, jak kto inny czerwonego wina, syn szatana, jak go nazywano, który oszukiwał ojca przy grze w kości, grając z nim o własną duszę; Giambatisto Cibo, co dla szyderstwa przybrał imię Inocentego, w którego starcze żyły lekarz żydowski wprowadził krew trzech młodzieńców; Sigismondo Malatesta, kochanek Izotty, księżę Rimini, którego obraz, jako wroga Boga i ludzi, spalono w Rzymie, on to zadusił obrusem Polyssenę, Gi-

newrze d'Este podał truciznę w szmaragdowej czarze, a na cześć haniebnej namiętności wystawił świątynię pogańską, by w niej odprawiano chrześcijańskie nabożeństwa; Karol VI, tak szalenie zakochany w żonie swego brata, że pewien trędowaty ostrzegał go przed szaleństwem, jakiemu uległ, a gdy mózg miał chory i opętany, jedynym środkiem łagodzącym były dlań karty saraceńskie z wizerunkami miłości, śmierci i szaleń; i w strojnym kaftanie, w żółtej czapce, z kędziorami na wzór akantu, Grifonetto Baglioni, morderca Astorra i jego narzeczonej, i Simonetto ze swym paziem, tak ujmująco urodziwy, że gdy umierał na żółtym placu w Peruwji, nawet ci, co go nienawidzili, oplakiwali go, i Atalanta, choć przeklinała go dawniej, wielbiła go.

Od nich wszystkich bił straszny czar. Widział ich przed sobą nocami i w dzień niepokoił jego wyobraźnię. Renesans znał przedziwne sposoby trucia, truto przez hełm, przez płonącą pochodnię, przez haftowaną rękawicę, przez klejnotami wysadzany wachlarz, przez złoty grzebień i przez łańcuch z bursztynów. Doriana Graya otruła książka. Były chwile, kiedy zło uważał tylko za środek, służący do urzeczywistnienia jego wyobrażenia o pięknie.

ROZDZIAŁ XII.

Było to, jak sobie później często przypominał, dziewiątego listopada w wilgę trzydziestej ósmej rocznicy jego urodzin.

Okolo godziny jedenastej w nocy wracał do domu z obiadu u lorda Henryka, otulony w ciężkie futro, gdyż noc była zimna i mglista. Na rogu placu Grosvenor i ulicy South Adley minął go we mgle mężczyzna w popielatym palcie z podniesionym kołnierzem, idący bardzo szybkim krokiem. W ręku miał walizkę. Dorian poznał go. Był to Bazyli Hallward. Zdjęło go dziwne uczucie trwogi, z którego nie umiał zdać sobie sprawy. Udając, że go nie poznaje, śpiesznie zdążył do domu.

Hallward dostrzegł go jednak. Dorian słyszał, że przystanął na bruku, a potem dopędzał go. Za parę chwil dotknął ręką jego ramienia.

— Dorianie! Co za nadzwyczajne szczęście! Mniej więcej od dziewiątej czekałem na ciebie w twojej bibliotece. Wreszcie zdjęła mnie litość nad twym znużonym służącym i, gdy wypuszczał mnie, powiedziałem mu, aby poszedł spać. Północnym pociągiem wyjeżdżam do Paryża i bardzo mi na tem zależało, aby zobaczyć cię przedtem. Poznałem cię, gdyś mnie mijał, a raczej twoje futro. Nie byłem jednak zupełnie pewny. A ty mnie nie poznałeś?

— W tej mgle, mój drogi Bazyli? Ledwie rozpo-

znałem plac Grosvenorski, Mniemam, że gdzieś w pobliżu znajduje się mój dom, ale nie jestem zupełnie tego pewny. Przykro mi, że właśnie odjeżdżasz, bo całe lata nie widziałem cię. Spodziewam się wszakże, że wrócisz niezadługo?

— Nie, wyjeżdżam z Anglii na pół roku. Mam zamiar wynająć pracownię w Paryżu i zamknąć się w niej, póki nie skończę wielkiego obrazu, który mam w głowie. Ale nie o sobie chciałem z tobą mówić. Oto jesteśmy przed twoją bramą. Pozwól mi wejść na chwilę. Mam ci coś do powiedzenia.

— Będzie mi bardzo miło. Ale czy nie spóźnisz się na pociąg? — powiedział znudzonym głosem Dorian Gray, gdy szli po schodach i otwierał drzwi z klucza.

W przedzierającym się przez mgłę świetle lampy Hallward spojrział na zegarek. — Mam kupę czasu, — odparł. — Pociąg odchodzi dopiero kwadrans po dwunastej, a teraz jest jedenasta. Szedłem właśnie do klubu, sądząc, że cię tam spotkam. Widzisz, że nie potrzebuję się troszczyć o bagaże, bo cięższe już wysłałem. Wszystko, co biorę ze sobą, jest w tej walizce, a na dworcu wiktoriańskim będę z łatwością za dwadzieścia minut.

Dorian popatrzył nań, uśmiechając się. — Tak podróżuje modny malarz! Ręczna walizka i paltol! Wejdz, bo mgła wtargnie do domu. Spodziewam się, że nie będziesz mówił o niczem poważnem. W dzisiejszych czasach niema nic poważnego. Przynajmniej nie powinno być.

Gdy wchodzili, Hallward zaprzeczył głową i za Dorianem podążył do biblioteki. Na szerokim kominku płonęło drzewo jasnym ogniem. Lampa świeciła się, a na inkrustowanym stoliku był przygotowany srebrny

serwis holenderski z likierami, kilka syfonów wody sodowej i duże kryształowe szklanki.

— Widzisz, Dorianie, jak podejmował mnie twój służący. Dał mi wszystko, czego pragnąłem, aż do twych najlepszych papierosów ze złotymi ustnikami. Bardzo gościnna istota. Wolę go od tego Francuza, którego miałeś. Ale co się z nim stało?

Dorian wzruszył ramionami. — Zdaje się, że ożenił się ze służącą od lady Radley i urządził jej w Paryżu angielską pracownię sukien. Słyszałem, że anglo-manja jest tam teraz w modzie. Wygląda to na głupotę ze strony Francuzów, nieprawdaż? Ale wiesz, to wcale nie był zły służący. Nie lubiałem go nigdy, ale nic nie miałem mu do zarzucenia. Nieraz wmawiamy sobie rzeczy zupełnie niedorzeczne. Był on do mnie naprawdę przywiązany i zdawał się bardzo strapionym, gdy odchodził. Pozwolisz brandy z wodą sodową? A może wolisz czerwone wino z wodą selcerską? Ja sam zawsze pijam czerwone wino z wodą selcerską. Jest napewno w sąsiednim pokoju.

— Dziękuję ci już za wszystko, — odrzekł malarz, zdejmując czapkę i płaszcz i składając je na walizce, którą postawił w kącie pokoju. — A teraz, mój drogi przyjacielu, chcę z tobą pomówić poważnie. Nie marszcz się z tego powodu. Utrudniasz mi tylko zadanie.

— O co ci chodzi? — zawołał Dorian zgryźliwie, wyciągając się na sofie. — Spodziewam się, że nie o mnie. Jestem dziś znużony sobą. Chciałbym być kim innym.

— Chodzi o ciebie, — odparł Hallward poważnym, głębokim głosem, — i muszę z tobą pomówić. Zajmę ci tylko pół godziny.

Dorian westchnął i zapalił papierosa. — Pół godziny! — mruknął.

— Niewiele żądam od ciebie, Dorianie, a jest to twoja własna sprawa. Uważam za słuszne, abyś dowiedział się o tych straszliwych rzeczach, które mówią w Londynie o tobie.

— Nic nie chcę o nich wiedzieć. Lubię plotki o innych, ale plotki o mnie nie obchodzą mnie. Brak im uroku nowości.

— Muszą cię obchodzić, Dorianie. Każdy człowiek honoru dba o dobre imię. Nie pozwolisz chyba, aby mówiono o tobie, jak o kimś nikczemnym i upadłym. Oczywiście, że posiadasz stanowisko, majątek i połączone z tem przywileje. Ale stanowisko i majątek nie są wszystkim. Wiedz, że nie wierzę w te wszystkie plotki. Przynajmniej nie wtedy, gdy widzę ciebie. Grzech znaczy się na twarzy człowieka. Ukryć go niepodobna. Mówi się wprawdzie o tajemnych występkach. Niema ich. Występek ukazuje się sam w linjach ust, w obwisłych powiekach, nawet w kształcie rąk. Ktoś, czyjego nazwiska nie wymienię, ale znasz go, był u mnie w tym roku, abym zrobił jego portret. Nigdy go przedtem nie widziałem ani nic o nim nie słyszałem, choć później dowiedziałem się wiele. Dawał mi niezwykłą cenę. Odmówiłem. W kształcie jego palców było coś dla mnie odrażającego. Teraz wiem, że moje wrażenie było zupełnie słuszne. Jego życie jest straszne. Ale ty, Dorianie, z twą czystą, otwartą, niewinną twarzą, z twą cudowną, nienaruszoną młodością, — nie mogę wierzyć w nic złego o tobie. Widuję cię jednak tak rzadko, nigdy nie przychodzisz teraz do mej pracowni, a gdy cię nie widzę i słyszę te wszystkie okropności, jakie o tobie opowiadają, sam nie wiem, co my-

śleć o tem. Dlaczego, Dorianie, taki człowiek, jak książę Berwick, wyszedł w klubie z pokoju, do którego ty wszedłeś? Dlaczego tylu ludzi z towarzystwa londyńskiego nie bywa u ciebie i nie zaprasza cię do siebie? Wszak z lordem Staveley byłeś zaprzyjaźniony. W zeszłym tygodniu spotkałem go na obiedzie. W rozmowie wymieniono twe nazwisko w związku ze zbiorem miniatur, które oddałeś na wystawę w Dudley. Staveley, krzywiąc usta, powiedział, że możesz posiadać najwyższy smak artystyczny, ale jesteś człowiekiem, z którym w tym samym pokoju nie powinna przebywać żadna niewinna dziewczyna i żadna uczciwa kobieta. Przypomniałem mu, że jestem twym przyjacielem i zażądałem wyjaśnienia. Dał mi je. Dał mi je wobec wszystkich. To było okropne! Dlaczego twa przyjaźń jest dla młodych ludzi tak szkodliwa? Ot, choćby ów nieszczęsny chłopiec z gwardji, co popełnił samobójstwo. Byłeś jego serdecznym przyjacielem. Albo pan Henryk Ashton, co ze szambionem nazwiskiem musiał opuścić Anglję. Byliście obaj nierozłączni. A Adrian Singleton i jego straszny koniec? A jedyny syn lorda Kent i jego karjera? Wczoraj spotkałem jego ojca na ulicy St. James. Jest złamany ze wstydu i żalu. A młody książę Perth? Jakież prowadzi on życie? Kto z towarzystwa zechciałby być z nim?

— Dosyć, Bazyli. Mówisz o rzeczach, o których nie masz pojęcia, — powiedział Dorian Gray, przygryzając wargi, z tonem niezmierniej pogardy w głosie. — Pytasz, dlaczego Berwick opuścił pokój, do którego wszedłem. Dlatego, że wiem o nim wszystko, a nie dlatego, że on miał coś wiedzieć o mnie. Z tą krwią, jaka płynie w jego żyłach, czyż żywot jego mógłby być czymś? Pytasz o Henryka Ashtona i o młodego Perth.

Czyż ja uczyłem pierwszego występków, a drugiego rozpusty? Jeżeli głupi syn Kenta bierze sobie żonę z ulicy, to cóż ja mam do tego? Jeżeli Adrian Singleton fałszuje na wekslu podpis przyjaciela, to czyż jestem jego opiekunem? Wiesz dobrze, jak się robi w Anglii plotki. Mieszczanstwo uprzyjemnia sobie swe obfite obiady przesadami moralnemi, objawiającemi się w opowieściach o tem, co nazywają rozwiązłością wyższych sfer, a w czem chodzi im o to, aby pochwalić się, że bywają w najwyższych kołach i że są w stosunkach z tymi, których oczerniają. W tym kraju wystarczy być jednostką wybitną i z głową, aby stać się pastwą wszystkich pospolitych języków. A jakież życie prowadzą ci ludzie, co odgrywają rolę stróżów moralności? Mój drogi przyjacielu, zapominasz, że przebywamy w ojczyźnie obłudy.

— Dorianie, — zawołał Hallward, — nie o to chodzi. Wiem dobrze, że Anglja jest zepsuta i społeczeństwo angielskie jest niesprawiedliwe. Właśnie dlatego pragnąłbym, abyś ty był dobrym. Nie byłeś dobrym. Ludzie mają prawo sądzić człowieka podług wpływu, jaki wywiera na przyjaciół. Twoi tracą poczucie honoru, cnoty i czystości. Wszczepiłeś w nich szalone pragnienie użycia. Poszli na dno. Ty ich wtrąciłeś tam, a jednak możesz się uśmiechać, jak uśmiechasz się teraz. Są gorsze rzeczy. Wiem, że z Henrykiem jesteście nierozłączni. Już choćby dlatego, jeśli nie dla niczego innego, nie powinienes okrywać hańbą imienia jego siostry.

— Ostrzegam cię, Bazyli, abyś liczył się ze słowami.

— Muszę mówić i ty musisz słuchać. Musisz wysłuchać! Zanim poznałeś lady Gwendolen, nie było na

niej ani cienia obmowy. Czyż jest teraz choć jedna przyzwoita kobieta, która zechciałaby pokazać się z nią w Parku? Nawet do własnych dzieci wzbroniono jej dostępu. Są inne jeszcze wieści, wieści, że widziano cię o świcie, jak wykradałeś się z podejrzanych domów, że odwiedzałeś w przebraniu najohydniejsze nory londyńskie. Czy to prawda? Czy to może być prawda? Roześmiałem się, gdy posłyszałem o tem poraz pierwszy. Posłyszałem znowu i przebiegł mnie dreszcz. A co mówią o twej siedzibie wiejskiej i życiu, jakie tam prowadzisz? Dorianie, ty nawet nie wyobrażasz sobie. Nie chcę zaprzeczać, że chciałbym powiedzieć ci kazanie. Przypominam sobie, że powiedział raz Henryk, że człowiek, który podejmuje się roli przygodnego kaznodziei, zawsze zaczyna od zaprzeczenia temu i łamie swe słowo. Ja chcę ci powiedzieć kazanie. Chcę, abyś prowadził takie życie, by szanowali cię wszyscy. Chcę, abyś miał czyste imię i dobrą opinię. Chcę, abyś zerwał z tymi okropnymi ludźmi, z którymi żyjesz. Nie wzruszaj tak ramionami. Przestań być obojętnym. Posiadasz niezwykły wpływ. Używaj go nie na zło, a na dobro. Opowiadają, że znieprawiasz każdego, z kim obcuje, i że wystarczy, byś wszedł do jakiegoś domu, a zniesławisz go lub coś podobnego. Nie wiem, czy jest tak, lub inaczej. Skąd mógłbym wiedzieć? Ale tak mówią o tobie. Słyszałem rzeczy nie podlegające wątpliwości. Lord Gloucester był w Oxfordzie jednym z najlepszych moich przyjaciół. Pokazywał mi list żony, pisany do niego, gdy umierała opuszczona w willi w Mentonie. Nazwisko twoje było wymienione w najstraszniejszym wyznaniu, jakie kiedykolwiek czytałem. Powiedziałem mu, że to niedorzeczność, że znam cię nawskróś i że byłbyś niezdolny do czegoś podobnego. Czy

znam cię? Pragnąłbym wiedzieć, czy cię znam? Zanim odpowiesz na to, chciałbym zobaczyć twą duszę.

— Zobaczyć mą duszę! — wyjąkał Dorian Gray, zrywając się z sofy i blednąc z przerażenia.

— Tak, — odparł Hallward poważnie i z głuchym żalem w głosie — zobaczyć twą duszę. Ale to może tylko Bóg.

Gorzki śmiech szyderstwa wydarł się z warg młodego mężczyzny. — Możesz zobaczyć ją sam, dzisiejszej nocy! — zawołał, biorąc ze stołu lampę. — Chodź, to twoje własne dzieło. Dlaczego nie miałbyś nań spojrzeć? Możesz potem opowiadać całemu światu, co tylko zechcesz. Nikt ci nie uwierzy. Gdyby ci powierzono, kochanoby mnie tym więcej. Znam świat lepiej od ciebie, choć prawisz o nim tak nudnie. Chodź, mówię ci. Nagadałeś się już dość o zepsuciu. Spojrzysz mu teraz w twarz.

Każde jego słowo było napelnione szaloną dumą. Tupał nogami z chłopięcą zuchwałością. Odczuwał straszną radość na myśl, że podzieli się z kimś innym swą tajemnicą i to z człowiekiem, który namalował portret, będący źródłem całej tej hańby, i że odtąd na całe życie obarczy go okropną pamięcią o tem, co uczynił.

— Tak, — mówił dalej, podchodząc doń i ostro spoglądając mu w oczy. — Pokażę ci moją duszę. Zobaczysz to, o czem sądziłeś, że może oglądać tylko Bóg.

Hallward cofnął się. — Ty bluźnisz Dorianie! — zawołał. — Nie wolno ci mówić w ten sposób. To byłoby strasne, a nie może być.

— Tak sądzisz? — Roześmiał się znowu.

— Wiem to. Wszystko, co ci dziś mówiłem, to dla twego dobra. Wszak wiesz, że byłem ci zawsze wiernym przyjacielem.

— Nie wtrącaj się do mnie. Kończ, coś miał do powiedzenia.

Twarz malarza skurczyła się wyrazem bólu. Umilkł na chwilę, gdyż owładnęło nim dzikie współczucie. Poza wszystkim, jakież prawo miał wdzierać się do życia Doriana Graya? Jeżeli popełnił, choć dziesiątą część tego, co o nim opowiadano, jak wiele musiał wycierpieć! Powstał sam, podszedł do kominka i, stanawszy przy nim, przyglądał się objętym płomieniami polanom, językom ognia i podobnemu do szronu popiołowi.

— Czekam, Bazyli, — odezwał się młody mężczyzna głosem stanowczym i jasnym.

Odwrocił się. — Tylko tyle mam ci do powiedzenia, — zawołał. — Musisz mi dać odpowiedź na to straszne oskarżenie, jakie ci robią. Jeżeli powiesz, że od początku do końca są nieprawdą, uwierzę ci. Powiedz to, Dorianie, powiedz! Czyż nie widzisz, co się ze mną dzieje? Mój Boże! nie mów mi, że jesteś złym, zepsutym i bezwstydnym.

Dorian Gray uśmiechnął się. Usta jego okryły się wzgardą. — Chodź na górę, Bazyli, — rzekł spokojnie. — Prowadzę pamiętnik mego życia, dzień po dniu i nigdy nie zabieram go z pokoju, w którym jest pisany. Pokażę ci go, jeśli pójdziesz ze mną.

— Pójdę, Dorianie, jeżeli tego chcesz. Widzę, że już spóźniłem się na pociąg. Nie szkodzi. Pojadę jutro. Nie żądam tylko, abym miał czytać cokolwiek dzisiejszej nocy. Chciałbym jedynie otrzymać szczerą odpowiedź na moje pytanie.

— Otrzymasz ją na górze. Tu ci jej dać nie mogę. Nie będziesz długo czytał.

ROZDZIAŁ XIII.

Wyszedł z pokoju i wstąpił na schody, Bazyli Hallward szedł tuż za nim. Szli cicho, jak odruchowo zwykło się chodzić w nocy. Lampa rzucała fantastyczne cienie na ściany i schody. Zrywający się wiatr bił w szyby.

Gdy stanęli na najwyższym schodzie, Dorian postawił lampę na podłodze, wyjął klucz i przekręcił go w zamku. — Czy nastajesz, Bazyli, aby się dowiedzieć? — spytał cichym głosem.

— Tak.

— Cieszy mnie to, — odparł z uśmiechem. Poczem dodał nieco cierpko, — jesteś jedynym człowiekiem na świecie, uprawnionym do tego, aby wiedzieć o mnie wszystko. Zajmujesz w mem życiu większe znaczenie, niż sam przypuszczasz, — i wzięwszy lampę, otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Wionął na nich zimny prąd powietrza i światło lampy zamigotało na chwilę ciemno - pomarańczowym płomieniem. Wstrząsnął nim dreszcz. — Zamknij za sobą drzwi, — wyszeptał, stawiając lampę na stole.

Hallward rozglądał się z wyrazem zdumienia. Pokój robił wrażenie od lat niezamieszkałego. Wyblakłe obicie flamandzkie, zasłonięty obraz, stara włoska cassone i niemal pusta półka na książki — to było wszyst-

ko, co tu zdawało się znajdować, oprócz krzesła i stołu. Gdy Dorian Gray zaświeceł stojącą na półce do połowy wypaloną świecę, zauważył, że cały pokój był pokryty kurzem i że w dywanie były dziury. Za obiciem ściennem harcowała mysz. Powietrze było zatęchłe od wilgoci.

— Więc myślisz, Bazyli, że tylko Bóg widzi duszę? Odsłoń tę firankę, a zobaczysz moją.

Głos, którym to mówił, był chłodny i okrutny.

— Oszalałeś, Dorianie, albo udajesz, — mruknął Hallward, marszcząc brwi.

— Nie chesz? Więc zrobię to sam, — rzekł młody mężczyzna, i zrywając zasłonę z gzymsu, rzucił ją na podłogę.

Okrzyk przerażenia wydarł się z ust malarza, gdy w słabem świetle zobaczył wykrzywającą się doń z płótna ohydłą twarz. W jej wyrazie było coś, napęniającego go wstrętem i obrzydzeniem. Boże! toż oglądał twarz Dorian Graya! Ohyda, jakkolwiek ona była, jeszcze nie zdołała całkowicie zniszczyć piękna. Rzadkie włosy lśniły jeszcze resztką złota, zmysłowe usta resztką szkarłatu. Wyblakłe oczy zachowały jeszcze resztkę ślicznego błękitu, wytworne nozdrza i kształtna szyja jeszcze niezupełnie zatraciły szlachetność rysów. Tak, to był Dorian we własnej osobie. Kto go jednak zrobił? Zdawał się rozpoznawać swój własny pędzel i rama była według jego rysunku. Potworną była myśl, która napawała go trwogą. Wziął zapaloną świecę i podniósł ją do obrazu. W lewym rogu było jego nazwisko, nakreślone dużymi literami jasnym cy-nobrem.

Była to jakaś podła parodja, nikczemna, niegodna satyra. On tego nigdy niemalował. A jednak to był jego

własny obraz. Poznawał go i poczuł, jak w jednej chwili płomienie jego krwi zaskrzepły w lód. Jego własny obraz! Co to ma znaczyć? Dlaczego jest zmieniony? Odwrócił się i spojrzał na Doriana Graya oczami chorego człowieka. Usta mu drżały, a zdrętwiałym językiem nie mógł poruszać. Przeciągnął ręką po czole. Było mokre od kroplistego potu.

Młody mężczyzna, wsparty o kaptur kominka, patrzył nań z tym dziwnym wyrazem, jaki widuje się na twarzach ludzi, zajętych grą którego z wielkich artystów. Nie było w nim ani prawdziwego żalu, ani prawdziwej radości. Była tylko namiętność widza z niejakim błyskiem triumfu w oczach. Wyjął ze swej butonierki kwiat i wachał go, lub przynajmniej udawał, że wacha.

— Co to ma znaczyć? — wykrzyknął w końcu Hallward. Jego własny głos brzmiał mu w uszach przerażliwie i obco.

— Przed laty, gdy byłem chłopcem, — powiedział Dorian Gray, mnąc kwiat w rękę, — spotkałeś mnie, schlebiałeś mi i nauczyłeś być próżnym z powodu urody. Pewnego dnia przedstawiłeś mi jednego ze swych przyjaciół, który wytłumaczył mi czar młodości, gdy wykończyłeś właśnie portret, który objawił mi cud piękności. W chwili szału, której dziś jeszcze nie wiem, czy żałuję, lub nie, wyraziłem życzenie, które nazwałbyś może modlitwą...

— Pamiętam to! Oh, jak dobrze pamiętam! Nie! to jest niemożliwe. Pokój jest wilgotny. Do płótna dostała się pleśń. Farby, których używałem, musiały zawierać jakieś przekłete jady chemiczne. Mówię ci, że to niemożliwe.

— Co jest niemożliwe? — wyszeptał młody męż-

czyzna, podchodząc do okna i przykładając czoło do zimnej, wilgotnej od mgły szyby.

— Mówiłeś mi, że sam go zniszczyłeś.

— To nieprawda. On mnie zniszczył.

— Nie wierzę, aby to był mój obraz.

— Nie poznajesz w nim swego ideału? — rzekł Dorian z goryczą.

— Mój ideał, jak go nazywasz...

— Jak ty go nazwałeś.

— Nie było w nim nic złego, nic haniebnego. Byłeś dla mnie takim ideałem, jakiego nigdy już nie spotkam. To jest twarz satyra.

— To jest oblicze mej duszy.

— Chrystusie! Kogóż ja ubóstwiałem! To są oczy szatana.

— Każdy z nas, Bazyli, nosi w sobie niebo i piekło, — zawołał Dorian z dzikim ruchem rozpacz.

Hallward zwrócił się znów do portretu i wpatrywał się weń. — Boże! to prawda, — zawołał, — i oto, co zrobiłeś ze swego życia, byłbyś więc znacznie gorszym, niż o tobie mówią i wyobrażają sobie! — Zbliżył świecę do płótna i badał je. Zewnętrznie wydawało się nienaruszonem, takim, jakim je zrobił. Zgnilizna i ohyda szły widocznie od wewnątrz. Przez niepojętą szybkość wewnętrznego życia, jad grzechu trawił stopniowo obraz. Rozkład trupa w wilgotnym grobie nie mógł być równie straszliwy.

Z lichtarza w jego drżącej ręce wypadła świeca na podłogę, paląc się dalej. Zgasił ją, depcząc nogą. Następnie osunął się na trzeszczące krzesło koło stołu i ukrył twarz w dłoniach.

— Boże litościwy, jakaż to nauka, Dorianie! jakaż straszna nauka! — Nie było odpowiedzi, ale sły-

szął, że młody mężczyzna pod oknem łkał. — Módl się, Dorianie, módl się, — wyszeptał. — Jak to nas nauczono w młodości? „Nie wódź nas na pokuszenie. Opuść nasze winy. Zbaw nas od złego“. Módlmy się razem. Modlitwa twojej próżności została wysłuchana. Będzie też wysłuchaną modlitwa twej skruchy. Ubóstwiałem cię za bardzo. Jestem za to ukarany. Ubóstwiałeś się sam zanadto. Jesteśmy obaj ukarani.

Dorian Gray obrócił się powoli i popatrzył nań oczami pociemniałymi od łez. — Zapóźno, Bazyli, — wyjąkał.

— Nigdy nie jest zapóźno, Dorianie. Klękniemy i spróbujemy przypomnieć sobie jaką modlitwę. Wszak Pismo mówi: „A choćby grzechy twe były, jak szkarłat, obmyję je, że będą bielsze ponad śnieg“?

— Słowa te nie znaczą dla mnie już nic.

— Cicho! nie mów tak. Dość już złego popełniłeś w swem życiu. Mój Boże! czy nie widzisz, jak ta niegodziwość urąga nam?

Dorian Gray spojrzał na obraz i nagle poczuł niepohamowaną nienawiść do Bazylego Hallwarda, jakby wzbudzoną w nim przez portret na płótnie, podszeptaną przez jego wykrzywione usta. Opanowała go obłądna wściekłość ściganego zwierzęcia, znienawidził człowieka, siedzącego przy stole gorzej, niż kiedykolwiek nienawidził w swem życiu. Rozglądał się dzikim wzrokiem. Naprzeciw niego błyszczało coś na wieku malowanej skrzyni. Zauważyły to jego oczy. Wiedział, co to jest. Był to nóż, który przyniósł tu przed paroma dniami, by odciąć kawałek sznura, i zapomniał go zabrać. Podszedł doń powoli, przechodząc obok Hallwarda. Gdy stanął za nim, chwycił za nóż i odwrócił się. Hallward poruszył się na krześle, jakby miał zamiar po-

wstać. Rzucił się na niego, wbił nóż w wielką tętnicę za uchem, i przycisnąwszy jego głowę do stołu, uderzał w nią raz po raz.

Rozlegały się stłumione jęki i straszliwe rżenie duszającego się od krwi. Trzy razy podnosiły się konwulsyjnie ręce, wymachując dziwacznie zeszywniałymi palcami. Jeszcze dwa razy uderzył weń, ale już się nie ruszał. Coś zaczęło ściekać na podłogę. Czekał jeszcze chwilę, wciąż przyciskając głowę. Potem położył nóż na stole i nadsłuchiwał.

Nic nie słyszał, oprócz kropli krwi, ściekających na zniszczony dywan. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. W całym domu panowała zupełna cisza. Nie czuwał nikt. Przez parę sekund stał pochylony przez balustradę, patrząc w czarną otchłań ciemności. Potem wyjął klucz, wszedł do pokoju i zamknął go od wewnątrz.

Ciało siedziało wciąż na krześle obok stołu z pochyloną nad nim głową, ze zgiętymi plecami i z dziwnie długimi rękami. Gdyby nie czerwona, poszarpana rana na karku i ciemna kałuża krzepnącej krwi, powoli rozlewającej się po stole, można by poprostu powiedzieć, że ten człowiek zasnął.

Jak szybko stało się to wszystko! Czuł się dziwnie spokojnym i, podszedłszy do drzwi oszklonych, otworzył je i wyszedł na balkon. Wiatr rozpędził mgłę i niebo wyglądało, jak olbrzymie pawie pióro, ugwieżdżone mirjadami złotych oczu. Spojrzał w dół i zobaczył policyjanta, jak obchodził ulice z latarnią, rzucającą podłużne promienie na bramy spokojnych domów. Na rogu błysnęło karmazynowe światło przejeżdżającej dorożki i znikło. Wzdłuż ogrodzenia wlokła się powoli, chwiejnym krokiem, kobieta w powiewającym szalu. Przy-

stawiała niekiedy, oglądając się. Zaczęła śpiewać ochrypłym głosem. Podszedł do niej policjant i coś powiedział. Zaśmiała się i powłókła dalej. Ostry podmuch zawiał przez plac. Lampy gazowe zamigotały, stały się błękitne, a bezlistne drzewa zatrzęsły czarnymi konarami. Zadrżał i wrócił do pokoju, zamykając za sobą balkon.

Doszedłszy do drzwi, przekręcił klucz w zamku i otworzył je. Na zamordowanego człowieka nawet nie spojrzał. Czuł, że chodzi teraz o to, aby nie zdawać sobie sprawy z położenia. Przyjaciół, który namalował fatalny portret, będący źródłem jego nędzy, przestał żyć. To wszystko.

Przypomniawszy sobie o lampie. Było to cacko maurytańskiej roboty z kutego srebra, inkrustowanego arabeskami z hartowanej stali, ozdobionych dużymi turkusami. Brak jej mógłby zauważyć służący i pytałby o nią. Wahał się przez chwilę, poczem wrócił i zabrał ją ze stołu. Nie mógł powstrzymać się, aby nie spojrzeć na martwe ciało. Jakie było spokojne! Jak okropnie białe wyglądały długie ręce! Było podobne do strasznej postaci woskowej.

Zamknawszy za sobą drzwi, cicho schodził po schodach. Trzaskały pod nim i zdawały się krzyczeć z bólu. Kilkakrotnie zatrzymywał się, nasłuchując. Nie, wszędzie była cisza. To był tylko odgłos jego własnych kroków.

Gdy wszedł do biblioteki, zauważył w kącie walizkę i płaszcz. Trzeba było usunąć je gdzieś. Otworzył tajemne drzwiczki w ściennym obiciu, gdzie ukrywał swe własne tajne przebrania, i tam schował te rzeczy. Myślał, że łatwo je spali później. Potem spojrzał na zegarek. Była za dwadzieścia druga.

Usiadł i zaczął rozmyślać. Co rok, co miesiąc niemal wieszano w Anglii ludzi za to, co on uczynił. W powietrzu unosił się jakiś szal morderstw. Jakaś czerwona gwiazda zbliżyła się do ziemi... Ale jakie poszlaki mogłyby być przeciw niemu? Bazyli Hallward wyszedł z domu o jedenastej. Nikt nie widział, że powrócił. Większość służby była w Selby Royal. Jego lokaj poszedł spać... Paryż! Tak. Bazyli pojechał do Paryża, pociągiem północnym, jak miał zamiar. Wobec jego dziwnego unikania ludzi, upłyną miesiące, zanim powstaną jakieś podejrzenia. Miesiące! Do tego czasu wszystko da się uprzątnąć.

Błysnęła w nim nagle myśl. Włożył na siebie futro i kapelusz i wyszedł do sieni. Zatrzymał się tam, nad słuchując powolnych, ciężkich kroków policjanta na bruku ulicy i śledząc w oknie odbłask jego latarki. Cekał z powstrzymanym w piersiach oddechem.

Po paru chwilach ujął za klamkę i wysunął się, bardzo cicho zamykając za sobą drzwi. Potem zadzwonił. Mniej więcej po pięciu minutach zjawił się służący, napół ubrany i mocno zaspany.

— Przykro mi, że musiałem cię budzić, Franciszku, — powiedział, wchodząc; — zapomniałem jednak klucza. Która godzina?

— Dziesięć po drugiej, jaśnie panie, — odparł służący, spoglądając mrużącemi oczami na zegar.

— Dziesięć po drugiej? Jak strasznie późno! Musisz mię jutro obudzić o dziewiątej. Mam coś do załatwienia.

— Słucham, jaśnie panie.

— Czy nie było nikogo wieczorem?

— Pan Hallward, jaśnie panie. Cekał tu do jedenastej, a potem poszedł na pociąg.

— Oh! Bardzo mi przykro, że nie widziałem się z nim. Czy nie zostawił jakiego zlecenia?

— Nie, jaśnie panie, mówił tylko, że jeśli nie znajdzie jaśnie pana w klubie, to napisze z Paryża.

— Dobrze, Franciszku. Nie zapomnij obudzić mnie jutro o dziewiątej.

— Słucham, jaśnie panie.

Służący poszłał w swych pantoflach przez korytarz.

Dorian Gray rzucił płaszcz i kapelusz na stół i przeszedł do biblioteki. Przez kwadrans chodził po pokoju tam i z powrotem, przygryzając wargi i myśląc. Z jednej z półek zdjął „Błękitną Księgę“ i zaczął przerzucać kartki. „Alan Campbell, 152, ulica Hertforda, Mayfair“. Tak; tego właśnie potrzebował.

ROZDZIAŁ XIV.

Nazajutrz o dziewiątej rano wszedł służący z filiżanką czekolady na tacy i otworzył okienice. Dorian spał zupełnie spokojnie, leżąc na prawym boku z ręką pod głową. Wyglądał, jak chłopiec, zmęczony zabawą lub nauką.

Służący musiał dwukrotnie poruszać go za ramię, zanim go obudził, a gdy otworzył oczy, przez usta jego przebiegł łagodny uśmiech, jakby się przebudził z rozkosznego snu. Nie miał jednak żadnych snów. Miał noc niezamąconą żadnymi obrazami rozkoszy czy cierpienia. Młodość uśmiecha się jednak bez powodu. Jest to jeden z jej głównych powabów.

Odwrócił się i, wsparty na łokciu, pił czekoladę. Łagodne słońce listopadowe wpływało do pokoju. Niebo było jasne, a powietrze przesycone miłym ciepłem. Było zupełnie, jak w poranek majowy.

Powoli zdarzenia ubiegłej nocy przedostawały się do jego mózgu cichymi krokami o krwawym śladzie, odtwarzając się ze straszną dokładnością. Drgnął na wspomnienie wszystkich swych cierpień i na chwilę poczuł znów ów dziwny wstręt do Bazylego Hallwarda, który kazał mu zabić siedzącego na krześle, potem ów wstręt ogarnął go znowu i wzrastał z chłodną namietnością. Trup wciąż tam siedział i teraz w świetle słoń-

ca. Jakie to było straszne! Rzeczy tak ohydne przeznaczone są dla mroku, nie dla dnia.

Czuł, że jeśli dalej będzie się nad tem zastanawiał, to rozchoruje się, albo dostanie obłądu. Istnieją grzechy, których urok tkwi więcej we wspomnieniu, niż w spełnianiu ich, dziwne triumfy, zadawalniające raczej dumę, niż namiętności, dające umysłowi wzmożone uczucie radości, znacznie większej od tej, jaką dają, lub dać mogą zmysły. Ale tu było inaczej. Była to rzecz, którą należało wygnać z myśli, uspić makiem, zdławić, aby samemu nie być zdławionym.

Gdy wybiło pół godziny, przeciągnął ręką po czole, podniósł się szybko i ubrał się sam z większą starannością, niż zazwyczaj, poświęcając wiele uwagi dobrowi krawata i szpilki i kilkakrotnie zmieniając pierścienie. Długo siedział przy śniadaniu, próbując rozmaitych dań, rozmawiając ze służącym o nowej liberji, jaką miał zamiar sprawić dla służby w Selby, i przeglądając korespondencję. Przy niektórych listach uśmiechał się. Trzy z nich zagniewały go. Jeden czytał kilka razy, wreszcie podarł go ze wzgardliwym wyrazem zniecierpliwienia. „Straszna to rzecz pamięć kobieca!“ — jak to powiedział kiedyś lord Henryk.

Po wypiciu czarnej kawy, powoli obtarł usta serwetką, skinął na służącego, aby zaczekał, przeszedł do biurka i napisał dwa listy. Jeden schował do kieszeni, drugi oddał służącemu.

— Odnies go zaraz, Franciszku, na ulicę Hertforda 152, a gdyby pana Campbella nie było w domu, zapytaj o adres.

Gdy pozostał sam, zapalił papierosa i na kawałku papieru zaczął szkicować kwiaty, motywy architektoniczne, wreszcie twarze ludzkie. Nagle zauważył, że

każda z twarzy, które rysował, zdawały się być zadziwiająco podobne do Bazylego Hallwarda. Zmarszczył brwi i, powstawszy, podszedł do półki z książkami i wyjął jedną naoslep. Postanowił nie myśleć o tem, co się stało, dopóki nie zajdzie konieczna tego potrzeba.

Gdy wyciągnął się na sofie, popatrzył na tytuł książki. Były to „Emaux et Camées“ Gautiera, w wydaniu Charpentiera, na japońskim papierze, z rysunkami Jacquemarta. Oprawa była ze skóry cytrynowo-zielonej z wyciskiem rysunku ze złotą kratą i pstremi owocami granatu. Dostał ją od Adrijana Singletona. Gdy przerzucał kartki, wzrok jego zatrzymał się na wierszu o ręce Lacenaire'a, owej zimnej, żółtej ręce, „du supplice encore mal lavée“, z jej meszkiem rudych włosów i z jej „doigts de faune“. Spojrzał na swe własne białe, smukłe palce, nieznacznie wzdrygnął się gniewnie, i dalej przerzucał kartki, aż zatrzymał się przy tych pięknych słowach o Wenecji: —

„Sur une gamme chromatique,
Le sein de perles ruisselant,
La Vénus de l'Adriatique
Sort de l'eau son corps rose et blanc.

Les dômes, sur l'azur des ondes
Suivant le phrase au pur contour,
S'enflent comme des gorges rondes
Que soulève un soupir d'amour.

L'esquif aborde et me dépose,
Jetant son amarre au pilier,
Devant une façade rose,
Sur le marbre d'un escalier“.

Jakież przecudne! Czytając, ma się wrażenie, jakby się płynęło po zielonych wodach miasta goździków i pereł, siedząc w czarnej gondoli o srebrnym dziobie i rozwianych firankach. Same wiersze wydawały mu się, niczem owe proste wstęgi turkusowego błękitu, biegnące za nami, gdy płyniemy na Lido. Nagłe błyski barw przypomniały mu lśniące opalem i tęczą upierzenie ptaków, latających dokoła wysokiej, podziurawionej Campanilli, albo kroczących z tak poważnym wdziękiem wzdłuż ciemnych, zakurzonych arkad. Oparłszy się wygodnie, z napół przymkniętymi oczami, powtarzał wciąż sobie: —

„Devant une façade rose,
Sur le marbre d'un escalier“.

W tych dwóch wierszach mieści się cała Wenecja. Przypomniawszy sobie spędzoną tam jesień i ową dziwną miłość, która popchnęła go do szalonych, rozkosznych wybryków. Wszędzie są romanse. Tylko że Wenecja, podobnie jak Oxford, zachowała tło romantyczne, a dla prawdziwego romantyka tło jest wszystkim, lub niemal wszystkim. Bazyli bawił tam z nim przez pewien czas i szalał za Tintorettem. Biedny Bazyli! jakie to okropne umrzeć w ten sposób!

Westchnął i wziął znowu książkę do ręki, starając się zapomnieć. Czytał o jaskółkach, wpadających i wyfruujących z kawiarenki smyrneńskiej, gdy agowie, siedząc, liczą swe paciorki bursztynowe, a kupcy w turbanach, paląc fajki na długich cybuchach, prowadzą poważne rozmowy; czytał o obelisku z placu de la Concorde, wylewającego na samotnem, bezsłonecznem wygnaniu lży granitowe z tęsknoty za pokry-

tym lotosami Nilem, za sfinksami, za czerwonemi jak róże ibisami, za białemi sępami o złocistych szponach i za krokodylami o małych oczach berylowych, pełzających po zielonym, parującym mule; dumał nad owemi wierszami, wydobywającemi muzykę ze skalanego pocałunkami marmuru, opiewającemi ów dziwny posąg, porównywany przez Gautiera z głosem kontraltowym, „monstre charmant“, spoczywający w komnacie porfirowej Luwru. Po pewnym czasie jednak książka wypadła mu z rąk. Opanowało go zdenerwowanie i przebiegł przezeń straszny wstrząs trwogi. Co będzie, jeżeli Alan Campbell wyjechał z Anglii? Przeminał całe dnie, za nim powróci. A może odmówi przyjścia. Co robić wówczas? Każda chwila miała poważne znaczenie.

Byli kiedyś wielkimi przyjaciółmi, przed pięciu laty, zaiste niemal nierozłącznymi. Nagle zażyłość ta ustała. Gdy spotykali się teraz w towarzystwie, tylko Dorian Gray się uśmiechał; Alan Campbell już nigdy.

Był to niezwykle mądry młody człowiek, mimo, że miał mało rzeczywistego zrozumienia dla sztuk plastycznych, a pewne słabe odczucie piękna poezji, jakie posiadał, zawdzięczał wyłącznie Dorianowi. Przeważającym zamiłowaniem jego umysłu była nauka. W Cambridge poważną część czasu spędził na pracy laboratoryjnej, a egzamin z nauk przyrodniczych zdał z odznaczeniem. Obecnie stale poświęcał się badaniom chemicznym, do czego urządził sobie własne laboratorium, w którym zamykał się po całych dniach, ku wielkiemu utrapieniu matki, marzącej dla niego o krześle w parlamencie i mającej mętne wyobrażenie, że chemik jest pracownikiem wykonującym recepty. Pozatem był jednak doskonałym muzykiem i grał na skrzypcach i fortepianie lepiej od wielu amatorów. Muzyka też była

pierwszym powodem jego zbliżenia z Dorianem Grayem, muzyka i ów nieuchwytny wpływ, jaki zdawał się wywierać Dorian, gdy tego pragnął, i naprawdę wywierał często bezwiednie. Poznali się u lady Berkshire na wieczorze, na którym grał Rubinstein, odtąd widywano ich zawsze razem w Operze i wszędzie, gdzie była dobra muzyka. Zażyłość ta trwała przez półtora roku. Campbell przebywał stale w Selby Royal albo na placu Grosvenorskim. Dla niego, jak dla wielu innych, Dorian Gray był cudownym i zachwycającym wzorem życiowym. Nie wiedziano, czy zaszła między nimi jaka sprzeczka. Zauważono jednak nagle, że spotykając się, mówią do siebie skąpo i że Campbell jakby wcześniej starał się opuszczać towarzystwo, w którym był obecny Dorian Gray. Zmienił się też bardzo, — bywał chwilami dziwnie przygnębiony, wydawało się, że nie lubiał słuchać muzyki i sam nie chciał nigdy grać, tłumacząc się, gdy go o to pytano, iż nauka zajmuje mu tyle czasu, że niema kiedy ćwiczyć się w muzyce. Istotnie było to prawdą. Z każdym dniem zdawał się być coraz bardziej zajęty biologją i jego nazwisko wymieniono raz lub dwa w którymś z kwartalników naukowych w związku z jakimiś ciekawymi badaniami.

Na tego człowieka oczekiwał Dorian Gray. Co sekundę spoglądał na zegar. Z każdą minutą wzmagał się strasznie jego niepokój. Wreszcie podniósł się i zaczął biegać po pokoju, wyglądając jak piękne zwierzę w klatce. Stawiał kroki długie i nierówne. Jego ręce były dziwnie zimne.

Czekanie stawało się nie do zniesienia. Czas zdawał mu się wlec ołowianemi stopami, a on sam jakby huraganem zapędzony na kraj czarnej przepaści czy

otchłani. Wiedział, co się tam na niego czai; widział to dokładnie i, drżąc, przyciskał wilgotne palce do płonących powiek, jakgdyby chciał mózg swój pozbawić wzroku, a źrenice wtłoczyć wgłąb oczodołów. Napróżno. Umysł nasyczał się swym własnym żerem, a wyobraźnia, stając się dziwną z trwogi, skręcała się i wiła, jak zwierzę smagane bólem, skakała, jak opętany pajac, i wykrzywiała się w coraz zmieniającej się masce. Wtem nagle czas dla niego stanął. Tak, owa ślepa, ciężko dysząca poczwara przestała się poruszać, a z zamarciem czasu, straszne myśli wypełzły zwinnie i ukazały mu wywleczoną z czeluści straszną przyszłość. Wpatrywał się w nią. Skamieniał z przerażenia.

Wreszcie otworzyły się drzwi i wszedł służący. Spojrzał nań szklanym wzrokiem.

— Pan Campbell, jaśnie panie, — powiedział służący.

Westchnienie ulgi wydobyło się ze spieczonych ust i na policzki wróciły rumieńce.

— Proś zaraz, Franciszku. — Czuł, że odzyskuje równowagę. Cała bojaźń minęła.

Służący, skłoniwszy się, wyszedł. Za parę chwil wszedł Alan Campbell z twarzą bardzo poważną i bladą, co uwydatniały jeszcze włosy czarne jak węgiel i ciemne brwi.

— Alanie! bardzo to ładnie z twojej strony. Dziękuję ci, żeś przyszedł.

— Postanowiłem nigdy już nie wchodzić do twojego domu, Grayu. Napisałeś jednak, że chodzi o śmierć lub życie. — Głos jego był twardy i zimny. Mówił z powolnym namysłem. W bystrem, badawczym spojrzeniu, którem mierzył Dorianą, widniała wzgarda. Trzymał

ręce w kieszeniach karakułowego palta i zdawał się nie spostrzegać ruchu, jakim był witany.

— Tak, jestto sprawa życia lub śmierci, Alanie, i więcej niż dla jednej osoby. Siadaj.

Campbell siadł na krześle za stołem, Dorian zajął miejsce naprzeciw. Spojrzenia ich spotkały się. W oczach Doriana był niezmierny żal. Wiedział, że strasznie było, co chciał uczynić.

Po chwili dręczącego milczenia, nachylił się i powiedział z wielkim spokojem, ale śledząc wrażenie każdego słowa na twarzy tego, do którego się zwracał, — Alanie, w zamkniętym pokoju na piętrze tego domu, w pokoju, do którego niema nikt dostępu, oprócz mnie, trup mężczyzny siedzi za stołem. Skonał dopiero przed dziesięciu godzinami. Nie zrywaj się, i nie patrz na mnie w ten sposób. Nie obchodzi cię, kto to jest, dlaczego umarł i jak umarł. Jedyne, co masz uczynić, to — —

— Przestań, Grayu. Nie chcę wiedzieć nic więcej. Czy mówisz prawdę, czy nieprawdę, nie obchodzi mnie to wcale. Całkowicie odmawiam współudziału w twych sprawach. Zachowaj swe okropne tajemnice dla samego siebie. Nie obchodzą mnie już wcale.

— Alanie, mogą cię obchodzić. Ta jedna sprawa zajmie ciebie. Bardzo mi cię żal, Alanie. Sam nie dam sobie jednak rady. Jesteś jedynym człowiekiem, który zdoła mnie ocalić. Jestem zmuszony wciągnąć cię w tę sprawę. Nie mam wyboru. Alanie, jesteś uczonym. Znasz się na chemji i podobnych rzeczach. Robiłeś doświadczenia. Masz teraz unieść to ciało na górze, unieść je tak, aby nie pozostał po nim żaden ślad. Nikt nie wie, że ta osoba weszła do domu. W obecnej chwili wszyscy sądzą, że jest w Paryżu. W ciągu mie-

sięcy nikt jej nie będzie poszukiwał. Gdy zaczną jej poszukiwać, nie będzie tu po niej ani śladu. Ty, Alanie, musisz ją i wszystko, co do niej należało, zamienić w garść popiołu, którą rozproszę w powietrzu.

— Oszalałeś, Dorianie.

— Oh, czekałem, byś nazwał mnie Dorianem.

— Mówię ci, że oszalałeś, oszalałeś, sądząc, że ruszę bodaj palcem, aby ci pomóc, oszalałeś, czyniąc mi to potworne wyznanie. Nic nie chcę mieć z tem do czynienia, cokolwiek to jest. Czy ty przypuszczasz, że dla ciebie narażałbym swą dobrą sławę? Co mnie obchodzi, co za szatańskie dzieło masz na górze?

— To samobójstwo, Alanie.

— Dobrze. Ale kto popchnął go do tego? Wyobrażam sobie, że ty.

— Więc wciąż odmawiasz mi pomocy?

— Oczywiście, że odmawiam. Nic nie chcę mieć z tem wspólnego. Nie mogę troszczyć się o twoją hańbę. Zasłużyłeś na nią. Nie żałowałbym cię, gdybyś został shańbiony, publicznie shańbiony. Jak śmiałeś z pomiędzy tylu ludzi na świecie żądać odemnie właśnie, abym przykładął rękę do tej ohydy? Myślałem, że lepiej znasz się na ludziach. Twój przyjaciel lord Henryk Wotton, który cię nauczył tylu rzeczy, niewiele nauczył cię psychologii. Nic nie skłoni mnie choćby do jednego kroku, aby dać ci pomoc. Pomyliłeś się w wyborze człowieka. Udaj się do któregośkolwiek z twych przyjaciół. Nie zwracaj się do mnie.

— Alanie, to było morderstwo. Zabiłem go. Nie wiesz, ile wycierpiałem przez niego. Jakikolwiek było moje życie, na to, że było takie, nie inne, on wpłynął więcej, niż biedny Henryk. On może nie chciał tego, ale taki był wynik.

— Morderstwo! Boże litościwy, Dorianie, a więc doszedłeś do tego? Nie będę cię przed nikim oskarżał. To nie moja rzecz. I bez tego zresztą możesz być pewny, że zostaniesz uwięziony. Nikt nie popełnia zbrodni, nie robiąc przytem jakiegoś głupstwa. Nic jednak nie chcę mieć z tem do czynienia.

— Trzeba, żebyś miał z tem do czynienia. Zaczekaj, zaczekaj chwilę; wysłuchaj mnie. Tylko wysłuchaj, Alanie. Wszystko, czego od ciebie żądam, to abyś wykonał pewne doświadczenie naukowe. Chodzisz do szpitali i kostnic i okropności, jakie tam robisz, nie wzruszają cię. Gdybyś znalazł tego człowieka w jakim ohydnyim pokoju prosektoryjnym albo w śmierdzącem laboratorium na ołowianym stole, z którego rynienkami ścieka czerwona krew, patrzyłbyś na niego, jako na doskonały przedmiot doświadczalny. Nie drgnąłby ci na głowie ani jeden włos. Nie przyszyłoby ci nawet na myśl, że popełniasz coś niesłusznego. Naodwrot, mnie-małbyś prawdopodobnie, że czynisz to dla ludzkości, że powiększasz zasób naszej wiedzy, że zaspakajasz ciekawość umysłów, albo coś podobnego. Nie żądam od ciebie niczego więcej nad to, co niejednokrotnie już robiłeś. Zniszczenie zwłok musi być nawet mniej straszne od doświadczeń, które przywykłeś wykonywać. Wiedz o tem, iż te zwłoki to jedyny dowód przeciwko mnie. Jeśli będą odkryte, jestem zgubiony; a muszą być odkryte, jeśli ty mi nie pomożesz.

— Wcale nie pragnę pomagać ci. Zapominasz o tem. To wszystko jest dla mnie poprostu obojętne. Nic z tem nie mam wspólnego.

— Błagam cię, Alanie. Pomyśl o mojem położeniu. Zanim przyszedłeś, omdlewałem z trwogi. Może sam pewnego dnia zaznasz trwogi. Nie! nie myśl o tem.

Spójrz na to wyłącznie ze stanowiska naukowego. Wszak nie pytasz, skąd pochodzą trupy, które bierzesz do doświadczeń. Nie pytaj i teraz. Powiedziałem ci już za wiele. Proszę cię jednak, zrób to dla mnie. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, Alanie.

— Nie wspominaj tamtych dni, Dorianie, one umarły.

— Umarli niekiedy opierają się. Ten człowiek na górze nie chce odejść. Siedzi przy stole z pochyloną głową i zwieszonemi rękami. Alanie! Alanie! jeżeli nie pomożesz mi, jestem zgubiony. Powieszają mnie, Alanie! Czy ty nie rozumiesz tego? Powieszają mnie za to, co zrobiłem.

— Na nic się nie przyda przedłużanie tej sceny. Stanowczo odmawiam jakiegokolwiek współudziału w tej sprawie. To jest szaleństwo, czego ty żądasz odemnie.

— Odmawiasz?

— Tak.

— Błagam cię, Alanie.

— Daremnie.

Ten sam wyraz żalu ukazał się w oczach Doriana Graya. Powoli wyciągnął rękę, wziął kawałek papieru i coś na nim napisał. Przeczytał to dwukrotnie, złożył starannie i przesunął na drugą stronę stołu. Uczyniwszy to, podniósł się i podszedł do okna.

Campbell patrzył na niego ze zdziwieniem, potem wziął papier i otworzył go. Gdy czytał, twarz jego stała się upiornie blada i opadł na krzesło. Zdjęło go uczucie strasznej choroby. Zdawało mu się, że serce jego w jakiejś pustej jaskini zatłucze się samo na śmierć.

Po dwóch lub trzech minutach okropnego milcze-

nia, Dorian odwrócił się, podszedł i stanął przy nim, kładąc rękę na jego ramieniu.

— Bardzo mi cię żal, Alanie, — wyszeptał, — nie dajesz mi jednak wyboru. Napisałem już list. Oto jest. Popatrz na adres. Jeśli nie pomożesz mi, będę musiał wysłać go. Jeśli nie pomożesz mi, wyślę go. Wiesz, jaki będzie wynik. Ale ty pomożesz mi. Niemożliwe, abyś mi teraz odmówił. Chciałem cię oszczędzić. Będziesz na tyle sprawiedliwy, aby mi to przyznać. Byłeś szorstki, twardy, obrażający. Postępowałeś ze mną tak, jak jeszcze nigdy nikt ze mną nie postępował, przynajmniej nikt z żyjących. Zniosłem to wszystko. Teraz ja będę dyktował warunki.

Campbell ukrył twarz w dłoniach i wstrząsnął nim dreszcz.

— Tak, Alanie, teraz na mnie kolej dyktowania warunków. Znasz je. Sprawa jest zupełnie prosta. Chodź, nie wprawiaj się sam w zdenerwowanie. To musi być zrobione. Popatrz mu w twarz i zrób.

Jęk wydarł się z ust Campbella, drżącego całym ciałem. Zdawało mu się, że cykanie zegara na kominu dzieli czas na oddzielne atomy agonji, z których każdy był zbyt ciężki, aby go unieść. Miał wrażenie, że dokoła jego czoła zaciska się powoli żelazna obręcz, jakby hańba, którą mu grozono, już na niego spadła. Ręka, spoczywająca na jego ramieniu, ciążyła mu ołowiem. Było to nie do zniesienia. Zdawało się miażdżyć go.

— Chodź, Alanie, musisz wkońcu zgodzić się.

— Nie mogę, — odparł odruchowo, jakgdyby te słowa mogły zmienić jego położenie.

— Musisz. Nie masz wyboru. Nie zwlekaj.

Wahał się przez chwilę. — Czy w pokoju na górze jest piec?

— Tak, jest piec asbestowo-gazowy.

— Muszę pójść do domu i wziąć parę rzeczy z laboratorium.

— Nie, Alanie, nie możesz opuścić tego domu. Napisz na kartce wszystko, co ci potrzeba, a mój służący weźmie dorożkę i przywiezie ci.

Campbell skreślił parę wierszy, wysuszył je bibułą i zaadresował kopertę do swego asystenta. Dorian wziął kartkę do rąk i przeczytał ją uważnie. Zadzwoił i dał ją służącemu z poleceniem możliwie najszybszego powrotu i przywiezienia rzeczy.

Gdy zamknęły się drzwi do sieni, Campbell powstał nerwowo i, odchodząc od krzesła, zbliżył się do kominka. Trząsł się, jak w febrze. Przez jakie dwadzieścia minut żaden z nich nie odezwał się. Mucha, brzęcząc, latała po pokoju, a cykanie zegara robiło wrażenie uderzania młotem.

Gdy wybiła godzina, Campbell odwrócił się i, patrząc na Dorianą Graya, zauważył, że jego oczy napełnione są łzami. W niewinności i wytworności tej smutnej twarzy było coś, co przyprawiało go o wściekłość. — Jesteś nikczemny, skończenie nikczemny! — wyszeptał.

— Cicho, Alanie, ocaliłeś mi życie, — rzekł Dorian.

— Twoje życie? Wielki Boże! co to za życie! Szedłeś od występku do występku, aby skończyć na zbrodni. Robiąc to, do czego mnie zmuszasz, wcale nie myślę o twym życiu.

— Ah, Alanie, — wyszeptał Dorian z westchnieniem, — chciałbym, abyś miał tysiączną część współ-

czucia, jakie ja mam dla ciebie. — Mówiąc to, odwrócił się i patrzył w ogród. Campbell nie odpowiadał.

Mniej więcej po dziesięciu minutach zapukano do drzwi i wszedł służący, wnosząc dużą skrzynię mahoniową z chemikaljami, długi zwój drutu stalowego i platynowego i dwoje dziwacznych szczypiec.

— Czy mam to pozostawić tutaj, jaśnie panie? — zapytał Campbella.

— Tak, — rzekł Dorian. — Przykro mi, Franciszku, ale mam dla ciebie jeszcze inne zlecenie. Jak się nazywa ten człowiek z Richmondu, co dostarcza orchideje do Selby?

— Harden, jaśnie panie.

— Tak — Harden. Otóż musisz zaraz jechać do Richmondu, zobaczyć się osobiście z Hardenem i powiesz mu, ażeby przysłał dwa razy więcej orchidei, niż zamówiłem, i możliwie najmniej białych. Najlepiej, aby wcale nie było białych. Jest ładny dzień, Franciszku, a Richmond jest bardzo piękną miejscowością, inaczej nie trudziłbym cię tem.

— Nic nie szkodzi, jaśnie panie. Kiedy mam być z powrotem?

Dorian spojrzał na Campbella. — Jak długo będzie trwało twoje doświadczenie, Alanie? — zapytał spokojnym, obojętnym głosem. Zdawało się, że obecność trzeciej osoby w pokoju nadzwyczajnie dodaje mu odwagi.

Campbell zmarszczył brwi i przygryzł wargi. — Potrwa około pięciu godzin, — odparł.

— Wystarczy więc, Franciszku, jeżeli wrócisz o pół do siódmej. Albo zaczekaj, przygotuj mi ubranie. Możesz spędzić wieczór poza domem. Na obiedzie nie będę w domu, więc nie będziesz mi potrzebny.

— Dziękuję jaśnie panu, — rzekł służący, wychodząc z pokoju.

— Teraz, Alanie, nie mamy chwili do stracenia. Jakżeż ciężka ta skrzynia! Zaniosę ci ją. Ty weź inne rzeczy. — Mówił szybko i w sposób rozkazujący. Campbell czuł się pod jego władzą. Razem wyszli z pokoju.

Gdy stanęli na najwyższym schodzie, Dorian wyjął klucz i obrócił go w zamku. Wtem zatrzymał się z wyrazem przestachu w oczach. Zadrżał. — Nie wiem, czy będę mógł wejść, Alanie, — wyszeptał.

— Jesteś mi zbyt czyny. Możesz mnie zostawić samego, — chłodno rzekł Campbell.

Dorian nawpół otworzył drzwi. W pełnem świetle słonecznem zobaczył szyderską twarz portretu. Obok niego leżała na podłodze podarta zasłona. Przypomniawsobie, że ubiegłej nocy poraz pierwszy w życiu zapomniał zasłonić fatalne płótno, i chciał już rzucić się naprzód, ale cofnął się z drżeniem.

Cóż za wstrętne czerwona rosa, wilgotna i błyszcząca, widniała na jednej z rąk, jakby płótno było pokryte krwią? Jakie to straszne! — wydało mu się to w tej chwili straszniejsze, niż milcząca bryła, o której wiedział, że jest oparta o stół, której dziwaczny niezdarne cień na poplamionym dywanie wskazywał mu, iż nie ruszyła się i pozostaje na tem miejscu, gdzie ją zostawił.

Głęboko zaczerpnął powietrza, otworzył drzwi nieco szerzej i wszedł do pokoju cicho z napół zamkniętymi oczami i odwróconą głową, postanawiając nie spojrzeć ani razu na trupa. Schylił się, podniósł złotopurpurową zasłonę i zarzucił ją na obraz.

Potem przystanął, obawiając się odwrócić i ma-

jąc oczy nieruchomo utkwione w zawiłym deseni, który miał przed sobą. Słyszał, jak Campbell wnosił ciężką skrzynię, żelazo i inne rzeczy, których potrzebował do swej strasznej pracy. Zaczynał zastanawiać się nad tem, czy znał on kiedy Bazylego Hallwarda, a jeśli tak, co wzajem o sobie myśleli.

— Zostaw mnie teraz, — odezwał się za nim ostry głos.

Odwrócił się i wybiegł, ledwo dostrzegając przechylonego na krześle trupa i Campbella, wpatrującego się w żółtą, świecącą twarz. Gdy schodził po schodach, słyszał, jak w zamku obracano klucz.

Było już dobrze po siódmej, gdy Campbell powrócił do biblioteki. Był błądy, ale zupełnie spokojny. — Zrobiłem, czego żądałeś, — zamruczał. — A teraz, do widzenia. Obyśmy się już nigdy nie spotkali.

— Ocaliłeś mnie od zguby, Alanie. Nie zapomnę ci tego, — poprostu rzekł Dorian.

Zaraz po odejściu Campbella poszedł na górę. W powietrzu czuć było straszną woń kwasu azotowego. Znikło jednak ciało, które siedziało przy stole.

ROZDZIAŁ XV.

Tegoż wieczora o pół do dziewiątej, Dorian Gray, wytwornie ubrany, z dużym pękiem fiołków parmeńskich w bułonicie, wśród głębokich ukłonów służby, wchodził do salonu lady Narborough. Tętna w skroniach biły mu gorączkowo i czuł się szalenie podnieconym, ale sposób, z jakim całował rękę pani domu, był równie swobodny i wdzięczny, jak zawsze. Być może, że człowiek nigdy nie czuje się tak swobodnym, jak wtedy, gdy ma do odegrania jakąś rolę. Napewno nikt z obecnych na tym wieczorze nie podejrzewał, że Dorian Gray przeżył tragedję straszniejszą, niż wszystkie tragedje naszych czasów. Te smukłe palce nigdy nie mogły trzymać morderczego noża, ani te uśmiechnięte usta bluźnić Bogu i miłosierdziu. On sam nie mógł powstrzymać się od podziwiania spokoju swego zachowania i przez chwilę żywo odczuwał strasliwą rozkosz podwójnego życia.

Towarzystwo było nieliczne, zebrane może w zbyt wielkim pośpiechu przez lady Narborough, bardzo mądrą kobietę, o której zwykł wyrażać się lord Henryk, że jest szczątkiem istotnie niezwyklej brzydoty. Była wzorową żoną jednego z najnudniejszych naszych ambasadorów, a gdy pochowała swego męża w marmurzym mauzoleum, wykonanem według jej własnego rysunku, i wydała swe córki za bogatych, nieco wie-

kowych mężów, poświęciła się sama rozkoszom francuskiej poezji, francuskiej kuchni i, o ile było to jej dostępne, francuskiemu dowcipowi.

Dorian był jednym z jej wyjątkowych ulubieńców i zawsze powtarzała mu, że jest niezmiernie zadowolona, że nie spotkała się z nim, za swych młodszych lat. — Wiem, mój drogi, — zwykła mówić, — że byłabym się w pana szalenie zakochała i dla pana puściłabym moją cnotę na wolę wiatrów. Wielkie szczęście, że wówczas nie mówiono jeszcze o panu. Zresztą cnota nasza była dość niedostępna, a wiatry tak zajęte obracaniem wiatraków, że nigdy z nikim nie miałam żadnego flirtu.. Pozatem zawinił tu głównie Narborough. Miał strasznie krótki wzrok, nie byłoby więc przyjemnością zdradzać męża, który nic nigdy nie widzi.

Tego wieczora goście jej byli dość nudni. Przyczyną było to, jak objaśniała Dorianowi z za bardzo zniszczonego wachlarza, że niespodziewanie przyjechała do niej jedna z zameżnych córek, a co jeszcze gorsze, przywiozła z sobą męża. — Uważam to, mój drogi, za najwyższy brak uprzejmości z jej strony, — wyszeptała. — Coprawda, odwiedzam ją każdego lata, gdy wracam z Homburga, ale kobieta w moim wieku potrzebuje czasami świeżego powietrza, a przytem ja ich naprawdę rozruszam. Nie wyobraża pan sobie, jakie oni prowadzą tam życie. Czyste, niezamącone życie wiejskie. Wstają wcześnie, gdyż mają dużo do roboty, spać idą wcześnie, bo mają mało do myślenia. W okolicy nie było ani jednego skandalu od czasów królowej Elżbiety, skutkiem czego po obiedzie wszyscy zapadają w drzemkę. Niech pan nie siada koło nich. Proszę siedzieć koło mnie i bawić mnie.

Dorian rzucił miłe słówko podziękowania i rozglądał się po salonie. Tak, towarzystwo było rzeczywiście nudne. Oprócz dwojga osób, które widział po raz pierwszy, znajdował się tu Ernest Harrowden, jedna z tych przeciętności w przeciętnym wieku, tak pospolitych w klubach londyńskich, pozbawiona wrogów, ale niecierpiana przez przyjaciół; lady Roxton, przesadnie ubrana kobieta czterdziestosiedmioletnia, z haczykowatym nosem, pragnąca ciągle uchodzić za skompromitowaną, ale tak osobliwie płytką, że ku jej wielkiemu rozczarowaniu nikt nigdy nie chciał wierzyć w żadną o niej plotkę; pani Erlynne, zupełne zero, rozkosznie szepleniące, o rudych włosach weneckich; lady Alicja Chapman, córka pani domu, niezdarnie głupie dziewczę, o jednej z tych charakterystycznych twarzy brytyjskich, których niepodobna zapamiętać; jej mąż, ogorzały jegomość z siwemi bokobrodami, mający jak wielu ludzi z jego środowiska, przeświadczenie, że niezwykła jowialność może zastąpić zupełny brak myśli.

Zaczął już żałować, że przyszedł, gdy spoglądając na wielki zegar brązowy, błyszczący niesmacznemi linjami na kominku ubranym w malwy, lady Narborough zawołała: — Jak to nieładnie ze strony Henryka Wottona, że się spóźnia! Na los szczęścia posyłałam do niego dziś rano i przyrzekł stanowczo, że nie zrobi mi zawodu.

Było to pewną pociechą, że Henryk przyjdzie, i gdy usłyszał, że drzwi otworzono i że zaczął usprawiedliwiać się nieszczerze swym cichym, melodyjnym głosem, pełnym wdzięku, przestał się nudzić.

Podczas obiadu nie mógł jednak nic jeść. Danie po daniu zabierano nietknięte. Lady Narborough gniewała się, nazywając to „obelgą dla biednego Adolfa,

który obmyślił menu wyłącznie dla pana“, a lord Henryk spoglądał nań co jakiś czas, dziwiąc się jego milczeniu i roztargnieniu. Służący raz po raz dolewał mu szampana. Pił gorączkowo, a pragnienie jego zdawało się wciąż wzmacniać.

— Dorianie, — rzekł wreszcie lord Henryk, gdy podawano *chaud-froid*, — co się z tobą dziś dzieje? Jesteś zupełnie nieswój.

— Podejrzewam, że się zakochał, — zawołała lady Narborough, — i nie chce się do tego przyznać z obawy, abym nie była zazdrosna. Ma zupełną słuszność. Napewno byłabym zazdrosną.

— Droga lady Narborough, — rzekł Dorian z uśmiechem, — od całego tygodnia nie byłem zakochany, tak jest, od wyjazdu pani de Ferrol.

— Mężczyźni, jakżeż możecie się kochać w tej kobiecie! — wykrzyknęła stara lady. — Doprawdy, nie mogę tego pojąć.

— To jedynie dlatego, że przypomina panią, lady Narborough, gdy była pani małym dziewczęciem, — powiedział lord Henryk. — Ona jest jedynym węzłem, łączącym nas z pani krótkimi sukniemi.

— Moich krótkich sukien, lordzie Henryku, ona nie pamięta. Bardzo dobrze jednak przypominam sobie ją z Wiednia przed trzydziestu laty, była wówczas bardzo wydekoltowana.

— Ona jest zawsze wydekoltowana, — odparł, biorąc oliwkę swemi długimi palcami; — a gdy ubierze się bardzo strojnie, wygląda jak „*édition de luxe*“ lichej powieści francuskiej. Ona jest naprawdę cudowna i pełna niespodzianek. Jej zdolność do uczuć rodzinnych jest wprost niezwykła. Po śmierci trzeciego męża, ze zmartwienia włosy jej stały się zupełnie złote.

— Jak możesz, Henryku! — zawołał Dorian.

— Bardzo romantyczne wyjaśnienie, — zaśmiała się pani domu. — Ale trzeci mąż, lordzie Henryku! Wszak nie chciał pan powiedzieć, że Ferrol jest czwartym?

— Owszem, lady Narborough.

— Nie wierzę panu ani słowa.

— Więc proszę zapytać pana Graya. Jest jednym z jej najbliższych przyjaciół.

— Czy to prawda, panie Gray?

— Tak ona przynajmniej zapewniała mnie, lady Narborough, — powiedział Dorian. — Zapytywałem ją kiedyś, czy jak Małgorzata z Nawarry, nosi przy pasku zabalsamowane serca swych mężów. Odpowiedziała, że nie, dlatego, że żaden z nich nie miał serca.

— Czterech mężów! Dalibóg, że „trop de zêle“.

— „Trop d'audace“, powiedziałem jej, — rzekł Dorian.

— Oh! na odwadze nie zbywa jej nigdy, mój drogi. A jakież jest Ferrol? Nie znam go.

— Mężowie bardzo pięknych kobiet należą zawsze do rzędu zbrodniarzy, — rzekł lord Henryk, pijąc wino.

Lady Narborough uderzyła go wachlarzem. — Lordzie Henryku, wcale się nie dziwię, że świat uważa cię za nadzwyczajnie złośliwego.

— Ale który świat tak twierdzi? — zapytał lord Henryk, podnosząc brwi. — To może być tylko inny świat. Ten świat i ja, jesteśmy w doskonałej zgodzie.

— Wszyscy moi znajomi twierdzą, że jest pan bardzo złośliwy, — zawołała stara lady, potrząsając głową.

Lord Henryk miał przez parę chwil poważny wyraz twarzy. — To doprawdy potworne, — powiedział

w końcu, — że ludzie za czyjemiś plecami mówią o kimś coś bezwzględnie i zupełnie prawdziwego.

— Czyż on nie jest niepoprawny? — zawołał Dorian, pochylając się na krześle.

— Tak sędzę, — powiedziała pani domu, śmiejąc się. — Skoro jednak rzeczywiście tak ubóstwiacie wszyscy panią de Ferrol, muszę znowu wyjść za mąż, aby stać się modną.

— Pani się już nigdy nie ożeni, lady Narborough, — wtrącił lord Henryk. — Zbyt pani była szczęśliwą. Kobieta wychodzi za mąż po raz drugi dlatego, że nienawidziła pierwszego męża. Gdy mężczyzna żeni się powtórnie, to dlatego, że ubóstwiał swą pierwszą żonę; kobiety próbują szczęścia, mężczyźni rzucają je na kartę.

— Narborough nie był doskonałością, — zawołała stara lady.

— Gdyby nią był, nie kochałaby go pani, droga lady, — brzmiała odpowiedź. — Kobiety kochają nas za nasze wady. Jeżeli mamy ich dosyć, wybaczą nam wszystko, nawet nasz rozum. Obawiam się, lady Narborough, że po tych słowach nie zaprosi mnie już pani na obiad; ale jest to pełna prawda.

— Zupełna prawda, lordzie Henryku. Gdybyśmy nie kochały was za wasze błędy, co by się z wami stało? Żaden z was nie mógłby się ożenić. Bylibyście gromadą nieszczęśliwych starych kawalerów. Zapewne, niebardzo-by to was zmieniło. Dziś wszyscy żonaci żyją, jak kawalerowie, a kawalerowie, jak żonaci.

— Fin de siècle, — mruknął lord Henryk.

— Fin de globe, — odparła pani domu.

— Chciałbym, aby to była fin de globe, — rzekł

Dorian z westchnieniem. — Życie jest wielkiem rozczarowaniem.

— Ale, mój drogi, — zawołała lady Narborough, naciągając rękawiczki, — niech pan nie mówi, żeś pan już wyczerpał życie. Jeśli mężczyzna tak mówi, to można mniemać, że życie go wyczerpało. Lord Henryk jest bardzo złośliwy i ja chwilami pragnęłabym być złośliwą; ale pan jest stworzony, aby być dobrym, wygląda pan tak dobrze. Muszę panu wyszukać piękną żonę. Lordzie Henryku, czy nie myśli pan, że pan Gray powinien się ożenić?

— Wciąż mu to powtarzam, lady Narborough, — odrzekł lord Henryk, skłaniając się.

— Doskonale. Musimy rozejrzeć się za stosowną dla niego żoną. Dziś wieczór uważnie przejrzę Debretta i przygotuję spis wszystkich możliwych młodych dam.

— Czy z podaniem wieku, lady Narborough? — zapytał Dorian.

— Oczywiście, że z podaniem wieku, ogólnie uznanego. Nic jednak nie należy robić w pośpiechu. Chciałabym, ażeby było to tem, co „The Morning Post“ nazywa właściwym związkiem i żebyście byli oboje szczęśliwi.

— Jakichże to niedorzeczności nie opowiada się o szczęśliwych małżeństwach! — zawołał lord Henryk. — Mężczyzna może być szczęśliwy z każdą kobietą, dopóki jej nie kocha.

— Ach! jaki z pana cynik! — zawołała stara lady, odsuwając swe krzesło i kiwając na lady Ruxton. — Musi pan znowu przyjść do mnie niebawem na obiad. Doskonały z pana środek pokrzepiający, dużo lepszy od tego, jaki mi przepisał pan Andrew. Musi mi pan

powiedzieć, jakie mam zaprosić towarzystwo. Postaram się o najlepszy dobór.

— Lubię mężczyzn z przyszłością i kobiety z przeszłością, — odpowiedział. — Przyzna pani, że tworzą razem dobrane towarzystwo?

— Tak myślę, — powiedziała, śmiejąc się, i powstała od stołu. — Stokrotnie przepraszam, droga lady Ruxton, — dodała, — nie zauważyłam, że pani nie skończyła papierosa.

— Nic nie szkodzi, lady Narborough. Palę przeważnie za wiele. Na przyszłość chciałabym się ograniczyć.

— Niech pani tego nie robi, — rzekł lord Henryk. — Każde ograniczenie jest zgubne. Umiarkowanie jest równie złe, jak posiłek. Nadmiar jest tak dobry, jak uczta.

Lady Ruxton spojrzała nań z zaciekawieniem. — Musi pan przyjść, lordzie Henryku, którego popołudnia wytłumaczyć mi to. To wygląda na zachwycającą teorię, — mówiła, przechodząc do salonu.

— Tylko nie zabawiajcie się zbyt długo polityką i plotkami, — zawołała ode drzwi lady Narborough. — Bo się napewno posprzeczamy.

Mężczyźni roześmieli się, a pan Chapman uroczyście wstał od końca stołu i przeniósł się na pierwsze miejsce. Dorian Gray zmienił krzesło, przesiadając się do lorda Henryka. Pan Chapman zaczął opowiadać ciężkim głosem o położeniu w Izbie gmin. Miotał gromy na swych przeciwników. Wyraz „doktryner“ — wyraz napełniający trwogą umysły brytyjskie — powtarzał się co pewien czas w jego wybuchach. Powtarzający się wyraz służy, jako upiększenie wymowy. Podnosił Związek Jakóba na szczyty myślowe. Dziedziczną głupotę

rasy — jak jowialnie określał angielski zdrowy rozsądek — ukazywał jako prawdziwą twierdzą społeczeństwa.

Uśmiech wykrzywił usta lorda Henryka, który odwracając się, spojrział na Doriana.

— Czy czujesz się lepiej, drogi przyjacielu? — zapytał. — Przy obiedzie wyglądałeś bardzo nieswojo.

— Jest mi zupełnie dobrze, Henryku. Jestem znużony. Nic więcej.

— Wczoraj wieczór byłeś zachwycający. Mała księżna jest tobą wprost oczarowana. Mówiła mi, że wybiera się do Selby.

— Obiecała przyjechać dwudziestego.

— Czy Monmouth będzie także?

— Ach, tak, Henryku.

— Nudzi mnie strasznie, niemniej, niż ją. Ona jest bardzo mądra, za mądra na kobietę. Brak jej tego nieokreślonego wdzięku słabości. Gliniane nogi podnoszą wartość złotego posagu. Jej nogi są bardzo piękne, ale nie są to nogi z gliny. Powiedzmy, że z białej porcelany. Przeszły przez ogień, a czego ogień nie zniszczy, to zahartuje. Ona ma za sobą doświadczenie.

— Jak dawno jest zamężna? — zapytał Dorian.

— Mówiła mi, że wieczność. Na podstawie herbarza, przypuszczam, że dziesięć lat, ale dziesięć lat z Monmouthem, to wieczność, pomnożona przez doczesność. Kto będzie więcej?

— Oh, Willoughbysowie, lord Rugby z żoną, nasza dzisiejsza gospodyni, Jerzy Clouston, zwykłe kółko. Zaprosiłem też lorda Grotriana.

— Lubię go, — rzekł lord Henryk. — Wielu go nie lubi, ale dla mnie jest czarujący. Pewną niekiedy

przesadę w ubraniu okupuje bezwzględną wysokością wykształcenia. Człowiek nawskróś nowoczesny.

— Nie wiem tylko, czy będzie mógł przybyć, Henryku. Ojciec chce go zabrać do Monte Carlo.

— Ah! jakże nieznośni bywają ludzie! Postaraj się, aby przyjechał. Ale, Dorianie, dlaczego uciekłeś wczoraj tak wcześnie. Wyszedłeś przed jedenastą. Coś robił później? Czy poszedłeś prosto do domu?

Dorian spojrzał nań przelotnie, marszcząc brwi. — Nie, Henryku, — rzekł w końcu, — wróciłem do domu dopiero koło trzeciej.

— Czy byłeś w klubie?

— Tak, — odparł. Potem zagryzł wargi. — Nie, nie to chciałem powiedzieć. Nie byłem w klubie. Wałęsałem się. Zapomniałem, gdzie... Jak ty dopytujesz się, Henryku! Zawsze chcesz wiedzieć, co kto robił. Ja zawsze staram się zapomnieć o tem, co robiłem. Wróciłem o pół do trzeciej, jeśli chcesz wiedzieć dokładną godzinę. Zostawiłem w domu klucz i wpuszczał mnie służący. Jeżeli chcesz potwierdzającego dowodu w tej sprawie, możesz go zapytać.

Lord Henryk wzruszył ramionami. — Mój drogi przyjacielu, jakżebyś śmiał! Przejdźmy do salonu. Nie, za sherry dziękuję panu, panie Chapman. Dorianie, miałeś jakąś nieprzyjemność. Powiedz mi, jaką. Nie poznaję cię dziś.

— Nie troszcz się o mnie, Henryku. Jestem rozdrażniony i nieswój. Przyjdę do ciebie jutro, lub pojutrze. Wy tłumacz mnie wobec lady Narborough. Ja wyjdę. Pójdę do domu. Muszę iść do domu.

— Dobrze, Dorianie. A zatem oczekuję cię jutro w porze podwieczorku. Będzie księżna.

— Postaram się przyjść, Henryku, — odpowie-

dział, wychodząc z pokoju. Jadąc do domu, uświadał sobie, że uczucie trwogi, jakie myślał, że zadusił, owłada nim znowu. Przypadkowe pytania lorda Henryka wyprowadziły go na chwilę z równowagi i chciał uspokoić swe nerwy. Trzeba zniszczyć wszystkie rzeczy niebezpieczne. Drgnął. Sama myśl o nich była mu nienawistną.

A jednak należało to zrobić. Postanowił to i, zamknawszy drzwi od biblioteki, otworzył tajną skrytkę, gdzie wrzucił płaszcz i walizkę Bazylego Hallwarda. Na kominku płonął ogień. Dorzucił doń parę polan. Smród płonącego sukna i palącej się skóry był okropny. Zanim się wszystko spaliło, upłynęło trzy kwadranse. Pod koniec uczuł się omdlewającym i słabym. Zapalił w kachelnicy kilka pastylek algierskich i obmył ręce i czoło zimnym octem piżmowym.

Nagle drgnął. Oczy jego dziwnie rozszerzyły się i zęby wpiły się nerwowo w dolną wargę. Pomiedzy dwoma oknami stała szeroka, hebanowa szafa florencka, wykładana kością słoniową i niebieskim lapisem. Patrzył na nią wzrokiem, wyrażającym zarazem zachwyt i przerażenie, jakby zawierała coś, za czem tęsknił i czego również nienawidził. Oddychał szybko. Ogarnęło go szalone pożądanie. Zapalił papierosa i rzucił go. Przymknął oczy tak, że długie rzęsy niemal dotykały policzka. Wciąż jednak wpatrywał się w szafę. Wkońcu powstał ze sofy, na której leżał, i podszedłszy do szafy, otworzył ją, dotykając jakiejś ukrytej sprężyny. Wysunęła się cicho trójkątna szuflada. Palce jego zbliżyły się do niej odruchowo, poczęły czegoś poszukiwać i coś uchwyciły. Była to mała szkatułka chińska z czarnej i ciemno-złotej laki, kunsztownie zrobiona. Boki przedstawiały wzburzone fale, a zwisający je-

dwabny sznur był zakończony krągłemi kryształkami i chwastami, skręconemi z metalowego drutu. Otworzył ją. Znajdowała się w niej zielona maść o woskowym połysku, o zapachu dziwnie ciężkim i oszalamiającym.

Przez kilka chwil wahał się, z dziwnie nieruchomym uśmiechem na twarzy. Dygotał, choć w pokoju było strasznie gorąco. Przeciągnął się i spojrzał na zegar. Była dwunasta za dwadzieścia. Schował szkatułkę na miejsce, zamknął szafę i przeszedł do sypialni.

Gdy spiżowe dźwięki w ciemności biły północ, Dorian Gray, w lichem ubraniu, w chustce owiniętej dookoła szyi, wymykał się pocichu ze swego domu. Na ulicy Bond znalazł dorożkę z dobrym koniem. Zawołał ją i cichym głosem podał woźnicy adres.

Woźnica wstrząsnął głową. — To dla mnie zadaleko, — mruknął.

— Oto dla was suweren, — rzekł Dorian. — Dostaniecie drugiego, jeśli pojedziecie prędko.

— Dobrze, jaśnie panie, — odparł woźnica, — będzie tam pan za godzinę, — zawrócił na miejscu i pojechał szybko w stronę rzeki.

ROZDZIAŁ XVI.

Zaczął padać zimny deszcz, a w wilgotnej mgłę latarnie uliczne wyglądały upiornie. Zamykano właśnie szynki i posępne grona mężczyzn i kobiet stały jeszcze u wejść. Z jakichś szynków dochodziły odgłosy przerażliwych śmiechów. Z innych pijackie wrzaski i kłótnie.

Wsparty o tył dorożki, z czapką nasuniętą na czoło, Dorian Gray obojętnie patrzył na ponurą hańbę wielkiego miasta, i co pewien czas powtarzał sobie słowa, wypowiedziane przez lorda Henryka w pierwszym dniu ich znajomości: „Leczyć duszę za pomocą zmysłów i zmysły za pomocą duszy“. Tak, to była tajemnica. Często stosował ją i chciał zastosować ją znowu. Istnieją wszak palarnie opium, gdzie można kupić zapomnienie, potworne nory, gdzie pamięć starych grzechów można unicestwić szalem grzechów nowych.

Księżyc zawisł nisko na niebie, niby żółta trupia czaszka. Od czasu do czasu ciężka, niezdarna chmura wysuwała swe długie ramię, aby go zasłonić. Lampy gazowe stawały się rzadsze i ulice węższe i ciemniejsze. Raz woźnica zmylił drogę i wracał z pół mili. Para unosiła się z konia, kłusującego przez błotne kałuże. Szyby dorożki przesłaniała szara, gęsta mgła.

„Leczyć duszę za pomocą zmysłów i zmysły za pomocą duszy!“. Jak te słowa brzmiały mu w uszach! Je-

go dusza była istotnie śmiertelnie chora. Czy to prawda, że zmysły ją uleczą? Przelano niewinną krew. Jakaż może być za to pokuta? Ah! to się nie da odpokutować; ale jeśli niemożliwe jest odpuszczenie, to zawsze jest możliwe zapomnienie, postanowił więc zapomnieć, wygnać to z pamięci, zdeptać, jak depcze się żmiję, gdy ukąsi. Bo i jakież prawo miał Bazyli, aby mówić do niego w ten sposób? Kto go uczynił sędzią nad drugimi? Mówił rzeczy straszne, okropne, nie do zniesienia.

Dorożka toczyła się z turkotem i wydawało mu się, że z każdym krokiem coraz wolniej. Odemknął drzwiczki i zawołał na woźnicę, aby jechał prędzej. Potworny głód opium zaczął go palić. W gardle mu zaschło, a wykwintne ręce zaciskały się kurczowo. Jak szalony, poganiał konia laską. Woźnica, śmiejąc się, popędzał go batem. I on się roześmiał, a wtedy woźnica zamilkł.

Droga wydawała się nieskończoną, a sieć ulic robiła wrażenie czarnej przędzy jakiegoś pełzającego pajaka. Jednostajność stawała się nie do zniesienia, a gęstniejąca mgła przyprawiała go o trwogę.

Potem przejeżdżali koło odludnych cegielni. Mgła była tu rzadsza, tak, że widoczne były piece o dziwacznym kształcie butelek z ich podobnemi do pomarańczowych wachlarzy językami ognia. Gdy tamtędy jechali, zaszczekał na nich pies, a gdzieś w oddali krzyczała jakaś zabłąkana mewa. Koń potknął się na jakimś wyboju, skoczył w bok i popędził galopem.

Po pewnym czasie wydostali się z gliniastej drogi i potoczyli się po źle brukowanych ulicach. W większości okien było ciemno, ale gdzieś na osłonach przyćmionych lamp rysowały się dziwaczne cienie. Patrzył na nie z ciekawością. Wyglądały, jak potworne

marjonetki i wykonywały ruchy, jakby były żywe. Były mu wstrętne. Opanowywała go ponura wściekłość. Na rogu jakiejś ulicy jakaś kobieta zakrzyczyła coś do nich z otwartych drzwi i dwóch ludzi biegło za dorożką jakie sto jardów. Woźnica dzielił ich batem.

Mówi się o namiętności, że ściąga nasze myśli do jednego koła. To też do krwi pokąsane wargi Doriana Graya dopóty powtarzały te przebiegłe słowa, dotyczące duszy i zmysłów, dopóki nie znalazł w nich pełnego wyrazu dla swego usposobienia w danej chwili oraz zgodnego z rozumem usprawiedliwienia namiętności, które i bez tego byłyby zawładnęły jego umysłem. W mózgu jego, z komórki do komórki pełzała ta jedyna myśl; i dzika żądza życia, straszniejsza od wszelkich pragnień ludzkich, naprężała każdy jego drgający nerw i każde włókno jego ciała. Brzydota, której niegdyś nienawidził, ponieważ nadawała rzeczom rzeczywistość, dla tejże przyczyny stawiała mu się teraz drogą. Brzydota była jedyną rzeczywistością. Prostacka zwada, wstrętne nora, surowa gwałtowność nieokiełzanego życia, naga nikczemność złodzieja i włóczęgi, w swej głębokiej bezpośredniości wrażenia, stawały się żywsze, niż wytworne kształty sztuki, cienie sennych marzeń. Tego mu było potrzeba, ażeby zapomnieć. Za trzy dni będzie wyzwolony.

Nagle woźnica zatrzymał się u wylotu ciemnego zaułka. Ponad niskimi dachami i zębatego szczytami kominów piętrzyły się czarne maszty okrętów. Zwoje białej mgły czepiały się lin, jak upiorne żagle.

— To gdzieś tutaj, prawda jaśnie panie? — zapytał z kozła woźnica chrapliwym głosem.

Dorian zerwał się i spojrzał wokół. — Tak, to tu, — odparł i, śpiesznie wyskakując z dorożki, dał woźnicy

obiecany napiwek, poczem popędził w stronę wybrzeża. Gdzieś tam płonęły latarnie na tyłach kilku wielkich statków kupieckich. Światło odbijało się migotliwie w falach. Czerwone blaski biły od wielkiego parowca, na który ładowano węgiel. Oślizgły bruk wyglądał, jak zmoczony płaszcz gumowy.

Pośpiesznie zawrócił na lewo, coraz się oglądając, czy go kto nie śledzi. Po siedmiu lub ośmiu minutach stanął przed lichym domkiem, wciśniętym między dwie nędzne fabryczki. W jednym z okien piętrowych świeciła się lampa. Zatrzymał się i zapukał w umówiony sposób.

Po krótkiej chwili usłyszał kroki w korytarzu i otwieranie drzwi z łańcucha. Drzwi odemknęły się cicho. Wszedł, nie powiedziawszy słowa do skulonej, drobnej postaci, usuwającej się przed nim w cień. W końcu korytarza wisiała podarta zielona zasłona, poruszająca się i szeleszcząca od ostrego wichru, który wpadł za nim z ulicy. Odsunął ją i wszedł do podłużnego, niskiego pokoju, który wyglądał, jakgdyby był kiedyś trzeciorzędą salą do tańca. Jaskrawe, migotające lampki gazowe, zawieszone wzdłuż ścian, odbijały się dziwacznie w lustrach, opstrzonych przez muchy. Znajdujące się za nimi brudne reflektory z blachy cynkowej rzucały drżące koła światła. Podłoga była posypana trocinami o barwie ochry, zdeptanymi miejscami w błoto i pokrytymi ciemnymi plamami rozlanych trunksów. Przy małym piecyku węglowym przykucnęło kilku małajczyków, grających w kości i ukazujących w rozmowie białe zęby. W jednym kącie spał nad stołem jakiś marynarz z głową ukrytą w ramionach, a przed jaskrawo pomalowanym szynkwasem, zajmującym całą jedną ścianę, dwie dziko wyglądające ko-

biety szydziły ze starca, który z obrzydzeniem czyścił rękawy swego palta. — Jemu się zdaje, że oblaży go czerwone mrówki, — zaśmiała się jedna z nich do przechodzącego Doriana. Człowiek spojrzał na nią z przerażeniem i zaczął stękać.

W głębi pokoju małe schodki prowadziły do ciemnej izby. Gdy Dorian przebiegł trzy uginające się schody, doleciała go ciężka woń opium. Głęboko zaczerpnął powietrza, a nozdrza zadrżały mu z rozkoszy. Gdy wszedł, młody mężczyzna o jedwabnych blond włosach, pochylony nad lampą, aby od jej ognia zapalić długą, wąską fajkę, spojrzał na niego i skłonił mu się z pewnem wahaniem.

— Ty tutaj, Adrjanie? — mruknął Dorian.

— A gdzie mógłbym być? — odparł ów obojętnie. — Nikt mnie teraz znać nie chce.

— Myślałem, że niema cię w Anglii.

— Darlington nic nie robi. Brat mój zapłacił w końcu rachunki. Poza tem Jerzy nie chce ze mną mówić... Wszystko mi jedno, — dodał w westchnieniu. — Dopóki się ma to, nie potrzeba przyjaciół. Zdaje mi się, że miałem ich za wielu.

Dorian wzdrygnął się i spojrzał wokoło na śmieszne postacie, leżące na porozkładanych materacach w dziwacznych pozach. Przykuwały jego wzrok ich powyginane członki, otwarte usta i szklane, nieruchome oczy. Wiedział, przez jakie przechodzili oni dziwne nieba udręki i jak ponure piekła uczyły ich tajemnicy nowej radości. Było im lepiej, niż jemu, niewolnikowi własnej myśli. Pamięć, jak straszliwa choroba, żarła mu duszę. Zdawało mu się czasami, że widzi patrzące nań oczy Bazylego Hallwarda. Czuł jednak, że nie będzie mógł tu zostać. Niepokoiła go obecność Adrjana

Singletona. Chciał być tam, gdzie go nikt nie zna. Chciał uciec sam przed sobą.

— Pójdę gdzieindziej, — powiedział po chwili.

— Na wybrzeże portowe?

— Tak.

— Będzie tam napewno ta warjotka. Tutaj już jej nie chcą.

Dorian wzruszył ramionami. — Zmęczyły mnie już kobiety, które kochają. Ciekawsze są te, które nienawidzą. Przytem, tam lepszy narkotyk.

— Ten sam.

— Smakuje mi lepiej. Chodź, napijemy się. Muszę się napić.

— Nic już chcieć nie mogę, — mruknął młody człowiek.

— Nikt nie będzie wiedział.

Adrian Singleton podniósł się leniwie i podążył za Dorianem do baru. Mieszaniec w podartym turbanie i wytartym surducie, wyszczerzając się ohydnie na powitanie, postawił przed nimi butelkę wódki i dwa kieliszki. Kobiety zbliżyły się i poczęły paplać. Dorian odwrócił się do nich tyłem i rzekł coś po cichu do Adriana Singletona.

Jedna z kobiet skrzywiła się w złym uśmiechu, podobnym do zmarszczki na malajskiej twarzy. — Jesteśmy dziś bardzo dumni, — zadrwiła.

— Na Boga, nie odzywaj się do mnie, — zawołał Dorian, tupiąc nogą. — Czego chcesz? Pienędzy? Masz. Ale nie odzywaj się już do mnie.

Dwie czerwone iskry zamigotały na chwilę w błędnych oczach kobiety, ale niebawem wróciły do poprzedniego wyrazu szklanej martwoty. Odrzuciła głowę

i chciwemi palcami zgarniała ze stołu pieniądze. Druga przyglądała się jej z zazdrością.

— Na nic, — westchnął Adrian Singleton. — Nie mogę wrócić. Zresztą poco? Jest mi tu zupełnie dobrze.

— Napisz do mnie, jeśli będziesz czego potrzebował, dobrze? — powiedział po chwili Dorian.

— Może napiszę.

— A więc, dobranoc.

— Dobranoc, — odparł młody człowiek, idąc po schodach i ocierając spalone usta chustką.

Dorian z wyrazem cierpienia na twarzy skierował się ku wyjściu. Gdy uchylił zasłony, ohydny śmiech wydarł się z malowanych warg kobiety, której dał pieniądze. — Odchodzisz, czarci synu! — zachichotała ochryple.

— Przekłeta! — odparł, — nie nazywaj mnie tak.

Trzasnęła palcami. — Wolałbyś, aby nazywano cię księciem z bajki? — zadrwiła za nim.

Na te słowa śpiący marynarz zerwał się na równe nogi i spojrzał dziko. Trzask zamykanych drzwi wpadł mu do uszu. Poskoczył, jakby ścigając.

Dorian Gray biegł wzdłuż wybrzeża w mżącym deszczu. Spotkanie z Adrianem Singletonem dziwnie go wzburzyło i zapytywał się, czy rzeczywiście jest odpowiedzialny za złamanie tego młodego życia, jak to powiedział mu Bazyli Hallward w tak wyzywającej obeldze. Zagryzł wargi i przez kilka sekund na oczach jego osiadł wyraz smutku. Poza wszystkim jednak, co go to obchodzi? Życie nasze jest zbyt krótkie, abyśmy brali na swoje barki brzemie cudzych win. Każdy żyje swem własnem życiem i za nie odpowiada. Szkoda tylko, że tak często trzeba płacić za raz popełniony błąd. Niejeden musi zaiste płacić wciąż na nowo.

W swych stosunkach z człowiekiem los nigdy nie zamyka rachunków.

Zdarzają się chwile, jak twierdzą psychologowie, kiedy żądz grzechu, lub tego, co świat nazywa grzechem, do tego stopnia owłada człowiekiem, że każde włókno ciała, każda komórka mózgu jest opanowana straszliwymi popędami. Mężczyźni i kobiety tracą w takich chwilach poczucie własnej woli. Odruchowo zdążają do swego przeraźliwego końca. Odjęta jest im wolność wyboru i zabite w nich sumienie, a jeśli żyje, to tylko po to, aby bunt ożywić czarem, a nieposłuszeństwo wdziękiem. Bo jak tego nie zapominają wciąż przypominać nam teolodzy, wszystkie grzechy są grzechami nieposłuszeństwa. Gdy ów szczytny duch, jutrzienka zła, spadał z niebios, był opanowany uczuciem buntu.

Zatwardziały, skupiony w złem, ze splugawioną myślą i duszą łaknącą buntu, Dorian Gray pędził przed siebie. Zwalniając kroku, skręcił w ciemny zaułek, którym zazwyczaj skracał sobie drogę do osławionego lokalu, dokąd zdążał. Nagle poczuł, że schwycono go z tyłu i, zanim zdążył pomyśleć o obronie, rzucono nim o mur a jakaś brutalna ręka schwyciła go za gardło.

Bronił, jak szalony, swego życia i po strasznym wysiłku udało mu się oderwać od szyi dławiące go palce. W tej samej chwili usłyszał trzask odwodzonego kurka i zobaczył błyszczącą lufę skierowaną tuż do jego głowy i ciemny kształt patrzącego nań niskiego, przysadzistego mężczyzny.

— Czego chcesz? — wykrztusił.

— Bądź cicho, — rzekł mężczyzna. — Jeden ruch, a zastrzelę cię.

— Jesteś szalony. Cóż ci zrobiłem?

— Zmarnowałeś życie Sybilli Vane, — brzmiała odpowiedź, — a Sybilla Vane była moją siostrą. Zabiła się sama. Wiem o tem. Za jej śmierć ty odpowiadasz. Przysiągłem, że zabiję cię, gdy powrócę. Szukałem cię całe lata. Nie miałem żadnej wskazówki, ani śladu. Tych dwoje, którzy mogliby cię opisać, nie żyje. Nie wiedziałem o tobie nic, oprócz pieszczotliwego imienia, którem zwykła była nazywać cię. Przypadkiem usłyszałem je dziś. Pojednaj się z Bogiem, bo dzisiejszej nocy umrzesz.

Dorian Gray omdlewał ze strachu. — Nigdy nie znałem jej, — wyjąkał. — Nigdy nie słyszałem o niej. Jesteś szalony.

— Wypowiadaj się lepiej ze swoich grzechów, bo jakim Jakób Vane, zapewniam cię, że umrzesz. — Była to straszna chwila. Dorian nie wiedział, co mówić, lub robić. — Na kolana! — warknął mężczyzna. — Na obrachunek z Bogiem daję ci minutę czasu, nie więcej. Dziś w nocy odjeżdżam do Indyj, więc muszę załatwić się z tobą. Jedna minuta. Nie więcej.

Dorian zwiesił ręce bezwładnie. Znieruchomiał od trwogi, nie wiedział, co ma robić. Nagle błysnęła mu w mózgu dzika nadzieja. — Stój, — zawołał. — Jak dawno zmarła twoja siostra? Mów prędzej!

— Przed osiemnastu laty, — rzekł mężczyzna. — Dlaczego o to pytasz? Co to może znaczyć?

— Przed osiemnastu laty, — roześmiał się Dorian Gray z odgłosem triumfu. — Przed osiemnastu laty! Postaw mnie pod latarnią i spójrz na moją twarz!

Jakób Vane wahał się przez chwilę, nie rozumiejąc, o co chodzi. Następnie uchwycił Dorianą Graya i powlókł go do rogu zaułka.

Pomimo słabego, na wietrze migocącego światła,

poznał jednak swą straszną omyłkę, w którą o mało co nie popadł. Twarz mężczyzny, którego chciał zabić, była w kwiecie chłopięcej młodości, miała jej nieskalaną czystość. Wyglądał na młodzieńca w wieku najwyższej lat dwudziestu, to jest niewiele więcej, niż miała jego siostra, gdy umierała przed tylu laty. Rzecz jasna, że to nie mógł być człowiek, który zmarnował jej życie.

Puścił go i zatoczył się w tył. — Boże! Boże! — zawołał, — o mało, a byłbym pana zamordował!

Dorian Gray głęboko odetchnął. — Człowieku, o mało, a byłbyś popełnił straszną zbrodnię, — powiedział, mierząc go ostrem spojrzeniem. — Niech ci to służy za przestrożę, że nie należy brać zemsty w swe własne ręce.

— Niech mi pan wybaczy, — mamrotał Jakób Vane. — Pomyliłem się. Przypadkowo usłyszane słowo w tej przeklętej norze zwiodło mnie na złą drogę.

— Idźcie lepiej do domu i schowajcie ten rewolwer, bo może to narazić was na nieprzyjemność, — powiedział Dorian, odwracając się i powoli skręcając w uliczkę.

Jakób Vane stał przerażony na kamieniach ulicznych. Drżał od stóp do głowy. Po krótkiej chwili czarny cień, przesuwający się chyłkiem wzdłuż wilgotnego muru, wyłonił się z ciemności i zbliżył się do niego skradającym się krokiem. Poczuł na swem ramieniu rękę i, drżąc, odwrócił się. Była to jedna z kobiet, pijących w barze.

— Dlaczego nie zabiłeś go? — syknęła, zbliżając swą dziką twarz tuż do jego twarzy. — Wiedziałam, że za nim wybiegłeś od Daly'ego. Głupcze! Powinieneś go być zabić. Ma moc pieniędzy, a jest gorszy od najgorszego.

— To nie jest człowiek, którego szukam, — odparł, — a pieniędzy nie potrzebuję od nikogo. Chcę czyjegoś życia. Człowiek, którego życie jest mi potrzebne, będzie teraz miał około czterdziestu lat. Ten to młody chłopiec. Dzięki Bogu, że niema jego krwi na mych rękach.

Kobieta zaśmiała się gorzko. — Młody chłopiec! — zachichotała. — Człowieku, toż mija osiemnaście lat, jak ten książę z bajki zrobił mnie tem, czem jestem.

— Kłamiesz! — zawołał Jakób Vane.

Wzniosła rękę ku niebu. — Przysięgam przed Bogiem, że mówię prawdę, — zawołała.

— Przed Bogiem?

— Niech oniemieję, jeśli jest inaczej. To jest najgorszy z tych, co tu przychodzą. Powiadają, że djabłu sprzedał duszę za swą ładną twarz. Już będzie osiemnaście lat, jak go poznałam. Od tego czasu niewiele się zmienił. Ale za to ja, — dodała z chorobliwym śmiechem.

— Przysięgasz?

— Przysięgam — powtórzyły ochryplem echem jej obwisłe wargi. — Tylko mnie nie zdradź przed nim, — zajęczała; — boję się go. Daj mi trochę pieniędzy na noc.

Z przekleństwem odskoczył od niej, wpadając za róg ulicy, ale Dorian Gray już zniknął. Gdy obejrzał się, kobiety też już nie było.

ROZDZIAŁ XVII.

W tydzień później w oranżerii Selby Royal rozmawiał Dorian Gray z piękną księżną Monmouth, bawiącą tam wśród gości wraz z mężem, przeżyłym mężczyzną lat około sześćdziesięciu. Była pora podwieczorku. Wysoka lampa stołowa, osłonięta koronkowym abażurem, rzucała łagodne światło na serwis z chińskiej porcelany i kutego srebra, koło którego krzątała się księżna. Jej białe ręce zgrabnie ujmowały filiżanki a jej pełne, czerwone usta uśmiechały się do czegoś, co szeptał jej Dorian. Lord Henryk przyglądał się im, wyciągnięty na fotelu trzcinowym, pokrytym jedwabiem. Na kanapie o brzoskwiniowych barwach siedziała lady Narborough, udając, że słucha opowiadania księcia o ostatnim chrańszczu brazylijskim, który udało mu się zdobyć do swych zbiorów. Trzech młodych mężczyzn w eleganckich smokingach częstowało panie herbatnikami. Towarzystwo składało się z dwunastu osób, a nazajutrz oczekiwano więcej gości.

— O czym państwo rozmawiacie? — rzekł lord Henryk, zbliżając się do stołu i stawiając nań swą filiżankę. — Przypuszczam, Gladys, że Dorian opowiadał ci o moim projekcie przemianowania wszystkich rzeczy. Jestto świetny pomysł.

— Ależ, Henryku, ja wcale nie chcę być przemianowaną, — odparła księżna, patrząc nań swemi cudow-

nemi oczami. — Jestem zupełnie zadowolona ze swego imienia i jestem pewna, że pan Dorian jest również zadowolony ze swego.

— Moja droga Gladys, nie chcę bynajmniej zmieniać waszych imion. Oba są doskonałe. Myślałem głównie o kwiatach. Wczoraj zerwałem orchideję do butonierki. Była cudownie nakrapiana, śliczna, jak siedem grzechów głównych. W bezmyślnej chwili zapytałem jednego z ogrodników o jej nazwę. Powiedział mi, że jest to piękny okaz Robinsoniany, czy coś równie okropnego. Smutna to prawda, ale zatraciliśmy zdolność nadawania rzeczom pięknych nazw. Nazwy są wszystkim. Nigdy nie sprzeczam się o czyny. Chodzi mi zawsze o słowa. Dlatego nienawidzę prostackiego realizmu w literaturze. Człowiek, który nazywa motykę motyką, powinien być skazany, aby nią kopał. To jest jego jedyne powołanie.

— Jakże mamy nazywać ciebie, Henryku? — zapytała.

— On się zowie książę Paradoxs, — rzekł Dorian.

— Poznaję go odrazu, — zawołała księżna.

— Nie chcę o tem słyszeć, — roześmiał się lord Henryk, opadając na fotel. — Niepodobna uchylić się od etykiety! Zrzekam się tytułu.

— Królewskiej mości abdykować nie wolno, — padła przestroga z pięknych ust.

— Mam więc bronić tronu?

— Tak.

— Rozdaję prawdy jutrzejsze.

— Przekładam błędy dzisiejsze, — odparła.

— Rozbrajasz mnie, Gladys, — zawołał, stosując się do jej swawoli.

— Tylko z tarczy, Henryku, a nie z oszczepu.

— Nigdy go nie podnoszę przeciw piękności, — zawołał, pochylając ręką.

— Wierzaj mi, Henryku, że to twój błąd. Przecenisz piękność.

— Jak możesz tak mówić? Przyznaję, że wyżej stawiam piękność, niż dobroć. Ale skądinąd nikt nie przyzna z równą gotowością, jak ja, że lepiej być dobrym, niż brzydkim.

— Brzydota jest więc jednym z siedmiu grzechów śmiertelnych? — zawołała księżna. — Cóż będzie z twem porównaniem do orchidei?

— Brzydota, Gladys, jest jedną z siedmiu cnót śmiertelnych. Jako dobra toryska, nie powinnaś lekceważyć jej. Piwo, biblja i siedem cnót śmiertelnych zrobiły z Anglii to, czem jest.

— Nie kochasz więc ojczyzny? — zapytała.

— Mieszkam w niej.

— Tem lepiej możesz ją smagać.

— Chciałabyś, abym miał o niej zdanie Europy? — zapytał.

— Co o nas mówią?

— Że Tartuffe wyemigrował do Anglii i otworzył tu swój sklep.

— Czy to twoje zdanie, Henryku?

— Odstępuję ci je.

— Niepotrzebne mi. Jest zbyt prawdziwe.

— Nie potrzebujesz obawiać się. Żaden z naszych współziomków nie rozpozna się w opisie.

— Są zbyt praktyczni.

— Więcej przebiegli, niż praktyczni. Gdy zamykają swą księgę główną, bilansują głupotę z majątkiem i występki z obłudą.

— A jednak dokonaliśmy rzeczy wielkich.

— Wielkie rzeczy, Gladys, były nam narzucone.

— Unieśliśmy ich brzemień.

— Nie dalej, jak do giełdy.

Zaprzeczyła głową. — Wierzę w naszą rasę, — zawołała.

— Przedstawia przeżytki gorliwości.

— Rozwija się.

— Mnie więcej pociąga upadek.

— A sztuka? — spytała.

— To jest choroba.

— Miłość?

— Złuda.

— Religja?

— Wytworny środek, zastępujący wiarę.

— Jesteś sceptykiem.

— Nigdy! Sceptycyzm jest początkiem wiary.

— Czemże jesteś?

— Określenie jest ograniczeniem.

— Daj mi wskazówkę.

— Nic się zrywa. Zgubiłabyś drogę w labiryncie.

— Zbijasz mnie z tropu. Mówmy o czym innym.

— Nasz gospodarz jest zachwycającym przedmiotem. Przed laty nazwano go księciem z bajki.

— Ah! nie przypominaj mi tego, — zawołał Dorian Gray.

— Nasz gospodarz jest dziś raczej nieuprzejmy, — odparła księżna, rumieniąc się. — Wydaje mi się, iż sądzi, że Monmouth ożenił się ze mną ze względów czysto naukowych, jako z najlepszym okazem współczesnego motyla, jaki umiał znaleźć.

— Mam jednak nadzieję, księżno, że nie wbije pani na szpilkę, — roześmiał się Dorian.

— Oh! panie Gray, robi to zawsze moja służąca, gdy jej dokuczę.

— A czemże mogłaby jej pani dokuczyć, księżno?

— Zapewniam pana, panie Gray, że z najblahszych powodów. Najczęściej dlatego, że gdy przychodzę za dziesięć dziewiąta, mówię jej, iż muszę być ubrana o w pół do dziewiątej.

— Jakże to nierozsądne z jej strony! Powinna ją pani odprawić.

— Nie mogę, panie Gray. Ona daje pomysły do moich kapeluszy. Przypomina pan sobie ten, jaki miałam na majówce u lady Hilstone? Pan nie pamięta, ale ładnie z pańskiej strony, że pan udaje. Otóż kapelusz ten zrobiła z niczego. Wszystkie dobre kapelusze są zrobione z niczego.

— Jak każda dobra sława, Gladys, — wtrącił lord Henryk. — Każde wrażenie, jakie potrafimy wywołać, stwarza nam nieprzyjaciół. Tylko miernoty bywają popularne.

— Tylko nie u kobiet, — powiedziała księżna, zaprzeczając głową; — a kobiety rządzą światem. Zapewniam cię, że nie znosimy miernot. Ktoś powiedział, że my kobiety kochamy uszami, jak wy mężczyźni kochacie oczami, o ile wogóle kochacie.

— Zdaje mi się, że nigdy nie czynimy nic innego, — wyszeptał Dorian.

— Ah! w takim razie, panie Gray, pan nigdy nie kochał naprawdę, — odparła księżna z udanym żalem.

— Moja droga Gladys! — zawołał lord Henryk. — Jak możesz tak mówić? Romans żyje przez powtarzanie, a powtarzanie przekształca żądzę w sztukę. Przytem miłość, którą przeżywamy, wydaje się nam zawsze jedyną. Rozmaitość przedmiotu wcale nie zmienia po-

czucia, że naniętność nasza jest jedyną. Potęguje ją tylko. W życiu możemy mieć co najwyżej jedno wielkie doświadczenie, a tajemnica życia polega na tem, aby doświadczenie to powtarzało się jaknajczęściej.

— Nawet, jeśli zadaje nam rany, Henryku? — po chwili zapytała księżna.

— Wówczas tem bardziej, — odparł lord Henryk.

Księżna odwróciła się i spojrzała na Doriana Graya z dziwnym wyrazem w swych oczach. — Co pan powie o tem, panie Gray? — zapytała.

Dorian wahał się przez chwilę. Wreszcie odrzucił głowę i roześmiał się. — Zawsze zgadzam się, księżno, z Henrykiem.

— Czy nawet wtedy, kiedy nie ma słuszności?

— Henryk, księżno, zawsze ma słuszność.

— A czy jego filozofja daje panu szczęście?

— Nigdy nie szukałem szczęścia. Kto szuka szczęścia? Szukam rozkoszy.

— I znajduje ją pan, panie Gray?

— Często. Nazbyt często.

Księżna westchnęła. — Ja szukam spokoju, — powiedziała, — i jeśli nie pójdę zaraz przebrać się, nie zaznam go dzisiajszego wieczora.

— Przyniosę pani kilka orchidei, księżno, — zawołał Dorian, podnosząc się i przechodząc do cieplarni.

— Flirtujesz z nim sromotnie, — rzekł lord Henryk do swej kuzynki. — Miej się lepiej na ostrożności. To człowiek czarujący.

— Gdyby był inny, nie byłoby walki.

— Zatem grecy przeciw grekom?

— Jestem po stronie trojan. Walczyli za kobietę.

— Zostali pobici.

— Istnieją rzeczy gorsze od klęski, — odparła.

— Pędzisz naoślep.

— Pęd daje życie, — brzmiała odpowiedź.

— Dziś wieczór zapiszę to sobie w dzienniku.

— Dlaczego?

— Bo dziecko, co się sparzyło, nie dmucha na gorące.

— Mnie ogień nie dotknął. Skrzydła mam nieopalone.

— Do wszystkiego ich używasz, tylko nie do ucieczki.

— Odwaga przeszła od mężczyzn do kobiet. Doświadczenie dla nas to nowe.

— Masz rywalkę.

— Kogo?

Roześmiał się. — Lady Narborough, — wyszeptał. — Ubóstwia go.

— Przerażasz mnie. Zamiłowanie do starożytności jest niebezpieczne dla nas, romantyków.

— Romantyków! Posługujesz się metodą naukową.

— Kształcili nas mężczyźni.

— Ale was nie nauczyli.

— Określ nas, jako płeć, — padło wyzwanie.

— Sfinksy bez tajemnic.

Spojrzała nań z uśmiechem. — Jakże długo nie wraca pan Gray! — rzekła. — Chodźmy mu pomóc. Nie podałam mu nawet koloru swej sukni.

— Ah! Gladys, kolor sukni musisz dostosować do jego kwiatów.

— Byłoby to poddanie się przedwczesne.

— Sztuka romantyczna zaczyna się w punkcie kulminacyjnym.

— Chcę sobie zachować możliwość odwrotu.

— Na wzór partów.

— Oni znaleźli ocalenie w pustyni. Nie zdobyłabym się na to.

— Kobietom niezawsze jest dane prawo wyboru, — odparł, zaledwie jednak dokończył zdania, gdy z głębi cieplarni doleciał zdławiony jęk, a potem głuchy łoskot ciężkiego upadku. Wszyscy się zerwali. Księżna znieruchomiała z przerażenia. Z trwogą w oczach pobiegł lord Henryk wśród obwisających palm i ujrzał Doriana Graya, leżącego w śmiertelnem omdleniu twarzą do ceglanej posadzki.

Przeniesiono go niezwłocznie do błękitnego salonu i położono na jednej z sof. Po krótkiej chwili wrócił do przytomności i rozglądał się wokół z wyrazem zmieszania.

— Co się stało? — zapytał. — Ah! przypominam sobie. Czy tu jestem bezpieczny, Henryku? — Zaczął drzeć.

— Mój drogi Dorianie, — odparł lord Henryk, — jesteś widocznie znużony. Nic więcej. Musisz odpocząć. Nie przychodź lepiej do obiadu. Zastąpię cię.

— Owszem, wolę przyjść, — powiedział, wstając. — Wolę przyjść. Nie chcę być sam.

Poszedł do swego pokoju, aby się przebrać. Przy stole okazywał dziką, niepohamowaną wesołość, ale od czasu do czasu przebiegał go dreszcz trwogi, gdy przypominał sobie, że widział przylepioną do szyby cieplarni, jak białą chustę, czyhającą nań twarz Jakóba Vane.

ROZDZIAŁ XVIII.

Następnego dnia wcale nie wychodził z domu i prawie cały czas spędził w swym pokoju, chory z dzikiej trwogi przed śmiercią, choć zobojętniały dla życia. Całkowicie owładnęła nim świadomość, że jest ścigany, śledzony i prześladowany. Drżał, gdy powiew wiatru poruszał firankami. Martwe liście, miotane o szyby poprawne w ołów, wydawały mu się, niby jego własne rozpiezchłe postanowienia i gorące żale. Gdy zamknął oczy, za mokrą od deszczu szybą widział znowu czyhającą nań twarz marynarza i serce jego ścisnęło się od przerażenia.

A może to tylko złuda, którą zemsta wywlokła z mroku, ukazując mu okropne widmo kary. Życie było chaosem, ale wyobraźnia ma jakąś straszną logikę. To wyobraźnia sprowadza wyrzuty sumienia na trop grzechu. To wyobraźnia sprawia, że każda zbrodnia nosi w sobie brzemień potwornego płodu. W zwykłym świecie rzeczywistości złych nie spotyka kara, ani dobrych nagroda. Powodzenie należy do silnych, niepowodzenie jest udziałem słabych. Nic nadto. Przysięgam, gdyby jaki obcy człowiek wałęsał się koło domu, zauważyłaby go służba lub stróż. Gdyby znaleziono ślady stóp na grzędach kwiatów, powiedzieliby mu o tem ogrodnicy. Tak, to tylko złuda. Brat Sybilli Vane nie wrócił, by go zamordować. Wsiadł na swój okręt,

aby zginąć w jakiejś burzy morskiej. Od niego mógł się conajmniej czuć bezpiecznym. Wszak człowiek ten nawet nie wiedział, kim on był, nie mógł tego wiedzieć. Ocaliła go maska młodości.

A jednak, jeśli to było złudzeniem, jakże straszną jest myśl, że sumienie może wywoływać równie okropne mary, nadawać im kształty widzialne i poruszać niemi! Jakież to będzie życie, jeśli dniem i nocą cienie zbrodni będą nań czyhały ze spokojnych kątów, szydzić zeń z tajemnego ukrycia, szeptać mu do uszu podczas uczt, budzić go ze snu lodowatemi palcami! Gdy myśl ta pełzała przez mózg, stawał się blady z trwogi i zdawało mu się, że powietrze oziębia się nagle. Oh! w jakże dzikiej godzinie opętania zamordował przyjaciela! Jakże upiornem było samo wspomnienie tej sceny! Widział ją znowu. Każdy okropny szczegół stawał przed nim, spotęgowany przerażeniem. Z czarnej otchłani czasu wyłaniał się potworny obraz jego grzechu, okryty szkarłatem. Gdy o godzinie szóstej odwiedził go lord Henryk, zastał go w rozpacz, jak człowieka, któremu pęka serce.

Dopiero na trzeci dzień odważył się wyjść z domu. Zdawało mu się, że czyste, zapachem sosen przesycone powietrze zimowego poranka ma w sobie coś, co wraca mu bez troskę i ochotę do życia. Nietylko jednak zewnętrzne warunki otoczenia wywołały w nim tę zmianę. Jego własna natura zbuntowała się przeciw nadmiernej udręce, która usiłowała zniszczyć i zniweczyć jego doskonały spokój. Leży to w usposobieniu ludzi wrażliwych i przeczulonych. Ich silne namiętności muszą zatrzeć się, albo ugiąć. Zabijają człowieka, albo same giną. Płytkie żale i płytkie uczucia żyją długo. Wielkie miłości i wielkie bóle giną od własnego

nadmiaru. Przekonał się nadto, że był ofiarą smaganej trwogą wyobraźni i na swój lęk patrzył teraz z odcieniem litości i z pewną pogardą.

Po śniadaniu około godziny przechadzał się z księżną po ogrodzie, następnie wyjechał przez park, aby dogonić myśliwych. Szron świecił na trawie, jak grudki soli. Niebo wyglądało, niby wywrócona filiżanka z błękitnego metalu. Cienka warstwa lodu pokrywała płytkie, trzcina zarosłe jezioro.

Na skraju sosnowego lasu spostrzegł pana Gotfryda Cloustone'a, brata księżny, gdy wyrzucał z fuzji dwa wystrzelone naboje. Wyskoczył z amerykana, kazał służącemu odjechać do domu i pieszo poszedł naprzeciw swego gościa po opadłych gałęziach i splątanych zaroślach.

— Jakże ci idzie, Gotfrydzie? — zapytał.

— Nieświetnie, Dorianie. Zdaje mi się, że większość ptactwa uciekła na pola. Sądzę, że się poprawi po śniadaniu, gdy przejdziemy na inny teren.

Dorian wlokł się koło niego. Ostro pachnące powietrze, migocące wśród lasu brązowe i czerwone światła, rozlegające się czasami chrapliwe krzyki naganki i następujące po nich wystrzały, wszystko to upajało go, napędzając uczuciem rozkosznej swobody. Ponoсила go beztraska szczęścia i najwyższa obojętność radości.

Nagle o jakie dwadzieścia jardów przed nimi z gęstej kępy zeschłej trawy wybiegł zając o nastawionych czarno-znaczonych słuchach, sadząc przed siebie długimi skokami wprost na gęstwą olch. Pan Gotfryd zmierzył się z bronią, ale we wdzięcznym ruchu zwierzęcia było dla Dorian'a Graya coś tak dziwnie czar-

jącego, że nagle zawołał, — Nie strzelaj, Gotfrydzie. Pozwól mu żyć.

— Co za nedorzecznosc, Dorianie! — roześmiał się towarzysz, strzelając do umykającego w gęstwinę szaraka. Usłyszano dwa krzyki, straszny pisk konającego zająca i gorszy jęk śmiertelny człowieka.

— Na Boga! Zastrzeliłem naganiacza! — zawołał pan Gotfryd. — Co za osioł, żeby stawać naprzeciwko myśliwych! Nie strzelać tutaj! — zawołał na całe gardło. — Zraniono człowieka.

Leśniczy nadbiegł z kijem w rękę.

— Gdzie, jaśnie panie? Gdzie on jest? — zapytał. Równocześnie umilkły strzały na całej linii.

— Tutaj, — odparł pan Gotfryd z wściekłością, biegnąc ku gęstwinie. — Dlaczego nie trzymasz swych ludzi w porządku? Zepsułeś mi całe polowanie.

Dorian patrzył na nich, jak w gąszczu olszyny odgarniali gibkie, zwisające gałęzie. Po paru chwilach wyszli, wyciągając trupa na światło. Odwrócił się, przeżony. Zdawało mu się, iż gdziekolwiek się zwróci, wszędzie kroczy za nim nieszczęście. Słyszał, jak pan Gotfryd zapytywał, czy człowiek naprawdę nie żyje, i twierdzącą odpowiedź naganiacza. Las wydał mu się nagle ożywiony marami. Stapały mirjady stóp, głucho pomrukiwały głosy. Tuż nad nim zerwał się z gałęzi wielki bażant o miedzianym podgardlu. Po paru chwilach, które w jego niejokoju wydały mu się nieskończonemi godzinami cierpienia, poczuł czyjąś rękę na swem ramieniu. Drgnął i spojrzał wokół siebie.

— Dorianie, — rzekł lord Henryk, — wydaje mi się, że na dziś lepiej będzie ogłosić koniec polowania. Inaczej zrobiłoby to złe wrażenie.

— Chciałbym, Henryku, aby już skończyło się na-

zawsze, — odparł gorzko. — Wszystko to jest ohydne i okrutne. Czy ten człowiek...?

Nie mógł dokończyć zdania.

— Niestety, — wtrącił lord Henryk. — Dostał w piersi cały ładunek. Musiał skonać natychmiast. Chodź; wracajmy do domu.

Szli obok siebie w kierunku alei około pięćdziesięciu jardów, nie przemówiwszy ani słowa. Wtem Dorian spojrział na lorda Henryka i rzekł z ciężkim westchnieniem, — To zły znak, Henryku, bardzo zły znak.

— Co? — spytał lord Henryk. — Oh! sędzę, że to wypadek. Mój drogi przyjacielu, na to niema rady. To jego własna wina. Czemu stawał przed myśliwymi? Nas to wreszcie nie dotyczy. Jestto oczywiście nieprzyjemne dla Gotfryda. Nie należy strzelać do naganki. Robią się zaraz plotki, że strzela się naoslep. A to nie-słusznie; Gotfryd strzela bardzo uważnie. Ale poco o tem mówić.

Dorian zaprzeczył głową. — To jest zły znak, Henryku. Wydaje mi się, że jednemu z nas zdarzy się coś strasznego. Może mnie, — dodał, przecierając dłonią oczy, z wyrazem cierpienia.

Starszy mężczyzna roześmiał się. — Dorianie, jedyną rzeczą straszną na świecie jest nuda. Jestto grzech nie do wybaczenia. My jednak nie będziemy cierpieć z tego powodu, jeśli tylko przy obiedzie nie będzie się paplało o tem zdarzeniu. Muszę zapowiedzieć, że o tym przedmiocie nie wypada mówić. Co zaś do wróżb, to nic podobnego nie istnieje. Los nie wysyła heroldów. Jest na to zbyt mądry, albo zbyt okrutny. Zresztą, Dorianie, cóż mogłoby się ci zdarzyć? Masz wszystko, czego człowiek mógłby tylko zapragnąć. Nie znam nikogo, ktoby się z przyjemnością nie zamienił z tobą.

— Nie znam nikogo, Henryku, z kim jabym się nie zamienił. Nie śmiej się. Mówię ci prawdę. Temu nędznemu chłopu, co skonał, jest lepiej, niż mnie. Nie boję się śmierci. Trwogą przejmuję mnie zbliżanie się śmierci. Jej potworne skrzydła łopotają wokół mnie w ołowianem powietrzu. Wielki Boże! czy nie widzisz za temi drzewami człowieka, który na mnie czyha?

Lord Henryk spojrział w kierunku, wskazanym mu drżącą ręką w rękawicze. — Tak, — odparł z uśmiechem, — widzę oczekującego na ciebie ogrodnika. Zapewne chce cię zapytać, jakie kwiaty ma przygotować na wieczór do obiadu. Jakże nedorzecznie zdenerwowanym jesteś, mój drogi przyjacielu! Gdy powrócimy do miasta, musisz poradzić się swego lekarza.

Dorian, odetchnął z ulgą, widząc zbliżającego się ogrodnika. Człowiek zdjął kapelusz, przez chwilę parzył z wahaniem na lorda Henryka, poczem wyjąwszy list, podał go swemu panu. — Jej Wysokość kazała mi czekać na odpowiedź, — wyszeptał.

Dorian włożył list do kieszeni. — Powiedz Jej Wysokości, że idę, — powiedział chłodno. Człowiek odwrócił się i poszedł szybko w kierunku domu.

— Jak chętnie popełniają kobiety rzeczy niebezpieczne! — roześmiał się lord Henryk. — To jedna z właściwości, którą najbardziej u nich podziwiam. Kobieta flirtuje z każdym mężczyzną, dopóki przyglądają się inni.

— Jak chętnie mówisz niebezpieczne rzeczy, Henryku! W tym wypadku mylisz się zupełnie. Bardzo lubię księżnę, ale jej nie kocham.

— A księżna kocha cię bardzo, choć nie lubi ciebie, jesteście więc doskonale dobrani.

— Opowiadasz plotki, Henryku, a plotki są zawsze bezpodstawne.

— Podstawą każdej plotki jest niemoralna pewność, — powiedział lord Henryk, zapalając papierosa.

— Cały świat poświęciłbyś, Henryku, dla powiedzenia dowcipu.

— Świat dobrowolnie garnie się do ołtarza, — brzmiała odpowiedź.

— Chciałbym móc kochać, — zawołał Dorian Gray z głęboką przesadą w głosie. — Zdaje mi się jednak, że straciłem namiętność i wyzbyłem się pragnień. Jestem zbyt w sobie skupiony. Moja własna osobowość stała mi się brzemieniem. Chciałbym uciec, odejść, zapomnieć. Głupstwem było z mej strony, że wogóle tu przybyłem. Wydaje mi się, że powinienem zadepeszować do Harvey, aby przygotowano mój yacht. Tylko na yachcie będę bezpieczny.

— Bezpieczny od czego, Dorianie? Masz jakiś niepokój. Dlaczego mi nie powiesz? Wiesz, że będę ci chciał pomóc.

— Nie mogę ci powiedzieć, Henryku, — odparł smutnie. — Sam zresztą sędzę, że to tylko przywidzenie. Ten nieszczęśliwy wypadek wytrącił mnie z równowagi. Mam straszne przeczucie, że i mnie się zdarzy coś podobnego.

— Co za niedorzeczność!

— Wiem o tem, ale nie mogę pozbyć się tego uczucia. Ah! księżna. Wygląda pani, jak Artemida w stroju spacerowym. Jesteśmy już, księżno, z powrotem.

— Wiem o wszystkim, panie Gray, — odparła. — Biedny Gotfryd nie może przyjść do siebie. A pan go prosiłeś, aby nie strzelał do zająca. Jakie to dziwne!

— Tak, to było bardzo dziwne. Sam nie wiem,

czemu to powiedziałem. Sądzę, że tak sobie. Wyglądał, jak najpiękniejsze ze zwierzątek. Przykro mi, że opowiadano pani o człowieku. To okropna rzecz.

— To jest nudna rzecz, — przerwał lord Henryk. — Pozbawiona wszelkiej wartości psychologicznej. Gdyby Gotfryd zrobił ją był rozmyślnie, jakże byłby zajmującym! Bardzobym pragnął znać kogoś, kto naprawdę popełnił morderstwo.

— Jakie to okropne, co ty mówisz, Henryku! — zawołała księżna. — Nieprawdaż, panie Gray? Henryku, pan Gray jest znowu słaby. Mdleje.

Dorian opanował się z wysiłkiem i uśmiechnął się. — To nic, księżno, — wyszeptał; — mam strasznie wyczerpane nerwy. Nic więcej. Zdaje się, że dziś rano za dużo chodziłem. Nie słyszałem, co mówił Henryk. Czy to było co złego? Powtórz mi to pani kiedy. Muszę pójść położyć się. Pani mi wybacz, prawda?

Stanęli u wielkich schodów, wiodących z cieplarni na taras. Skoro za Dorianem zamknęły się oszklone drzwi, lord Henryk odwrócił się i spojrzał na księżnę swemi sennemi oczami. — Czy bardzo jesteś w nim zakochana? — zapytał.

Nie odpowiadała przez pewien czas, zapatrzona w krajobraz. — Sama chciałabym to wiedzieć, — powiedziała wkońcu.

Potrząsnął głową. — Świadomość jest zgubną. Tylko niepewność ma urok. Mgła czyni rzeczy czarownemi.

— Można w niej zgubić drogę.

— Wszystkie drogi, droga Gladys, prowadzą do tego samego celu.

— A jest nim?

— Rozczarowanie.

— To był mój debiut życiowy, — westchnęła.

— Przyszedł, aby cię ukoronować.

— Znużyły mnie liście poziomek.

— Dobrze ci z niemi.

— Tylko nazewnątrż.

— Żalby ci ich było, — rzekł lord Henryk.

— Nie uronię też ani listeczka.

— Monmouth ma uszy.

— Starość ma tępy słuch.

— Czy nigdy nie był zazdrosny?

— Chciałabym, żeby był.

Rozglądał się, jakby czegoś szukał. — Czego szukasz? — zapytała.

— Rękojeści twej szpady, — odparł. — Straciłaś ją.

Zaśmiała się. — Wciąż mam jeszcze maskę.

— Potęguje czar twych oczu, — brzmiała odpowiedź.

Zaśmiała się znowu. Zęby jej wyglądały, jak białe ziarna w szkarłatnym owocu.

W swym pokoju na piętrze Dorian Gray leżał na sofie, w każdym włóknie swego ciała wstrząsany od trwogi. Życie zaciężyło mu nagle okropnem brzemieniem. Straszna śmierć nieszczęsnego naganiacza, zabitego w gęstwinie niczem dzikie zwierzę, wydawała mu się zwiastować jego własną śmierć. Omal nie zemdlał, gdy lord Henryk powiedział swój przypadkowy cyniczny dowcip.

O godzinie piątej zadzwonił na służącego i polecił mu spakować rzeczy na nocny kurjer do miasta i zamówić powóz na pół do dziewiątej. Postanowił nie spać już ani jednej nocy w Selby Royal. Była to miej-

scowość o złych wróżbach. Śmierć kroczyła tu w świetle słonecznem. Trawa leśna była zbryzgana krwią.

Napisał kartkę do lorda Henryka, zawiadamiając go, że jedzie do miasta poradzić się swego lekarza, i prosząc, aby podejmował gości pod jego nieobecność. Gdy wkładał ją do koperty, zapukano do drzwi i wszedł lokaj, oznajmiając, że leśniczy chce się z nim zobaczyć. Zmarszczył brwi i zagryzł wargi. — Przyślij go tu, — mruknął po chwili wahania.

Gdy wszedł, Dorian wyjął z szuflady książeczkę czekową i położył przed sobą.

— Przypuszczam, Thorntonie, że przychodzicie w sprawie tego nieszczęsnego rannego wypadku? — powiedział, biorąc za pióro.

— Tak, jaśnie panie, — odrzekł leśniczy.

— Czy ten biedak był żonaty? Czy miał rodzinę na utrzymaniu? — zapytał Dorian z wyrazem znużenia. — Jeżeli tak, to nie chcę, aby pozostawali w nędzy i poślę im każdą kwotę, jaką uznacie za potrzebną.

— Nie wiemy, jaśnie panie, kto to jest. Dlatego ośmieliłem się przyjąć.

— Nie wiecie, kto to jest? — obojętnie mówił Dorian. — Co to ma znaczyć? Więc to nikt ze służby?

— Nie, jaśnie panie. Nigdy nie widziałem go przedtem. Wygląda na marynarza.

Pióro wypadło z ręki Dorian Graya i miał uczucie, jakgdyby serce nagle przestało mu bić. — Marynarz? — wykrzyknął. — Mówicie, że marynarz?

— Tak, jaśnie panie. Wygląda, jakgdyby był czemś w rodzaju marynarza; oba ramiona ma tatowane i tak wygląda.

— Czy znaleziono co przy nim? — powiedział Dorian, nachylając się i patrząc w leśniczego rozszerzo-

nemi żrenicami. — Coś, coby stwierdzało jego nazwisko?

— Trochę pieniędzy, jaśnie panie, niewiele, i rewolwer sześciostrzałowy. Nigdzie żadnego nazwiska. Wygląda przyzwoicie, jaśnie panie, ale ordynarnie. Przypuszczamy, że był to zwykły marynarz.

Dorian zerwał się na równe nogi. Błysnęła mu straszna nadzieja. Uczepił się jej, jak szalony. — Gdzie jest trup? — wykrzyknął. — Prędko! Muszę go zaraz zobaczyć.

— Złożyliśmy go, jaśnie panie, w opuszczonej stajni na folwarku Home. Nikt nie chce trzymać takiego trupa u siebie w domu. Mówią, że przyniósłby nieszczęście.

— Na folwarku Home! Jedziemy tam zaraz i pokażecie mi go. Powiedzcie stajennemu, aby osiodłał mi konia. Nie. Nie trzeba. Pójdę do stajni sam. Będzie prędzej.

W niespełna kwadrans wielką aleją parkową Dorian Gray pędził z galopa tak szybko, jak tylko mógł. Drzewa zdawały się go mijać w upiornym korowodzie, a niesamowite cienie przebiegały mu drogę. Przy białym słupie klacz skoczyła w bok i omal nie zrzuciła go. Ciał ją szpicrutą po szyi. Jak strzała pomknęła w ciemną dal. Kamienie rozpryskiwały się z pod podków.

Wreszcie wpadł na folwark Home. W podworcu stało dwóch ludzi. Zeskoczył z konia i jednemu z nich oddał cugle. W najdalszej stajni świeciło światło. Coś zdawało mu się mówić, że tam leży trup, pobiegł ku drzwiom i chwycił za klamkę.

Zawahał się przez chwilę, czując, że stoi przed odkryciem, od którego zależy spokój lub niepokój jego życia. Poczem pchnął drzwi i wszedł.

Na stosie worków w najdalszym kącie leżał trup mężczyzny, ubranego w grubą koszulę i niebieskie spodnie. Twarz była osłonięta poplamioną chustką. Obok niego migotała łożówka, zatknięta w butelkę.

Dorian Gray wzdrygnął się. Poczuł, iż nie byłby w stanie własną ręką odsłonić chustki, i zawołał jednego ze służby folwarcznej.

— Zdejmijcie to z twarzy. Chcę zobaczyć, — powiedział, opierając się o odrzwia.

Gdy fornał spełnił rozkaz, postąpił naprzód. Z ust jego wyrwał się okrzyk radości. Zastrzelony w gęstwinie człowiek był Jakóbem Vane.

Przez kilka minut patrzył na trupa. Gdy wracał do domu, oczy miał pełne łez, gdyż wiedział, że jest bezpieczny.

ROZDZIAŁ XIX.

— Poco mi mówisz, że chcesz być dobrym, — zawołał lord Henryk, maczając swe białe palce w czerwonej czarze miedzianej z wodą różaną. — Ty już jesteś w pełni doskonały. Proszę cię tylko, nie zmieniaj się.

Dorian Gray zaprzeczył głową. — Nie Henryku, popełniłem w życiu zbyt wiele okropności. To się już nie powtórzy. Wczoraj rozpocząłem moje dobre czyny.

— Gdzie byłeś wczoraj?

— Na wsi, Henryku. Zatrzymałem się w małej oberży.

— Mój drogi chłopcze, — rzekł lord Henryk z uśmiechem, — na wsi każdy może być dobrym. Nie ma pokus. Jestto też przyczyną, dlaczego ludzie, mieszkający poza miastem, są zupełnie niekulturalni. Cywilizacja pod żadnym względem nie jest łatwą do zdobycia. Osiąga się ją tylko dwiema drogami. Przez kulturę, albo przez zepsucie. Ludność wiejska nie ma do tego sposobności, dlatego jest zacofana.

— Kultura i zepsucie, — powtórzył echem Dorian. — Wiem cośkolwiek o obojgu. Wydaje mi się teraz strasznie, że zawsze idą w parze. Znalazłem nowy ideał, Henryku. Chcę się zmienić. Zdaje mi się, że już się zmieniłem.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, jakim był twój

dobry czyn. Czy może popełniłeś ich więcej? — zapytał towarzysz, nabierając na talerzyk karmazynową piramidkę ogrodowych poziomek i posypując je, niby śniegiem, mialkim białym cukrem za pomocą dziurkowanej łyżeczki w kształcie muszli.

— Opowiem ci, Henryku. Mogę to opowiedzieć wszystkim. Oszczędziłem kobietę. To wygląda na przechwałkę, ale zrozumierz, o co chodzi. Była doskonale piękna i czarująca, jak Sybilla Vane. Sądzę, że właśnie to pociągnęło mnie do niej. Pamiętasz Sybillę, nieprawda? Jak to już wydaje się dawno! Hetty nie jest, oczywiście, z naszej sfery. Prosta dziewczyna wiejska. Ale kochałem ją naprawdę. Jestem zupełnie pewny, że ją kochałem. Przez cały ten czarowny maj, jaki mieliśmy, jeździłem do niej dwa albo trzy razy w tygodniu. Wczoraj spotkałem ją w małym ogródku. Kwiecie jabłoni osypywało jej włosy, a ona się śmiała. Dziś rano o świcie mieliśmy odjechać. Nagle postanowiłem pozostawić ją tak samo podobną do kwiatu, jak ją poznałem.

— Wierzę, Dorianie, że nowość tego wzruszenia musiała dać ci dreszcz prawdziwej rozkoszy, — przerwał lord Henryk. — Ale mogę za ciebie skończyć twoją sielankę. Dając jej dobrą radę, złamałeś jej serce. Taki był początek twego nawrócenia.

— Henryku, jesteś straszny! Nie powinienes mówić tych okropnych rzeczy. Serce Hetty nie jest złamane. Oczywiście, że rozpaczała i tem podobne. Ale niema na niej hańby. Może żyć, jak Perdita, w swym ogrodzie mięty i tymianku.

— I opłakiwać niewiernego Florizela, — rzekł lord Henryk, śmiejąc się i wyciągając się na fotelu. — Mój drogi Dorianie, miewasz pomysły bajecznie dziecinne. Czy sądzisz, że tę dziewczynę zadowolni już kto

z jej własnej sfery? Najprawdopodobniej wyjdzie kiedyś za prostackiego furmana, albo za szczerzącego do niej zęby parobka. To jednak, że ciebie poznała i pokochała, nauczy ją gardzić mężem i uczyni nieszczęśliwą. Ze stanowiska moralności niezbyt wysoko mogę ocenić twoje wyrzeczenie się. Nawet, jak na początek, jest bardzo mizerne. Przytem, skąd wiesz, czy już w tej chwili ciało Hetty, jak Ofelji, nie pływa w jakimś stawie młyńskim, oblane światłem gwiazd i otoczone kwiatami lilij wodnych?

— Nie mogę tego słuchać, Henryku! Najpierw drwisz ze wszystkiego, a potem wysnuwasz najpoważniejsze tragedje. Żałuję teraz, że opowiadałem ci. Nie obchodzi mnie, co mówisz. Wiem, że postąpiłem dobrze. Biedna Hetty! Gdy przejeżdżałem dziś koło jej chaty, widziałem w oknie jej twarz, niby pęk jaśminu. Nie mówmy o tem więcej i nie staraj się przekonywać mnie, że pierwszy od lat mój dobry czyn, że pierwsze drobne poświęcenie, którego zaznałem, jest w rzeczywistości czemś w rodzaju grzechu. Chcę się poprawić. Poprawię się. Opowiedz mi coś o sobie. Co się dzieje w mieście? Od wielu dni nie byłem już w klubie.

— Wciąż mówią o zniknięciu biednego Bazylego.

— Myślałem, że już znudzono się nareszcie tym tematem, — rzekł Dorian, dolewając sobie wina i zlekka marszcząc brwi.

— Mój drogi chłopcze, mówi się o tem dopiero od sześciu tygodni, a publiczność angielska nie zdobyłaby się na taki wysiłek umysłowy, aby mieć więcej, niż jeden temat, na trzy miesiące. W ostatnim jednak czasie szczęściło się jej. Miała mój rozwód i samobójstwo Alana Campbella. Obecnie ma tajemnicze zniknięcie artysty. W Scotland Yardzie wciąż utrzymują,

że mężczyzna w szarym płaszczu, który dziewiątego listopada odjechał pociągiem północnym do Paryża, był biednym Bazylim, a policja paryska twierdzi, że Bazyli wcale do Paryża nie przybył. Za kilka dni usłyszymy zapewne, że widziano go w San Francisco. Dziwna to rzecz, że wszystkich zaginionych widuje się zawsze w San Francisco. Musi to być cudowne miasto, posiadające siłę przyciągającą zaświata.

— Jak myślisz, co się stało z Bazylim? — zapytał Dorian, podnosząc kieliszek z burgundem pod światło i dziwiąc się, że może rozmawiać tak spokojnie.

— Nie mam wprost pojęcia. Jeśli Bazyli chce się ukrywać, cóż mnie to obchodzi. Jeśli umarł, nie mam potrzeby myśleć o nim. Śmierć jest jedyną rzeczą, która mnie zawsze przeraża. Nienawidzę jej.

— Dlaczego? — zapytał leniwie młody człowiek.

— Dlatego, — powiedział lord Henryk, podnosząc do nosa złoty flakonik z octem toaletowym, — że wszystko można dziś przeżyć, oprócz niej. Śmierć i popolitość są w dziewiętnastym wieku dwoma jedynymi objawami, których nie można objaśnić. Każ nam podać kawę, Dorianie, do sali koncertowej. Musisz mi zagrać Chopina. Ten człowiek, z którym uciekła moja żona, nadzwyczajnie grał Chopina. Biedna Wiktorja! Bardzo ją lubiłem. Dom jest bez niej dość pusty. Małżeństwo jest, zaiste, przyzwyczajeniem, złem przyzwyczajeniem. Żałuje się jednak nawet najgorszych przyzwyczajzeń, gdy się je utraci. Może tych najwięcej. Poniekąd stanowią nieodłączną część naszej istoty.

Dorian nic nie odpowiadał, lecz wstał od stołu i, przeszedłszy do sąsiedniego pokoju, zasiadł do fortepianu i począł przebiegać palcami po białych i czarnych klawiszach. Gdy przyniesiono kawę, podniósł się

i powiedział, spoglądając na lorda Henryka, — Henryku, czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że Bazyli został zamordowany?

Lord Henryk ziewnął. — Bazyli był ogólnie lubiany i nosił zwykle zegarek stalowy. Dlaczego więc miałby być zamordowanym? Nie był na tyle mądrym, aby mieć nieprzyjaciół. Bez wątpienia, jako malarz był genialny. Ale można malować, jak Velasquez, a jednak być skończenie ograniczonym. Bazyli był, zaiste, dość ograniczony. Zajął mnie tylko raz jeden, gdy ongi, przed laty, opowiadał mi, że ubóstwia ciebie i że jesteś najpotężniejszą pobudką jego sztuki.

— Bardzo lubilem Bazylego, — rzekł Dorian z odcieniem smutku w głosie. — Mówią jednak, że został zamordowany?

— Oh, kilka dzienników. Nie wydaje mi się to prawdopodobnem. Wiem, że w Paryżu istnieją okropne nory, ale Bazyli nie należał do ludzi, którzy tam uczęszczają. Nie był wcale ciekawy. To było jego główną wadą.

— Cobyś powiedział, Henryku, gdybym ci wyznał, że to ja zamordowałem Bazylego? — rzekł młody mężczyzna. Mówiąc to, patrzył na niego uważnie.

— Powiedziałbym ci, drogi chłopcze, że przybierasz rolę, z którą ci wcale nie do twarzy. Każda zbrodnia jest pospolitą, tak jak każda pospolitość jest zbrodnią. Morderstwo nie byłoby w twoim stylu, Dorianie. Przykro mi, jeśli obrażam twoją próżność, ale zapewniam cię, że jest to prawda. Zbrodnia należy wyłącznie do klas niższych. Wcale ich za to nie potępiam. Wyobrażam sobie, że zbrodnia jest dla nich tem, czem dla nas sztuka, poprostu sposobem przeżywania nadzwyczajnych wzruszeń.

— Sposób przeżywania wzruszeń? Sądziś więc, że człowiek, który popełnił morderstwo, zdolny jest do powtórzenia tejże zbrodni. Nie mów mi tego.

— Oh! każda rzecz staje się rozkoszą, gdy zbyt często do niej wracamy, — zawołał lord Henryk, śmiejąc się. — Jest to jedna z najważniejszych tajemnic życia. Wydaje mi się jednak, że morderstwo bywa zawsze omyłką. Nie powinno się nigdy czynić nic takiego, o czym nie można swobodnie rozmawiać po obiedzie. Pozostawmy jednak w spokoju biednego Bazylego. Chciałbym uwierzyć, że mógł naprawdę skończyć tak romantycznie, jak to przypuszczasz; ale nie mogę. Przypuszczałbym raczej, że spadł z omnibusu do Sekwany, a konduktor przemilczał to z obawy o skandal. Tak, wyobrażam sobie, że takim mógł być jego koniec. Niemal go widzę leżącego nawznak w brudno-zielonej wodzie, ponad nim suną obładowane barki, a długie wodorosty czepiają się włosów. Wiesz, że nie wierzę, aby mógł był utworzyć jeszcze coś dobrego. W ostatnich dziesięciu latach twórczość jego bardzo upadła.

Dorian westchnął, a lord Henryk, przeszedłszy przez pokój, gładził po głowie rzadką papugę jawańską, dużego ptaka o szarem pierzu, z czerwonym czubem i ogonem, kołyszącego się na drążku bambusowym. Pod dotknięciem jego wytwornych palców, ptak zsunął białe, pomarszczone powieki na czarne, szkliste oczy i przestępował z nogi na nogę.

— Tak, — mówił dalej, odwracając się i wyjmując chustkę z kieszeni; — jego twórczość była w zupełnym upadku. Jakgdyby był coś stracił. Stracił ideał. Gdy przestaliście być wielkimi przyjaciółmi, on skończył się, jako wielki artysta. Co was rozłączyło? Nudził cię zapewne. Jeśli tak, nigdy ci tego nie wybaczy. Tak

bywa zawsze z ludźmi nudnymi. Ale co się stało z tym cudownym portretem twoim, jaki namalował? Zdaje mi się, że nie widziałem go od chwili, gdy go skończył. Oh! Przypominam sobie, iż opowiadałeś mi przed laty, że odesłałeś go do Selby i że po drodze zgubiono go, albo skradziono. Czy nigdy go nie odzyskałeś? Co za szkoda! To było naprawdę arcydzieło. Pamiętam, że chciałem je kupić. Żałuję, że mi się nie udało. Należał do najlepszego okresu Bazylego. Od tego czasu jego prace były dziwną mieszaniną złego malowania i dobrych pomysłów, co najzupełniej uprawnia, aby artystę nazywano czołowym przedstawicielem sztuki angielskiej. Czy ogłaszałeś o zgubie obrazu? Powinieneś był to zrobić.

— Nie pamiętam, — powiedział Dorian. — Zdaje się, że ogłaszałem. Jakkolwiek obrazu tego nigdy nie lubiałem. Żałuję, że do niego pozowałem. Nienawidzę nawet wspomnienia o nim. Poco mi mówisz o nim? Przypomina mi on zawsze te dziwne wiersze z jakiejś sztuki, zdaje się, że z „Hamleta“, jakżeż brzmią one? —

„Jako obraz bólu,
Oblicze bez serca“.

Tak, taki był ten portret.

Lord Henryk roześmiał się. — Dla człowieka, patrzącego na życie ze stanowiska sztuki, sercem jest mózg, — odparł, opadając na fotel.

Dorian Gray zaprzeczył głową i wydobył z fortepianu kilku cichych akordów. — „Jako obraz bólu, — powtarzał, — oblicze bez serca“.

Starszy mężczyzna wyciągnął się i patrzył na niego półrozwartemi oczami. — Nawiasem mówiąc, Doria-

nie, — powiedział po chwili, — „na co zda się człowiekowi zdobyć cały świat, — jakże brzmią te słowa? — jeśli zatraci swą duszę?“

Muzyka przerwała się i Dorian Gray zerwał się, bystro spoglądając na przyjaciela. — Dlaczego pytasz mnie o to, Henryku?

— Mój drogi przyjacielu, — powiedział lord Henryk, ze zdziwieniem wznosząc brwi, — pytałem cię o to, gdyż sądziłem, że będziesz umiał odpowiedzieć. Nic więcej. Zeszłej niedzieli szedłem przez park i tuż koło marmurowego łuku natknąłem się na nędznie wyglądającą gromadkę ludzi, słuchających jakiegoś marnego kaznodziei ulicznego. Gdy przechodziłem, słyszałem, jak ów człowiek postawił pytanie, o którym mowa. Wydało mi się dość dramatycznym. W Londynie równie ciekawe wrażenia są na porządku dziennym. Słotna niedziela, dziwny chrześcijanin w nieprzemakalnym płaszczu, koło chorowitych, bladych twarzy pod dziurawą osłoną ociekających parasoli, i jakieś cudowne zdanie, rzucone w powietrze przeraźliwym, histerycznym głosem, — było to coś w swoim rodzaju bardzo ładnego, niemal porywającego. Miałem ochotę odpowiedzieć prorokowi, że sztuka ma duszę, a człowiek jej nie posiada. Wątpię jednak, czyby był mnie zrozumiał.

— Daj spokój, Henryku. Dusza jest straszną rzeczywistością. Można ją kupić, sprzedać, zamienić. Można ją zatruć lub udoskonalić. W każdym z nas jest dusza. Wiem o tem.

— Czy jesteś tego zupełnie pewny, Dorianie?

— Najzupełniej.

— Ah! w takim razie musi to być złudzenie. Rzeczy, których się jest bezwzględnie pewnym, nigdy nie są prawdą. Jest to fatalizmem wiary i wyznaniem ro-

mantyzmu. Jakież stałeś się poważny! Nie bądź taki poważny. Cóż mogą obchodzić ciebie lub mnie przesady naszego czasu? Nie, my wyrzekliśmy się naszej wiary w duszę. Zagraj mi coś. Zagraj mi nokturn, Dorianie, i grając, opowiedz mi cichym głosem, jakim sposobem zachowałeś swą młodość. Musisz znać jakąś tajemnicę. Jestem od ciebie tylko o dziesięć lat starszy, a mam zmarszczki, jestem przeżyty i żółkły. Jesteś naprawdę cudowny, Dorianie. Nigdy nie wyglądałeś bardziej czarująco, niż dziś wieczór. Przypominasz mi dzień, w którym cię poznałem. Byłeś nieco zuchwały, bardzo nieśmiały i bezwzględnie nadzwyczajny. Zmieniłeś się, oczywiście, ale nie co do wyglądu. Chciałbym, abyś mi wyznał swą tajemnicę. Aby odzyskać młodość, uczyniłbym wszystko, z wyjątkiem ćwiczeń, rannego wstawania i cnotliwości. Młodość! Nic niema ponad nią. Niedorzecznością jest mówić o niedoświadczeniu młodości. Jedyni ludzie, których sądów słucham z uwagą, to ludzie znacznie młodsi odemnie. Zdaje mi się, że wyprzedzili mnie. Życie odsłoniło im ostatnie swe cuda. Co do starszych, to zawsze sprzeciwiam się im. Czynię to z zasady. Jeśli spytasz ich o ocenę jakiegoś wczorajszego zdarzenia, z namaszczeniem powtórzą ci sądy, panujące w roku 1820, kiedy noszono wysokie halsztuki, wierzono we wszystko i nic o niczem nie wiedziano. Jakie to ładne, co grasz teraz! Ciekawy jestem, czy Chopin napisał to na Majorce, gdy morze szumiało dokoła willi i obryzgiwało jej szyby słoną pianą? To jest cudownie romantyczne. Jakiem to błogosławieństwem dla nas, że istnieje sztuka, która nie była naśladownictwem! Nie przerywaj. Potrzeba mi dziś wieczór muzyki. Zdaje mi się, że jesteś młodym Apollinem, a ja słuchającym cię Marsjaszem. Mam swoje troski, Do-

rianie, o których nic nie wiesz. Tragedją starości jest nietylko to, że człowiek się starzeje, ale że pozostaje młodym. Chwilami lękam się swej własnej szczerości. Ah, Dorianie, jaki ty jesteś szczęśliwy! Jakie nadzwyczajne miałeś życie! Wysączyłeś wszystko do dna. Winne grona miażdżyłeś na swem podniebieniu. Nic przed tobą nie było ukrytem. I wszystko było dla ciebie, niby dźwiękiem muzycznym. Nic cię nie dotknęło. Wciąż jesteś ten sam.

— Nie jestem ten sam, Henryku.

— Owszem, jesteś ten sam. Chciałbym wiedzieć, jak upłynie ci reszta życia. Nie psuj go wyrzeczeniem. Obecnie jesteś doskonałym. Nie rób się niedoskonałym. Jesteś teraz bez błędu. Nie potrzebujesz potrząsać głową, sam wiesz o tem. Nie łudź się jednak, Dorianie. Życie nie da się ująć w karby woli i zamiarów. Życie jest sprawą nerwów i włókien i powoli urabianych komórek, gdzie ukrywa się myśl, gdzie drzemie namiętność. Możesz wyobrażać sobie, że jesteś bezpieczny, i czuć się silnym. Lecz przypadkowy odcień barwy pokoju lub porannego nieba, jakiś szczególny zapach, kiedyś przez ciebie lubiany i niosący nikłe wspomnienia, wiersz zapomnianego poematu, który ongi czytałeś, urywek dawno nie granej melodji, — Dorianie, mówię ci, że od tych drobiazgów zależy nasze życie. Pisał o tem gdzieś Browning; ale możemy sobie to wyobrazić naszemmi zmysłami. Są chwile, kiedy nagle przenika mnie zapach białego bzu, i wtedy przeżywam na nowo najdziwniejszy miesiąc mego życia. Pragnąłbym zamienić się z tobą, Dorianie. Świat przeklina nas obu, ale ciebie zawsze ubóstwiał. I zawsze będzie cię ubóstwiał. Jesteś istotą, której poszukiwał nasz wiek i jest przestraszony, że ją znalazł. Tak jestem rad, że nigdy nie

nie zrobiłeś, nie wyrzeźbiłeś posągu, ani nie namalowałeś obrazu, nigdy nie objawiłeś się poza sobą! Twoją sztuką było życie. Cały podłożyłeś się pod muzykę. Twe dni były twemi sonetami.

Dorian powstał od fortepianu i zanurzył palce we włosach. — Tak, życie było cudne, — mamrotał, — ale nie chcę już, Henryku, takiego życia. I ty nie powinieś mi mówić takich przesadnych rzeczy. Nie wiesz o mnie wszystkiego. Gdybyś wiedział, odwróciłbyś się odemnie, śmiejesz się. Nie śmiej się.

— Dorianie, czemu przestałeś grać. Siądź i zagraj mi jeszcze ten nokturn. Patrz na ten duży księżyc o miodowej barwie, zawieszony w mroku. Czeka na ciebie, abyś go oczarował, i jeśli zagrasz, zbliży się do ziemi. Nie chcesz? Chodźmy do klubu. Był to czarowny wieczór i musimy go zakończyć w sposób czarowny. Jest ktoś u White'a, kto bardzo pragnie poznać cię, młody lord Poole, najstarszy syn Bournemoutha. Naśladuje już twoje krawaty i prosił mnie, bym go przedstawił tobie. Jest zachwycający i nieco przypomina mi ciebie.

— Nie chciałbym, aby tak było, — rzekł Dorian ze smutnym wyrazem w oczach. — Jestem znużony dziś wieczór, Henryku. Nie pójdę do klubu. Dochodzi jedenasta, a chciałbym się wcześniej położyć.

— Więc nie chodź. Nigdy nie grałeś tak pięknie. W twem uderzeniu było coś cudownego. Było w niem więcej wyrazu, niż to słyszałem kiedykolwiek.

— To dlatego, że chcę stać się dobrym, — odparł z uśmiechem. — Jestem już nieco zmieniony.

— Dla mnie, Dorianie, nie zmienisz się, — rzekł lord Henryk. — Pozostaniemy zawsze przyjaciółmi.

— A jednak zatrueś mnie kiedyś książką. Nie po-

winieniem ci tego wybaczyć. Henryku, przyrzeknij, że nie pożyczysz tej książki nikomu. Ona jest szkodliwa.

— Mój drogi chłopcze, ty naprawdę zaczynasz moralizować. Niebawem zaczniesz wędrować po kraju, jak nawróceni i zmartwychwstańcy, i ostrzegać ludzi przed grzechami, któremi już się znużyłeś. Jesteś na to zbyt czarujący. Pozatem, nie zda się to na nic. Ty i ja jesteśmy, czem jesteśmy, i będziemy, czem będziemy. Co do zatrucia książką, jest to niemożliwe. Sztuka nie ma wpływu na czyny. Ona niweczy pragnienie czynu. Jest wspaniale bezpłodną. Książki, które nazywają niemoralnemi, są to książki, ukazujące światu jego hańbę. Nic nadto. Nie mówmy jednak o literaturze. Przyjdź do mnie jutro rano. O jedenastej wyjeżdżam konno. Pojedziemy razem, a potem zabiorę cię na śniadanie z lady Branksome. Jest to czarująca kobieta i chce się poradzić cię w sprawie kupna jakichś makat. Spodziewam się, że przyjdziesz. Albo może chcesz, abyśmy zjedli śniadanie z naszą małą księżną? Mówiła mi, że wcale cię nie widuje. Może znudziła cię już Gladys? Domyślałem się. Jej mądry języczek działa na nerwy. W każdym razie bądź u mnie o jedenastej.

— Czy koniecznie przyjsć muszę, Henryku?

— Oczywiście. W parku jest teraz cudownie. Zdaje mi się, że takich bzów nie było od tego roku, gdy cię poznałem.

— Więc dobrze. Będę o jedenastej, — powiedział Dorian. — Dobranoc, Henryku. — Gdy doszedł do drzwi, zawahał się przez chwilę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Poczem westchnął i poszedł.

ROZDZIAŁ XX.

Noc była piękna i tak ciepła, że płaszcz przerzucił przez ramię i szyi nie okrywał jedwabnym szalem. Gdy paląc papierosa, kierował się w stronę domu, minęło go dwóch młodych mężczyzn w wieczorowym stroju. Słyszał, jak jeden szeptał do drugiego: „To Dorian Gray“. Przypomniawszy sobie, jak bywało mu miło, gdy zwracano nań uwagę, przyglądał się im, lub mówiono o nim. Teraz sam dźwięk jego nazwiska nużył go. Połowa uroku małej wioski, gdzie ostatnio przebywał tak często, polegała na tem, że go tam wcale nie znano. Dziewczynę, którą w sobie rozmiłował, mówił często, że jest biedny, a ona mu wierzyła. Powiedział jej raz, że jest złym człowiekiem, a ona roześmiała się i odpowiedziała, że źli ludzie są zawsze bardzo starzy i bardzo brzydzy. Jak ona umiała się śmiać! — przypominała śpiewającego kosa. A jaka była ładna w swem bawełnianem ubraniu i w szerokim kapeluszu! Nic nie wiedziała, ale posiadała wszystko, co on utracił.

W domu zastał oczekującego nań służącego. Kazał mu iść spać, a sam wyciągnął się na sofie w bibliotece, rozmyślając nad rzeczami, o których mówił lord Henryk.

Czy jest to istotnie prawdą, że nie można się zmienić? Czuł dziką tęsknotę za nieskalaną czystością swych lat chłopięcych, swej różano-białej młodości, jak ją raz nazwał lord Henryk. Wiedział, że zbrukał się sam, że znieprawił swój umysł i okropnie skałał swą wyobraźnię; że miał zły wpływ na otoczenie i że doznawał z tego powodu straszliwej radości; że najpiękniejszych i najwięcej obiecujących ludzi, którzy zetknęli się z nim, doprowadził do hańby. Ale czy niema dlań drogi powrotnej? Czy niema już żadnej nadziei?

Ah! w jakże przeklętej chwili pychy i namiętności modlił się, ażeby portret wziął na siebie brzemie jego dni, on zaś zachował nieskalany wdzięk wiecznej młodości! Stąd poszedł cały jego upadek. Byłoby lepiej, gdyby każdy grzech jego życia sprowadził za sobą doraźną, szybką karę. W karze jest oczyszczenie. Modlitwa człowieka do Boga sprawiedliwego winna brzmieć nie „Odpuść nam nasze winy“, lecz „Uderz nas za nasze nieprawości“.

Przedziwnie zrobione zwierciadło, będące darem lorda Henryka z przed tylu lat, stało teraz na stole i okalające je białe amorki śmiały się doń, jak dawniej. Wziął je do ręki, jak owej strasznej nocy, gdy po raz pierwszy zauważył zmianę na nieszczęsnym obrazie, i dzikiemi, przez łzy przyćmionemi oczami wpatrywał się w gładką tarczę. Ktoś ogromnie go kochający napisał doń kiedyś szalony list, zakończony temi bałwochwalczeni słowami: „Świat się zmienił, ponieważ ty jesteś stworzony z kości słoniowej i złota. Łuki twoich ust piszą od nowa dzieje świata“. Zdanie to przypominało mu się i wciąż je sobie powtarzał. Znienawidził swą własną piękność i, rzucając zwierciadłem o ziemię, rozbił je w srebrzyste drzazgi i tłukł nogami. To pię-

kność zgubiła go, piękność i młodość, o którą się modlił. Gdyby nie one, życie jego mogłoby być wolne od skazy. Piękność była mu jednak maską, młodość szyderstwem. Bo czemuż wreszcie jest młodość? Zielonym, niedojrzałym okresem płytkich zachcianek i wątplych myśli. Czemuż zachował jej szatę? Wszak młodość go zgubiła.

Lepiej nie myśleć o przeszłości. Nic jej zmienić nie zdoła. Winien myśleć o sobie i o swej przyszłości. Jakóba Vane pochowano w bezimiennym grobie na cmentarzu w Selby. Alan Campbell zastrzelił się pewnej nocy w swem laboratorium, ale nie zdradził wymuszonej na nim tajemnicy. Poruszenie, jakieby nie było, wywołane zniknięciem Bazylego Hallwarda, rychło się uspokoi. Już omal minęło. Jest teraz zupełnie bezpieczny. Właściwie, to nie śmierć Bazylego Hallwarda najbardziej ciążyła na jego umyśle. Niepokoiła go żywa śmierć własnej duszy. Bazyli namalował portret, który zmarnował jego życie. Nie mógł mu tego wybaczyć. Wszystko zawinił ten portret. Bazyli mówił mu rzeczy nie do zniesienia, on jednak zniósł je cierpliwie. Morderstwo było poprostu chwilowym obłędem. Alan Campbell popełnił samobójstwo z własnej woli. Tak mu się podobało. Nic go to nie obchodzi.

Nowe życie! Oto, czego pragnął. Oto, czego oczekuje. Już je nawet rozpoczął. Oszczędził raz niewinne dziewczę. Już nigdy nie będzie nastawał na niczyją niewinność. Będzie dobrym.

Gdy myślał o Hetty Merton, zaczął się zastanawiać, czy portret w zamkniętym pokoju nie zmienił się. Zapewne nie jest już taki straszny, jak poprzednio? Może wraz z oczyszczeniem życia, uda mu się zetrzeć

z jego twarzy wszystkie ślady złych namiętności. Może ślady zła już znikają. Pójdzie i zobaczy.

Wziął lampę ze stołu i poszedł po schodach. Gdy otwierał drzwi, uśmiech radości przemknął po jego dziwnie młodocianej twarzy i na chwilę zatrzymał się na ustach. Tak, stanie się dobrym, a ohyda, którą tam ukrył, przestanie go przerażać. Miał uczucie, jakby to brzemieństwo zostało mu już odjęte.

Spokojnie wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi, jak to robił zazwyczaj, i odsunął z portretu purpurową zasłonę. Krzyk bólu i oburzenia wydarł mu się z piersi. Żadnej nie widział zmiany, tylko w oczach lśniła chytrość, a koło ust rysowała się zmarszczka obłudy. Był tak samo wstrętny, jeżeli to możliwe, więcej wstrętny, niż poprzednio, a kalająca rękę szkarłatna plama, wydała mu się szerszą, jakby było na niej więcej świeżo rozlanej krwi. Zadrżał. Czy istotnie tylko próżność skłoniła go do jego jedyne go dobrego uczynku? Czy też pragnienie nowego wzruszenia, jak to z szyderym śmiechem określił lord Henryk? Lub może owa żądza odegrania roli szlachetniejszej, niż wpływa to z własnej naszej istoty? Lub może wszystko to razem? I dlaczego czerwona plama rozszerzyła się? Niby potworna rana wżarła się w obrzękłe palce. Krew widnieje na nogach portretu, jakby ściekła z ręki, krew także na ręce, która nie trzymała noża. Wyznać? Czyż nie wiedział, co to znaczy wyznać? Oddać się samemu i dać się zabić? Roześmiał się. Czuł, że ta myśl była potworna. A jeśliby nawet wyznał, któż mu uwierzy? Niema nigdzie śladu po zamordowanym człowieku. Cokolwiek pozostało po nim, było unicestwione. On sam spalił to, co pozostało na dole. Świat powiedziałby poprostu, że zwarzował. Gdyby obstawał przy swoim,

zamkniętoby go... Jego obowiązkiem jest jednak wyznać, odcierpieć publiczną hańbę, odpokutować publicznie. Istnieje Bóg, nakazujący wyznawać swe grzechy ziemi i niebu. Nic, cokolwiek uczyni, nie oczyści go, dopóki nie wyzna swego grzechu. Swego grzechu? Wzruszył ramionami. Mało go obchodzi śmierć Bazylego Hallwarda. Myślał o Hetty Merton. Gdyż niesprawiedliwem było zwierciadło, zwierciadło jego duszy, w które spoglądał. Próżność? Ciekawość? Obłuda? Czy w jego wyrzeczeniu się nie było nic więcej nadto? Było w niem coś więcej. Tak przynajmniej mniemał. Kto jednak może powiedzieć?... Nie. Nie było nic więcej. Oszczędził ją przez próżność. Z obłudy włożył na siebie maskę dobroci. Przez ciekawość próbował wyrzeczenia się. Teraz to widzi.

Ale czyż pamięć tego morderstwa będzie go prześladowała przez całe życie? Czyż zawsze przeszłość będzie mu brzemieniem? Czy miałby naprawdę wyznać? Nigdy. Jedno tylko istnieje przeciw niemu świadectwo. Świadectwem tem jest ten obraz. Zniweczy go. Pocóż zachowywał go tak długo? Dawniej przyjemność mu sprawiało, gdy oglądał, jak się zmienia i starzeje. Ostatnio nie odczuwał już tej przyjemności. Nieraz spędzał przezeń bezsenne noce, Gdy był poza domem, przejmowała go trwoga, aby nie spojrzały nań cudze oczy. Przezeń wszystkie jego namietności były posępne. Sama pamięć o nim zepsuła mu niejedną chwilę radości. Był mu niejako sumieniem. Zniweczy go.

Rozglądał się i zobaczył nóż, którym zabił Bazylego Hallwarda. Nieraz go czyścił, aby nie pozostała na nim ani jedna skaza. Świeci i błyszczy się. Nim zabił malarza, nim też zabije jego dzieło i wszystko, co ono oznacza. Zabije przeszłość, a gdy ona zostanie za-

bita, poczuje się wolny. Zabije to potworne życie duszy, a bez jej okropnych ostrzeżeń będzie miał spokój. Chwycił nóż i przebił nim obraz.

Rozległ się krzyk i łoskot. Krzyk przedśmiertny był tak straszny, że służba obudziła się przerażona i wybiegła ze swych pokoi. Dwaj panowie, przechodzący właśnie przez plac, przystanęli i przyglądali się wielkiemu domowi. Potem poszli, dopóki nie spotkali policjanta i wrócili z nim. Policjant kilkakrotnie dzwonił, ale nikt się nie odzywał. Oprócz jedyne go światła w oknie na piętrze, w całym domu było ciemno. Po chwili odszedł i, stanąwszy pod sąsiednią bramą, czekał.

— Czyj to dom, przodownika? — zapytał starszy z dwóch panów.

— Pana Doriana Graya, jaśnie panie, — odparł policjant.

Popatrzyli się na siebie i odeszli, śmiejąc się. Jeden z nich był wujem pana Henryka Ashtona.

Tymczasem w należącej do służby części domu, nawpół ubrani domownicy naradzali się szeptem. Stara pani Leaf łkała, załamując ręce. Franciszek był bledy, jak trup.

Może w kwadrans potem wszedł na górę ze stangretem i jednym z lokai. Zapukali, ale nie było odpowiedzi. Zawołali. Wciąż było cicho. W końcu, gdy na próżno usiłowali wyłamać drzwi, wdarli się na dach i stamtąd przedostali na balkon. Okna ustąpiły z łatwością, gdyż zawiasy były stare.

Gdy weszli, zobaczyli zawieszony na ścianie wspinały portret ich pana, jakim go znali do ostatniej chwili, w całym czarze cudownej młodości i urody. Na

podłódze leżał trup mężczyzny w wieczorowym stroju, z nożem w sercu. Twarz miał zwiędłą, pomarszczoną i wstrętną. Rozpoznali go dopiero wtedy, gdy obejrzelili pierścienie.

K o n i e c .



**Wydawnictwo „Panteon“
w Krakowie.**

„Biblioteka Najcieńszych Autorów“.

Dotychczas ukazały się:

Aleksander Dumas: Lady Hamilton

Lew Tołstoj: Kozacy

Oscar Wilde: Portret Doriana Graya

Dalsze tomy w druku.

Każdy tom Zł. 4. —

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wydawnictwo „Panteon” w Krakowie.

Powieści Maurycego Leblanc'a, pisane z niesłychanym talentem, sławne są na cały świat, rozchwytywane w milionach egzemplarzy i przekładane na 25 języków. Największą popularność zawdzięcza Leblanc postaci swego głównego bohatera, Arsena Lupina, który stał się symbolem gentlemanstwa i brawury.

MAURYCY LEBLANC

Nowe Nadzwyczajne Przygody Arsena Lupina

**Dziewczyna o zielonych oczach
Agencja Barnetta i Spółki
Suknia z różowej łuski**

W najbliższym czasie ukażą się:

**Tajemnicze mieszkanie
Nadzwyczajny wypadek**

Weronika

Cudowny kamień

} Wyspa 30 trumien

Dorota, tancerka na linie

Naszyjnik djamentowy

Kryształowy korek

813

Trzy zbrodnie Arsena Lupina

Księżna Cagliostro

Arsen Lupin, gentleman-włamywacz

Do nabycia we wszystkich księgarniach.